

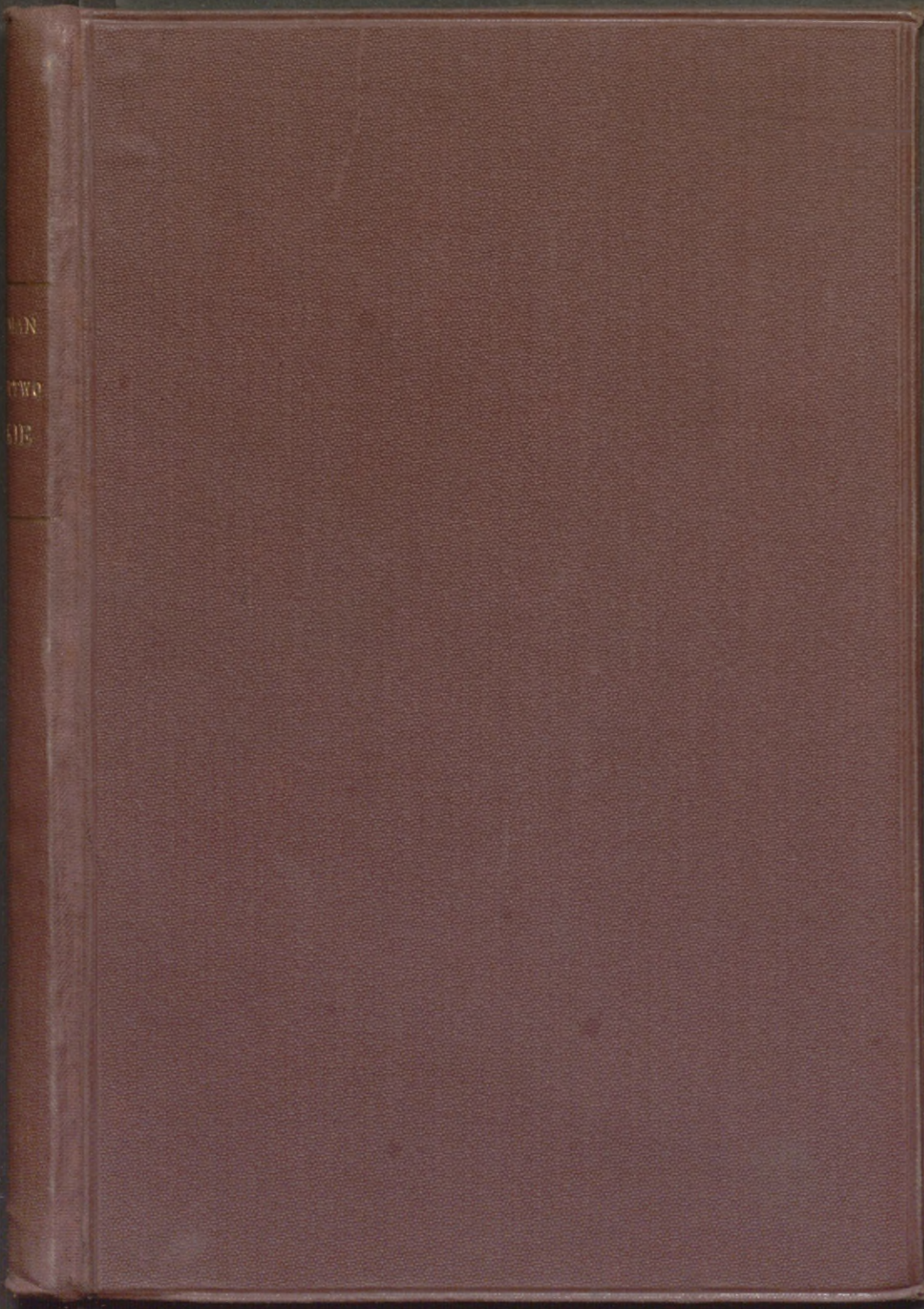
Part Code 571316



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19



VIN
TWO
ONE

Geneli

WILHELM FELDMAN

PIŚMIENNICTWO
POLSKIE

OSTATNICH LAT DWUDZIESTU

PIŚMIENNICTWO POLSKIE



WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY AKADEMII WIEDZ PAN, WARSZAWA

Geneli

3T/
-/11

WILHELM FELDMAN

PIŚMIENNICTWO POLSKIE

OSTATNICH LAT DWUDZIESTU

TOM I

Znikną od prądów chwilowych zawiśli
Za widmem sławy goniący sztukmistrze,
Lecz nie zaginie się szlachetnych myśli
I nie przypadną natchnienia najczystsze.

A. ASNYK.



LWÓW ○ KSIĘGARNIA H. ALTENBERGA ○ 1902

ROZDZIAŁ I

POZYTYWIZM TRYUMFUJĄCY

Zonie mojej

Maryi

pracę tę poświęcam.

884

Faint handwritten text

Faint handwritten text



ROZDZIAŁ I.

POZYTYWIZM TRYUMFUJĄCY.

Pozytywizm tryumfujący. Postęp warszawski a konserwatyzm krakowski zgodne w swej rezygnacji polityczno-narodowej. „*Wskazania polityczne*“ Świętochowskiego. Pozytywizm w praktyce. Typy młodzieży. Racyonalizm i utylitaryzm w Warszawie. Szkoła krakowska w polityce — religii — historiografii. Świadcstwo prof. Zdziechowskiego. Pseudoromantyzm we Lwowie.

Reakcyja. Ewolucya stosunków bytu. Powstanie kwestyi społecznej. Emancypacya kobiet. Znaczenie prądów »z nad Newy i z Genewy«. Ruch przeciw »stańczykom« w Krakowie. Rozrost uczucia, jako wspólny mianownik nowych ruchów. Starzy i młodzi.

Pozytywizm tryumfował. Społeczeństwo było ze wszystkich szaleństw uleczone gruntownie. Osłabiony krwi ubytkiem i depresją nerwową organizm przepisał sobie tryb życia spokojny i systematyczny, dyametralnie przeciwny namiętnym porywom uczucia, fantastycznym planom i mistycznym zapałom dnia wczorajszego. Pieśń Tyrteusza ustąpiła odzie do młota i kielni.

Kto z chórem tej pieśni śpiewać nie chciał, musiał ustąpić. Miażdżyli go nielitościwie zarówno „postępowiec“ warszawski, jak i „konserwatysta“ galicyjski; odległe od siebie poglądami filozoficznymi i społecznymi — oba te typy spotykały się na punkcie politycznym, na punkcie „zgody z losem“...

Zasypano tedy grób Polski „burakami“, a gdy zjawiał się nad nim duch z przed roku 1863, gdy do okienic warsztatów pracy organicznej śmiało zapukać widmo dłoni Grottgrowskiej, dobrowolna „straż pożarna“ ruszała do walki... Na gruzach wzniosłych marzeń rozlegały się ostatecznie tylko echa młotów i krakanie czarnych ptaków reakcyi.

Naród stał się cichym i skromnym, aż zapanowała obawa, że za rezygnacją na zewnątrz idzie też rezygnacja duszy. Stąd wzburzenie gorętszej opinii patryotycznej, gdy po profesorze uniwersytetu jagiellońskiego Walewskim, który przyczynę upadku Polski widział w upadku legitymizmu, po Szujskim, który przyczynę tę widział w słabości katolicyzmu i absolutyzmu w Polsce, przyszedł Michał Bobrzyński (1879) ze swoją apoteozą przedewszystkiem siły w rządzie, ze swem ubolewaniem, że anarchiczni Polacy dla zasady siły nie chcieli poświęcić wolności obywatelskiej, ze swą naturalną konsekwencją, że upadek Polski był poniekąd zasłużonym; historycznej szkole krakowskiej zarzucał zboleały Asnyk, „że z rąk jej rozbiór Polski — wziął chrzest misyi apostolskiej“... Stąd wzburzenie opinii patryotycznej, gdy Świętochowski w swych *Wskazaniach politycznych* (1883) pisał: „Nie na zewnętrznych środkach samodzielności politycznej spoczywa istnienie ludów; naród zatem, który politycznie być przestał, który skutkiem tego zważył o swoim istnieniu, jeśli tylko rozwinął swoje siły duchowe i uzdolnienia do najwyższej swej miary, jeśli jego dorobek duchowy przedstawia poważne zasoby cywilizacyjne, może w każdej chwili powiedzieć o sobie z otuchą i dumą: myślę, więc jestem...“ Słowa te nigdy nie były ostatnią formułką ideału redaktora i grupy *Prawdy*, na inną ci jednak zdobyć się nie mogli, gdyż leżała w dziedzinie zwalczanego przez nich uczucia, romantyzmu. W życiu codziennem musiała się ta formułka wyrodzić w rodzaj filisterstwa. I tak na całej linii. Młody człowiek lat siedmudziesiątych, dojrzewający w Warszawie, w Krakowie, czy też w Poznaniu, słyszał jedno tylko przykazanie, jeden

imperatyw kategoriyczny, jedną zasadę życiową: bądź pozytywny, bądź trzeźwy, bądź utylitarny. Utylitarną była nauka, trzeźwą polityka, pozytywną także poezja. Hasło to brzmiało ze szpałt dzienników i katedr profesorskich, z desek scenicznych i kazań kościelnych, z zaobłoków poezji i z warsztatów pracy codziennej. Krzak gorejący świecił niejednemu, ale dochodziło z niego nie gromkie: ja jestem, który jestem! tylko filisterskie: bądź trzeźwym! Całe pokolenie — z wyjątkiem drobnej garstki epigonów poromantycznych — wszystko co miało wpływ, powagę, siłę, zdawało się wskazywać na znane główne postacie z „Szkoły Ateńskiej“ Rafaela i głosem Kasandry ostrzegać przed Platonem za gest jego ku sferze ideału, a zalecać Arystotelesa: patrzaj ziemi...

Młodzieniec taki jeżeli się wychował w Królestwie, a nie należał do sfery, której drogę życia zakreśla już z góry cień drzewa genealogicznego, wierzył w postępek jak w Boga, a w Świętochowskiego jak w proroka, czytał Buckle'a, Darwina, Büchnera, znał Comte'a i Ochorowicza, jako źródła niesfałszowanej wiedzy i gardził metafizyką, jako zbiorem bredni, oraz romantyką, jako aberacją uczucia. Poezji, jako steku mrzonek i fantasmagoryj, unikał, powieść tolerował o ile zawierała zdrową, t. j. utylitarną dążność i nie kłóciła się z rzeczywistością. Poezją jego była praca. Ona-to karmiła myśl marzeniami i nadziejami, mówiła o odrodzeniu wewnętrznym od podstaw, wskazywała w perspektywie zdobycze handlowo-przemysłowe, dawała wiarę w żywotność własnego ramienia i kultury własnej, kazała z rezygnacją spoglądać na instytucje polityczne, ufna w hasło, które Świętochowski wypisał na czele wydawnictwa *Prawdy: Cogito ergo sum...*

W to wierzył młody i podług tego urządzał sobie życie, życie człowieka prawego, żadnego wiedzy, nawskróś racjonalnego, ale zawsze pozbawionego wielkości — całe to pokolenie nie wydało ani jednego bohatera! — życia często grzęznące

w zwyczajnem filisterstwie i sobkowstwie, jako najłatwiejszem zastosowaniu zasady „zgody z losem“.

Jeżeli obcięcie skrzydeł nie doprowadziło do życia płazów, do materyalizmu praktycznego, jako systemu społecznego, to głównie dzięki okoliczności, iż społeczeństwo, nie rządzące swymi losami, nie mogło z premis powyższych wyciągnąć wszystkich konsekwencyj. Uczyniło to natomiast społeczeństwo galicyjskie i odrzuciwszy nomenklatury pozytywizmu i materyalizmu, zasady te życiowe przyjęło i w praktykę wcieliło w najsmutniejszy sposób... W Krakowie ów bezustanny, wielkooki strach przed *liberum conspiro*, który był także rodzicem pozytywizmu warszawskiego, owa trzeźwość, praca organiczna i zgoda z losem, zostały odrazu przetłumaczone na język polityczny. Szujski, Tarnowski i inni rzutem gwałtownej reakcyi znaleźli się na przeciwnym biegunie swej wczorajszej przeszłości demokratycznej i względnie postępowej; z ich ust młody przy każdej sposobności, odpowiedniej, czy nieodpowiedniej, słyszał kazanie o niepoprawnych marzycielach; przeciw tym organizowali „dobrowolną straż pożarną“ i ustanowili „rząd moralny“ uzbrojwszy go w dwie największe powagi: w policyanta i religię. Warszawa teoretyzowała i w tej funkcyi nie potrzebowała się opierać o przemoc materyalną — stańczycy krakowscy robili politykę czynną — najbliższymi, wypróbowanymi środkami. „W Krakowie“, pisze profesor Zdziechowski (*Szkice literackie* I, str. 247) „głoszono wprawdzie ze szczerem zapałem zasady chrześcijańskie, ściślej mówiąc katolickie, czuło się jednak, że podstawy tego katolicyzmu były zanadto materyalistyczne; oczywiście był on dla tych, co go głosili, prawdą najwyższą o Bogu i stosunku człowieka do Boga, ale przedewszystkiem był opoką Piotrową, z której karna armia w zwartym szeregu zwycięsko odpierała napaście wrogich potęg anarchii i despotyzmu... Jednem słowem, umysły głosicieli katolickiej pracy organicznej mniej przykuwała sama treść słów Chrystusowych, niż ta forma, w której się one wylały w życiu pra-

ktycznym, stwarzając potężną instytucję kościoła. Karność stanowiła źródło odpornej siły kościoła, a właśnie jej brak był przyczyną naszych nieszczęść. Stąd to karność zaczęli oni zalecać, jako pierwszą i najważniejszą cnotę, a w hołdowaniu zasadzie tej zaszło się tak daleko, że niektóre codzienne pisma polityczne, przez przewodników katolickiego kierunku stworzone i natchnione, pogrążyły się ze zbytku gorliwości w bałwochwalczej czci dla każdego, kto wyższe stanowisko społeczne zajmował.“

Jak dla celów materyalistycznych użyto wszystkich środków organizacyjnych, tak użyto też nauki, szczególnie tej, do której umysły, jako do „nauczycielki życia“ najwięcej się garnęły i z której najwięcej środków karności można było wyciągać: historyi. W żadnej sferze teoretycznej pozytywizm polski nie święci takich tryumfów, jak w krakowskiej historyografii. Jako fantastów, marzycieli, uczuciowców odrzucono Lęlewela i jego szkołę i ci sami ludzie, którzy nie mają dość słów wzgardy i arystokratycznego wstrętu dla Zoli i jego naturalizmu, stosują metodę najskrajniejszego naturalizmu do badań przeszłości; wyszukują każdy łachman i potrząsają nim z lubością, ukazują „jawnogresznicę“ w całej nagości jej grzechów, ale — jak to wskazał Schmitt, Smoleński, Korzon i inni — oświetlonych jednostronnie i więcej, niż tendencyjnie. Wszystko to dla uduśzenia resztek „romantyzmu“ i „anarchii“ i wzmocnienia rządu moralnego, który w rezultacie okazał się nietylko moralnym, ile kastowym, a „zgodę z losem“ posunął do polityki przeobrażania ziomek przedewszystkiem w idealnych Austryaków — w „tyrolczyków wschodu“...

Innymi trochę prądami przesiąkał młody człowiek we Lwowie. Tutaj upajał się frazeologią mistyczno-narodową, z której duch już dawno był uleciał, śpiewał chorał Ujejskiego, aby po ukończeniu studyów wdziać mundur rządowy, stanowiący zarazem barwę przekonania. Bohaterskie postacie, które w poprzedzającym czterdziestoleciu z nicości dźwignęły po-

teżny ruch polityczny i literacki, schodziły powoli do grobu — bezpotomne, sprawy ducha zostały pochłonięte przez jałową politykomanie, zastąpione przez puste, przeważnie z osobistej polemiki żyjące dziennikarstwo. Między Lwowem a Krakowem bezustanna wrzała walka; Lwów był nasamprzód anti-ugodowym i chorował na sympatyte słowiańskie, wkrótce jednak pogodził się z istniejącym stanem rzeczy i z Krakowem wiódł już spór o czysto teoretyczną kwestyę: o pogląd na rok 1863. W zasadzie Lwów był „czerwony“ i ze sztandarem przedstyczniowym wysoko wzniesionym urządzał od czasu do czasu tanie demonstracje, ale zahypnotyzowany przeszłością — nie rozumiał terażniejszości, walcząc ze stańczykami — w praktyce robił to, co oni, z tą różnicą, że tylko oni odnosili stąd korzyści. I tak lwowski demokratą, jak i krakowski konserwatysta mówił dużo o pracy organicznej i nic dla rzeczywistego podniesienia kraju nie zdziałał, obaj byli faktycznie odcięci od masy ludowej, chociaż demokraci na swe obchody sprowadzali regularnie *»Parade-Bauerów«*, obaj obniżali systematycznie typ kultury dzielnicy, w której błyskotliwe frazesy były tylko błędnymi ognikami na bagniskach. Za czasów absolutyzmu wychodziło we Lwowie dobre pismo literackie (*Dziennik literacki*), czasy swobody są świadkami, jak co dwa lata jakiś śmiałek chce zmusić opinię publiczną do lektury literackiej i po krótkiej walce zostaje jako intruz odrzucony. Poeci giną tu z nędzy (Bartusówna!), emigrują do Warszawy, lub wytwarzają pod wpływem niezdrowej atmosfery wstrętny typ pseudoromantycznego farysa, oszalamiającego się do zatury siły życiowej szynkownianym haszyszem (Dzierżkowski, Lam, Czerwieński, Stebelski). Wielkości tu jeszcze mniej, niż w Królestwie, ideały pod gęstym nasypem brudu i popiołu ledwie tleją, a filisterstwo i karyerowiczostwo kwitną najbujniej.

A Poznańskie? Nieszczęśliwa ta dzielnica, w której w latach czterdziestych najwyższe w Polsce kwitło życie duchowe, zdobywa się w latach 1870—74 na próbę ruchu literackiego

w »*Tygodniku Wielkopolskim*« rozwija śmiały sztandar postępu, aby wkrótce zwinąć go na długie lata. Czas *kulturkampfu* gromadzi wszystkich pod wspólnem hasłem ultramontanizmu; uważany za największego polityka wieku Bismark osiągnął cel wręcz przeciwny, niż zamierzał: wydaniem tej walki wzmocnił zachwianą siłę katolicyzmu i zapewnił mu panowanie na czas długi.

W takiej atmosferze wzrosło pokolenie, zrodzone koło r. 1860. Wychowało się w czasie, kiedy ostatnie płomienie zostały zgaszone — chłód je też przejmował i mroził. Organizmowi narodowemu, strasznie osłabionemu skutkiem upływu krwi, rozpacz podyktowała była metodę leczenia w rodzaju absolutnego spokoju, gromadzenia sił, unikania wzruszeń. Hygiena ta, stosowana do ciała już zdrowego, zaczęła grozić inną chorobą. Anemia uczuć narodowych przerażała gorętszych patriotów. Nie było „zdrady“, gdzie ją wachali Buszczyński, Giller etc., ale program pracy wyłącznie kulturalnej *Prawdy*, program ugody powstałego w r. 1882 *Kraju*, polityka austriacka i stanowa stańczyków krakowskich — wszystkie te objawy pozytywizmu politycznego, depczące, co uczucie narodowe wypieściło i ukochało, stawiające na piedestale „racyę stanu“ zamiast racyi praw żywego narodu, — groziły strasznym upadkiem ducha.

Smutnem i rozczarowanem było dojrzewające po r. 1880 pokolenie, a drobnej tylko części „oskubane ze złudzeń i marzeń skrzydła“ zaczęły nanowo porastać, domagać się przetrzeni, prawa lotu...

„Młodości serca i ofiar trzeba“...

Na ziemiach polskich zaszły tymczasem w ostatnich kilkunastu latach zmiany faktyczne, które wymagały od ludzi nie tylko rozumu — jak praca organiczna, — lecz także serca i ofiar.

Praca organiczna wydała typowy swój produkt ekonomiczno-społeczny: kapitalizm. W Królestwie w r. 1880 wartość produkcji fabrycznej równała się już wartości produkcji rol-

niczej. Powstały ogromne ogniska, całe okręgi fabryczne. Liczba robotników fabrycznych wynosiła w Królestwie w r. 1871 — 76 tys., w r. 1880 przeszło 130.000. W Galicyi wzmógł się kapitalizm rolny, który koncentrując się — pochłaniał własność mniejszą; dalej rozwijał się tu kapitalizm bierny. Kraj stał się rynkiem zbytu dla fabrykatów zachodnich prowincyj austriackich, które rozkładały zupełnie jego stare formy ekonomiczne; rozdrobnienie gruntów, upadek rzemiosł spowodowały coraz groźniejszą nędzę. Faktom tym zaczęły towarzyszyć wszystkie zjawiska, właściwe okresowi kapitalistycznemu, a przedewszystkiem ruch robotniczy. Pod wpływem wewnętrznego parcia stosunków, oraz najnamiętniejszej wówczas akcji rewolucyjnej nihilistów, powstają w Polsce organizacje socjalistyczne. Już w r. 1878 odbyły się masowe aresztowania socjalistów w Warszawie, w r. 1880 odbył się wielki proces socjalistyczny w Krakowie, w r. 1882 — w Poznaniu; w roku 1886 Warszawa po 23 latach znowu ujrzała szubienice: oddała na nich życie za ideę czterech socjalistów. Wyrwa się więc z pośród młodego pokolenia gwałtowny, krwawo przypieczutowany protest przeciw pracy organicznej, przeciw ideałom mieszczańskim i arystokratycznym, przeciw rezygnującemu z wysokich ideałów polityczno-społecznych pozytywizmowi. Protestuje garść, ale stanowi ona tylko przednią straż nowej armii; protestują młodzi tak namiętnie, że zrywają radykalnie ze starymi, zrywają nawet z ideałami przez nich dyskredytowanymi, z hasłami patryotycznymi, ale reakcja ta żywiołowa prędko się ułoży, wróci w łożysko ojczyście. Tymczasem przy wyłącznem posługiwaniu się teorią i frazą naukową, przy całej wzgardzie, okazywanej „sentymentom“, młodzi ci zapaleńcy świadczą o budzeniu się w społeczeństwie ruchu uczuciowego: samym tylko racjonalizmem wiedziony, nikt nie zawędrował jeszcze na szubienicę! świadczą oni o czynach dla nowych, olbrzymich, ogólnoludzkich ideałów sprawiedliwości i wolności, a w tym kierunku za poprzedniego pokolenia czynów nie było...

Okolo r. 1880 mnożą się typy zapaleńców rewolucyjnych, obok drugiego typu, również wytworu kapitalizmu: emancypantek, poszukujących głównie w Szwajcaryi wiedzy i chleba. Pierwszą reakcją przeciw okresowi tryumfującego, sytego pozytywizmu podniósł więc żołądek — z drugiej zaś strony budzi ją powrotna fala gorętszych, czynnych uczuć patryotycznych, ogólnonarodowych. Przeciw stańczykom pojawia się w r. 1882 w głównej ich twierdzy, w Krakowie pod redakcją Tad. Romanowicza dziennik *Nowa Reforma*, przejęty ideałami przedstyczniovymi i gorącym protestem przeciw gasicielom ducha; niejako dla uzupełnienia tego organu powstaje w roku śmierci Szujskiego (1883) czasopismo akademickie, zwierciadło postępowej generacji najmłodszej, niejako obraz jutra: *Przyszłość*, o wiele skrajniejszy, zawierający w chaosie prawdziwie studenckim spreczne zawiązki różnorodnych a zawsze radykalnych doktryn: więc pozytywizm obok idei Marksa, zdeklarowaną bezbożność obok kultu Słowackiego — płonki, które w najbliższej przyszłości miały bujnie się rozrosnąć. W tajniach dusz wre. Napięcie uczuciowe, tak obce racjonalizmowi pozytywistów w Warszawie i stańczyków w Krakowie, powoli występuje na całej linii. *Trzeźwa* od wielu lat, w atmosferze wiedzy przyrodniczej lub historycznej, pracy organicznej i zgody z losem żyjąca dusza narodu zaczyna czuć, dawno nieznaną dreszczę. Na dnie wszystkich tych ruchów i odruchów, jako wspólny mianownik leży tłumiony, często błędzący, coraz szerszy, coraz potężniejszy rozrost uczucia.

Pozytywizm faktycznie tryumfuje, ale z głębin wychodzą już jego garbarze...

Jakże odbywa się owa ewolucja i rewolucja dwóch typów — dwóch pokoleń w literaturze?

ROZDZIAŁ II.

OBNIŻENIE SIĘ IDEAŁÓW.

Obraz literatury polskiej około r. 1880. Ideał narodowy i wszechludzki u romantyków a obecnie. Cofnięcie się wobec nowych prądów. J. I. Kraśzewski i ostatnie jego powieści. Jan Zacharyasiewicz i apoteoza filisterstwa. T. T. Jez i jego sztandar obrony narodowej. Ideał społeczny Jeża: *Syn Chorążego*.

W Galicyi -- Michał Bałucki. Od mieszczaństwa do małomieszczaństwa. Liberalizm galicyjski i Jan Lam. Tragizm światopoglądu humorysty.

Wczorajsi młodzi w Warszawie. Eliza Orzeszkowa i jej powieści przeciw fali socjalistycznej. Przepaść między młodymi a starymi. Walerja Marenné. Pozytywistyczny męczennik miłości. Konkurs na ideał mieszczański. Zofii Urbanowskiej, *Księżniczka*.

Pozytywizm konserwatywny. Józef Szujski. Jego *Prometeusz* a *Długosz* i *Kallimach*.

Satyrycy epoki. Satyra we Lwowie. *Szczutek*. Chochlik. Rodoć. Satyra w Krakowie. *Dyabeł*. Miecz. Pawlikowski. Kaz. Bartoszewicz. Poza Galicyą. Włodz. Wysocki. Klin. Fejletoniści.

Charakter literatury okresu. Nikt nie przerasta swego czasu. Rzut oka zagranicą. Nowe prądy artystyczne i społeczne. Rosya, Niemcy, Francya. Zola. Ibsen, jego walka z *upiorami* i jej znaczenie. Obniżenie się ideału.

Żywoty i dzieła.

Literatura nasza około 1880 r. dość smutny przedstawia widok. Brak jej skrzydeł. Jakby bez echa skonały pieśni potężnych bardów narodowych, zgasły zapalone przez nich prze-

wodnie słupy ogniowe. Niebosiężne ideały narodowe romantyzmu były za wysokie, za dobre dla tego świata, ale dawały duszom moc, życiu wielkość, przyszłości najpotężniejszą gwarancję, jaką jest wiara w siebie, w misję swoją, w nieprzedawnione swe prawa. Ideałami tymi karmione serca dokazywały też cudów męstwa, poświęcenia, wielkości. Coby to było ze sprawą polską, gdyby ich historia porozbiorowa nie miała?

Wysoko trzymał romantyzm sztandar ducha narodowego, a także dążeń i praw ogólnoludzkich. W potężnym swym wzlocie dusza traciła z oczu wszystko, co małe i nikczemne, pierś polska piastowała największe ideały ludzkości, wzrok obejmował horyzonty olbrzymie. Mickiewicz „ludzkości całe ogromy“ przenikał z końca do końca, z Bogiem samym staczał walkę. Słowacki życie samo w cudny zaklinał poemat, Leonidasa z grobu wskrzeszał i *Do autora trzech psalmów* stał błyskawice, oświetlające wcielenie ducha demokracji. Krasiński malował gigantyczne zapasy potężnych światów i wołał: idź i czyn! Nawet bynajmniej nie głęboki Fredro wielbił „miłość, co jednym wieńcem objęła świat cały“. Gdy słońca te na niebie naszym zaszyły, paliło się ono jeszcze długo wspaniałem odbiciem gasnących ich blasków. Cała poezja poromantyczna a poniekąd i powieść demokratyczna lat pięćdziesiątych ma za zadanie — jak mówi Sowiński:

Rozniecić prawdę społecznym trudem
I w czyny wcielić królestwo boże...

Gdzie życie nie mogło stać na wyżynie ideału, powstaje walka, będąca tragedią niejednej jednostki (Berwiński, Wolski, Zmorski etc.), powstaje wichrowatość, chaotyczność, nieraz karykatura, ale nie tępa, bezmyślna rezygnacja, kompromis z marną rzeczywistością, sprzedaż ideału za misę soczewicy, za żywot „fabrykanta Niemca przy żonie Niemce“. W takich warunkach był mógł być ciężkim, gniotącym, ale ducha nie poniżał, nie zabijał. Nawet skromny „lirnik wiosko-

wy“ Syrokomla czuł się ogniwem olbrzymiej rodziny walczących i cierpiących i śpiewał:

Ach, czuję, czuję, że jednostki tona

Z dołą ludzkości ściśle zespolono.

.....
Czuję ból w sercu — o wielki Jehowo!

Użyj ludzkości, a będzie mi zdrowo...

Dopiero w okresie panowania „dobrowolnej straży pożarnej“ i ód do młota i do kielni, w okresie zupełnego wyczerpania sił — następuje zacieśnienie się w szczupłym kółku, apoteozowanie cnót małych, pełzanie ku drobnym celom szczęścia osobistego i dobrobytu, jako podstaw pracy organizacyjnej. Prometeusz ustępuje miejsca Merkuremu, ksiądz Robak, Kordyan, Irydyon słyszą głos: idź i — zdobywaj targi handlowe, lub: rób karierę rządowo-austriacką! Gustaw czy Konrad uważają za pierwszy obowiązek strzedz tradycji i przy kominku rodzinnym wata zatykać uszy na głos wszystkiego, co szumi i dzwoni romantycznością, nowinkami niebezpiecznymi, krzykiem wiecznie żywej i uświadamiającej się w umysłach postępowych duszy narodu i duszy świata...

Gdy pozytywizm warszawski miał przynajmniej wzrok wpatrzony w gwiazdy ogólnoludzkie, gdy duszy zgłodniałej dawał niedostateczny, ale zawsze karmiący chleb wiedzy europejskiej, ideał altruizmu, gdy zamęczał ciało pracą przemysłową — i w ten sposób nie zostawiał mu czasu na marzenia — gorzej postępował sobie pozytywizm polityczny krakowski. Tarnowski, Szujski, Koźmian rozwiali gruntownie legendę o Golgocie, o Chrystusie narodów, o misji szczególnej, ale z nią rozwiali równocześnie wiarę w potrzebę poświęcenia, w ducha miłości i ofiary, w najświętsze spójnie, łączące ludzi; równocześnie odcinali młodzież od żywych źródeł wiedzy europejskiej, anatemą obkładali Buckleów, Darwinów, Renanów, Millów, skazując umysły na zupełne wyjąłwienie; równocześnie nie dbali o rozwijanie potęgi pracy ekonomicznej i sze-

rzyli w ten sposób konserwatyzm, najtępszy trzymający się jedną ręką klamki rządowej, drugą mechanicznie lemiesza i kadzieli; równocześnie duszy zgłodniałej nie dali żadnej syntezy...

Kilka tylko wyjątkowych umysłów snuło plany i idee na rozleglejszą skalę, zresztą pisarze, przejęci nastrojem 1863 roku, pod wpływem ogólnego ciśnienia atmosfery zniżyli swój lot do samej ziemi i piekli — jak w mowie jubileuszowej wyraził się Kraszewski — chleb razowy, dbając jeno, by nie było w nim zakalców.

„Spokój — pierwszy obowiązek obywatela“, zaczynał przybierać cechę martwoty...

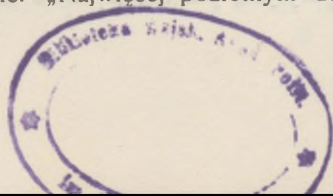
Na czele literatury stał niestrudzony pracownik J. I. Kraszewski, otoczony blaskiem i kadzidłami obchodu jubileuszowego, którym właśnie w r. 1880 naród go uczcił, jak nigdy przedtem i nigdy potem żadnego swego pisarza. I słusznie — jeżeli się weźmie pod rozwagę ilościowe zasługi Kraszewskiego, istotnie nieocenione fakta, że wyparł z domów książki francuskie i zastąpił je polskimi, że więcej napisał książek niż zwykły inteligent w życiu może przeczytać, a przedewszystkiem tę jego gorącą, głęboką, niczem niewstrząśniętą miłość narodu, obejmującą jego przeszłość i przyszłość, zapuszczającą wzrok rozkochany we wszystkie doby, szczegóły, skutki tej przeszłości, tulącą do serca wszystkie warstwy, odłamy, wyznania, wyżyny i niziny teraźniejszości, miłość zawsze czynną, spieszącą z dłonią wyciągniętą, gdzie było cierpienie, krzywda, rozterka — jednym słowem: jego ducha obywatelskiego... Poza tem nie wolno zapominać, że Kraszewski nie był z rodziny orłów, a nie mógł nim być starzec siedmdziesięcioletni. Reprezentował zawsze „złoty środek“, nie skutkiem wyrachowania, lecz dzięki usposobieniu, które czyniło go dalekim od wszelkiej skrajności, wyrazem przeciętności ogółu, przeważnie szlacheckiego. Nastrojowi 1863 roku nasamprzód się opierał, potem dał mu się porwać i jako Bolesławita stał się w szeregu powieści jego historykiem; jako Bolesławita wydawał też (1867

do 1869) swoje *Rachunki*, rachunki niejako sumienia polskiego, w których kontynuował nastrój 1863 roku i nielitościwie smagał wszystkich, którzy mu się sprzeniewierzali. Wkrótce jednak Bolesławita przemienił się znowu w J. I. Kraszewskiego, powieściopisarza spokojnych dworków i salonów intryganckich, a i ten rychło zapomniał *Dzieci wieku*, w których odstrasząco malował zmateryalizowanie, grożące społeczeństwu skutkiem utraty wysokich ideałów, nie wzniósł się też już na wyżyny tendencyjnych a mimo to poetycznych swych powieści z czasów walki o chłopą. Oderwany od kraju, pozbawiony możności bezpośredniego obserwowania ludzi i stosunków, zwrócił się przedewszystkiem ku przeszłości i za przykładem Gustawa Freytaga, na szerszą jednak skalę, zaczął pisać swój cykl powieści historycznych. Pierwsza, *Stara Baśń*, tchnęła prawdziwą poezją, prędko jednak ustąpiła ona oschłym opowiadaniom kronikarskim. Instynktem swym wiedziony przystosował się przytem szybko do nastroju, przeważającego w kraju — i w powieściach współczesnych jął propagować niegdyś zwalczane przez siebie tendencje antiromanetyczne, pozytywistyczne.

Najczęściej bieg myśli powtarza się w nich tensam: jest nim idealizowanie pracy organicznej, cichych cnót, niechęci ku naturom burzliwym, podlegającym silnym namiętnościom i niebezpiecznym pokusom. W powieści *Dwa bogi, dwie drogi* (1877), przeciwstawia temperamentowi namiętnemu, upajającemu się życiem i użyciem — naturę więcej uduchowioną; pierwsza kończy w dostatkach, obładowując sumienie swe zbrodniami, druga zostaje wynagrodzoną cichem, spokojnem, dość filisterskiem szczęściem. *Z dziennika starego dziada* wyczytujemy rzeczywiście wzruszającą opowieść, o pocziwym, starym optymiście, któremu resztki życia schodzą na cichych, szlachetnych uczynkach i poświęceniach. *W pocie czoła* (1883) jest rehabilitacją dorobkiewicza. Wszędzie *Leitmotiv* tensam. W *klasztorze* (1882) znajduje kasztelanic Bużewski po życiu,

pełnem burz i niedowiarstwa, przystań cichą, ukojenie szczerze przy boku zakonników cichych, świątobliwych, słodkich. *Na tułactwie* (1881) widzimy całą galerię próżniaków i frazesowiczów, którzy pomiatają uczciwą pracą i żyją jako pasożyty; im przeciwstawiony jest ideał w postaci dra Klesza, który dla chleba zostaje zecerem i na tej drodze dochodzi do zamożności i znaczenia. Autor *Poety i świata* przestaje idealizować *Demona* poezji a nawet samo uczucie romantyczne i podjąwszy w *Resurrecturi* hasło: przez pracę do odrodzenia! nie chciał widzieć, że i ono, jak wszystko na świecie, ulega rozwojowi, że nie może ono zapełnić życia całego narodu, gdyż poza niem rodzi się jeszcze mnóstwo interesów, uczuć, dążeń, mających nieprzepartą chęć i siłę i prawo do życia. Dotknął tej kwestyi w powieści *Szalona* (1880). Tutaj Kraszewski — jeden z pierwszych u nas — wprowadził na widownię typy młodzieży i dążenia emancypacyjno-społeczne, które potępił bezwzględnie samym już tytułem utworu. Zonia, którą poznajemy, jako studentkę w Kijowie, jest poniekąd ofiarą swego temperamentu zmysłowego, wyuzdanego, korzysta też z emancypacji, aby opętać młodego kolegę „chorążycza“, oderwać go od matki, unieszczęśliwić i następnie uciec z francuzem. W czasie komuny paryskiej widzimy ją, jako szalejącą podpalaczkę, nareszcie, jako zapijającą się absyntem dziennikarkę. Pierwszy jej „mistrz“ Jewłaszewski okazuje się zwyczajnym szubrawcem, kierującym się najniższymi popędami. Dodatnim typem ma być chorążyc Ewaryst i siostra Zoni, żyjąca na wsi u jego rodziców. Pocziwą tę dziewczynę uczynił jednak Kraszewski tak bajecznie ograniczoną, a wzorowego młodzieńca takim niedołągą, że oni chyba za satyrę mogą być uważani. Nowego typu starzec zgółta nie zrozumiał i odpychał tylko młodzież od starego.

Oburzał na siebie mocniej jeszcze młodzież drugi pseudo-postępowy pisarz z starego pokolenia, dość duży wywierający wpływ w tym czasie. „Najwięcej poziomym ze star-



szych naszych powieściopisarzy pod względem ideału szczęścia — woła jeden z młodych — jest Zacharyasiewicz. Wszystkie, co nie zamyka się w ciasnych ramkach cnót domowych i cnoty najwyższej, t. j. pokory ducha, uosabia się w takich postaciach, jak Hugo z *Renaty*; „dobroczynca ludzkości“ — „on nie chciał w oceanie czasu zginąć marnie, jak ziarnko prochu, jak giną miliony, on chciał wraz z innymi sięgnąć na rydwan pędzącego czasu, chciał dalej toczyć koła jakiejś nowej idei. Wymarzył sobie ideał i w nim się kochał. Była to ludzkość, cała ludzkość. Dla tego ideału chciał się poświęcić. Naostatek zwaryował, wyleczył się i ożenił z Mańczyą“. Zacharyasiewicz wynalazł odpowiednią moralność, idealizując aplikantów sądowych, marzących o społecznej działalności wtedy, gdy będą mieli z półtora tysiąca rubli pensyi (*Omanka*), i szlachtę, tych „oficerów armii chłopskiej, po wygubieniu których zginęłoby i wojsko.“

Filisterstwo, zaszczerpione i idealizowane w literaturze przez Korzeniowskiego, zataczało coraz szersze kręgi.

Opierał mu się dzielnie i konsekwentnie ten z starszego pokolenia, którego całe życie było protestem przeciw filisterstwu i zgodzie z losem i snuło się pasmem myśli i czynów bohaterskich: T. T. Jeź. Dla niego życie i twórczość zlewały się zawsze w jedną syntezę: czyn, i z czynu on nie zrezygnował, gdy inni grzęźli w gnuśności, zamykali się w szaryźnie małych cnót i wielkiego egoizmu. To też jubileusz jego (1883), który pozytywiści obchodzili uroczyście, by uczcić pioniera postępu, przyczynił się niemało do podniesienia nastroju patryotycznego i rewolucyjnego. Walczył wówczas Jeź z młodą płonką socjalizmu, a przeciw doktrynom jego postawił swoje, nieprzejednane, wszechpolskie: *O obronie czynnej i skarbie narodowym*. Wprzód jeszcze (1881) skrytykował swój ideał społeczny w powieści, będącej wiernym ciągiem dalszym tendencji Towarzystwa demokratycznego, podległej krytyce, jak każda rzecz tendencyjna, świecącej jednak

na tle skarlłowaciałego czasu silną wolą, męską myślą społeczną.

Bohaterem jej, *Wnukiem Chorążego*, jest Adam Jeż, ów pra... pra... wnuk Kuźmy Jeża, który w XVII wieku wzięty ze wsi, jako młody parobczak, wyrobił się na dzielnego wojownika, nie przestając do ostatniej chwili być chłopem. Adam jest już nie tylko szlachcicem, lecz jako syn generała człowiekiem zamożnym i należącym do kwiatu kultury: przystojny prawdziwie męską pięknnością, ma wszystkie warunki, aby pędzić życie hulaszcze i wesołe, jak większa część młodych panów. Dowiedziawszy się jednak o śmierci ojca, wraca z Anglii i Francji do rodzinnych Hrynenek a przed oczyma ma talizman... model wzorowej chaty chłopskiej... ideał ułożenia stosunku „dworu do chaty“ w duchu czystej sprawiedliwości i jak najwyższej wspólnej korzyści. Po drodze spotyka go przygoda, która innego zatrzymałaby — na całe życie: ocala życie bankierowi Sonne i zyskuje namiętą, bezgraniczną miłość jego córki-wdowy, pięknej baronowej von Grubenstock, która w nim poraz pierwszy widzi prawdziwego... człowieka. Wyrzywa się Adam z objąć tej pokusy i spieszy do Hrynenek. Tam na nowy rok przychodzą doń najpoważniejsi wiekiem gospodarze — traktowani przez „panowie“ i „panowie gromada“ — z życzeniami, on nawiązuje z nimi rozmowę. Wskazuje na powszechne skargi włościan, na biedę, doskwierającą po uwłaszczeniu i omawia środki zaradcze. Jedni chcą, by odebrano grunta panom i rozdano między chłopów; niewiele-by to pomogło, gdyż grunt nie rośnie w odpowiednim stosunku do liczby dzieci, podziały nieustannie sprowadziłyby tedy w krótkim czasie znowu biedę.

Chłopi potakują.

— „Doradzają — mówi dalej Adam — odebrać grunt mnie i wam i zrobić z niego własność wspólną tych wszystkich, co go będą uprawiali rękami własnymi... Mają go oni uprawiać, i co się zbierze, tem się podzielić, a z tem niech

już każdy robi co zechce... W sposób ten nie mógłby się kosztem drugich bogacić nikt, i byłoby może dobrze przez czas jakiś, przy pracy wszystkich na jednego i jednego na wszystkich... Ale pomyślcie jeno: czy każdy nie wolałby, aby na niego pracowali inni? Z chwilą, w którejby pierwszy tak pomyślał, dobre skończyłoby się wnet: jeden po drugim spuszczałby się na wszystkich i gromada uciekałaby się musiała do środków przymusowych. Nastałaby robota niby pańszczyzniana, robota niedbała i licha, sprowadzająca na wszystkich ubóstwo z roku na rok coraz to większe. Jedyna pociecha byłaby w tem,¹ że ubóstwo dotykałoby wszystkich zarówno, że wszyscy byłiby nędzarzami, jednakowo wprzęgniętymi w jarzmo przymusu i jednakowo przywiązanymi do gruntu... Ten i ów chciałby odejść, ażeby dolę zmienić, ale gdzieżby poszedł, gdyby taksamo było wszędzie, przy roli i przy fabrykach?

— „Radę daje chyba... jakiś niespełna rozumu“ — decyduje chłop.

Załatwiwszy się w ten sposób z ideałem kolektywistycznym przystępuje Jeź do wyłuszczenia ustami bohatera własnego programu.

— „Owoż ot co ja powiem — mówi Adam. — Zdaniem mojem rzecz urządzićby się dała w ten sposób, ażebym ja całym majątkiem swoim i całą osobą pracował na każdego z was i ażeby z was każdy taksamo pracował na mnie. Nazywa się to spółką, do której każdy co chce przystępuje z udziałem swoim i z której zysk ciągnie udziałowi odpowiedni. Dla zysku tego, ażeby mieć takowy jak najwyższym, każdy ze współników pracować usiłuje jak najlepiej, dokładając jeden głowy, drugi ręki, co kto ma i co kto może. Najemnictwo robocze w takim razie upada, najmuję bowiem samego siebie i sam pilnuję, ażeby najemnik ten robił jaknajwięcej, jaknajlepiej i jaknajprędzej...“

I spółka ta przychodzi do skutku. Nie odrazu i nie bez

przeszkód... Jeź zapatruje się jednak na naturę chłopską bardzo optymistycznie. Z Ślimakiem np. z *Placówki* Prusa lub z chłopami Sienkiewicza o takiej spółce rozprawić-by nie można, chłop Jeża ma jednakowoż stateczność i powagę; w Hrynenkach bowiem, przez potomków Kuźmy Jeża zawsze traktowany z życzliwością braterską, rozwinął w sobie godność ludzką i myśl krytyczną. Jeżeli ma wady, to ogólnoludzkie, zdarzające się we wszystkich sferach społeczeństwa. Adam je przewycięża, przewycięża jeszcze wroga wewnętrznego: w obec baronowej, która na skrzydłach namiętności na wieś przylatuje, zaręcza się z młodą, poczciwą szlachcianką — i ideał szczęścia osobistego, związanego z szczęściem ogółu, wcielony. Spółka współczesna prosperuje — zapewni autoę — doskonale...

Co prawda, musiał Jeź dla osiągnięcia tego rezultatu uprościć i uróżnić ludzi i stosunki, ale w zgodzie ze swem sercem i całym światopoglądem. Jego chłop był już począwszy od *Wasyła Hołuba* i protoplasty rodu, Kuźmy Jeża, zdolnym do heroizmu, poświęcenia i organicznej pracy społecznej; także rodzina żydowska, stojąc na drodze *Wnuka Chorążego*, jest pozbawiona cech destrukcyjnych: bankier Sonne — to figura zarozumiała i śmieszna — jak na inny sposób niejedyn ze szlachty — a namiętność córki jego, baronowej, jest czystą i połączoną z blaskiem głębokiej, wytwornej kultury. Jeź i dawniej jednak przedstawiał w dodatkiem świetle postaci żydowskie, uważając je za zdolne do asymilacji i dzielnej służby obywatelskiej (postacie żydowskie w *Historii o pra... pra... wnuku*, w *Drugim bożem przykazaniu*, *Uroczu*.) Smagając nielitościwie pychę, samolubstwo i złą wolę tych, których do odpowiedzialności społecznej pociągać można: wysoką szlachtę i arystokrację, wierzy on niezłomnie w dobre, heroiczne pierwiastki duszy ludzkiej, ciężące ku nieśmiertelnym blaskom ideału. Środek doń wiodący — spółka gminy z dworem — jest w gruncie rzeczy trawestacją hasła Krasień-

skiego, zawsze jednak jaśniej, jako wysoka idea w dzielnym charakterze męskim ponad karłowatymi myślami i ludźmi...

Karłowaciały duchy...

Oto w Galicyi mogły się wzbijać względnie wysoko idee, które przed dwudziestu laty zaledwie w marzeniach najśmielszych się snuły, wcielać w życie, z tego życia czerpać coraz gorętsze natchnienie...

Z pośród pisarzy galicyjskich, „postępowych“ największy rozgłos w Krakowie miał Michał Bałucki, we Lwowie — Jan Lam.

Bałucki z orłami nie latał nigdy, ale pierwsze jego wierszyki przepojone były tęsknotą patryotyczną, ale w powieści *Młodzi i starzy* uderza siłą uczucia, czerwienią kolorytu, ustępami istotnie natchnionymi, jakkolwiek ton ów ku końcowi znacznie się obniża. W tym utworze i w następnym (*Przebudzeni*, pseud. *Elpidon*) jest jeszcze wiernem dzieckiem romantyki 1863 roku. W dalszych staje się Bałucki najwierniejszym w Galicyi rzecznikiem i wyrazicielem mieszczaństwa, które zaskoczone w roku 1867 życiem politycznym, poczuło na chwilę swą odrębność od szlachty, idącej w parze z klerem, poczuło szerokie aspiracye i gorączkę walki o ideały demokratyczne i postępowe. Rozpoczęła się na całej linii walka hasel i obozów, liberalizmu zabarwionego z wiedeńska z konserwatyzmem szlacheckim, *Kraju*, redagowanego przez Ludwika Gumpłowicza, z *Czasem* i *Przeglądem Polskim*. Bałucki stanął odważnie po stronie ówczesnych postępowców, odcinając się odrazu stanowczo od organizującego się właśnie stronnictwa stańczyków. W utworach swoich z tego czasu zwalcza romantyzm uczuć i wielbi wiedzę, wyszydza niemilosiernie *Pańskie Dziady* i wspinanie się do pańskich progów, renegackie wędrówki *Z obozu do obozu*, a z ciepłem podnosi zacne uczucia ludzi z gminu, oraz dzielnych, pracę i nauką postępujących coraz wyżej dorobkiewiczów; z nieubłaganą zaciętością prześladowuje bigotów, nietolerancyę i świę-

toszkostwo wszelkiego rodzaju, a z prawdziwą odwagą uderza także na duchowieństwo, nie wahając się przedstawić romansu księdza z zakonnica przy konfesyjnie (*Błyszczące nędze*), motywować, że jeden z bohaterów nie chce zostać księdzem, bo nie chce „być ciężarem społeczeństwu i tuczyć się w bezczynności jego kosztem, mogąc pracować i być użytecznym.“ Tej materii poświęca całą powieść (*Siostrzenica księdza proboszcza.*)

Był to „farysowy“ okres mieszczaństwa krakowskiego, i Bałucki, rzecznik klasy wolnej, zdobywczey, jest pełen wiary i dufności w swe ramię a pogardy dla przesądów. Bohaterzy pracy są u niego większymi, niż ci, co walczą mieczem, staremu arystokracji każe przyjść do przekonania, że wiedza pozytywna nie wypędza z duszy człowieka szlachetnych uczuć, huk machin nie zagłusza głosu sumienia i fabrykant może mieć więcej poezji w duszy, niż ci, co się głoszą jej kapłanami. Tę tezę przeprowadza też autor w komedii *Fo śmierci cioci*, w której poeta Juliusz jest pełnym błagi pozerem a inżynier Karol herosem dodatnim. Pełno tu zapału, optymizmu, właściwego epoce i klasie rozkwitu...

Wkrótce jednak nastrój ów się łamie, jak się rychło złamały zapędy wolnomyślnie i zdobywczey mieszczaństwa krakowskiego. Jak miał autor dalej przedstawiać bohaterów, gdy ich dokoła siebie nie widział? Cofa się też w zacisze domowe, zaczyna unikać wielkich idei, ognistych hasel, uwielbia natomiast ciche cnoty, atmosferę porządku, szarżyny, wygód — filisterstwa. Postęp przemienia się w zastój, lot śmiały — w niechęć do wszystkiego, co nowe, wstrząsające, w niezgodzie z tą potrzebą spokoju. W r. 1880 pisze Bałucki najlepszą swą komedję: *Grube Ryby*, w której falami ciepła i sympatyj obejmuje staruszków Ciaputkiewiczów, żyjących jak para gołąbków. Tyle sympatyj nie okazał i nie zdobył autor nigdy dla młodych. Ich dążenia i zapały przestał malować, a gdzie je dostrzega — odnosi się do nich z niechęcią. W tym samym roku

1880, w którym pojawiło się tyle utworów znamienych dla momentu historycznego, wydał powieść „250.000“, w której kielkujące zasady społeczno-reformatorskie ośmiesza, zabija, przedstawiając, jak wyglądają w teorii i praktyce. Exemp lum — obywatel Tarchała, rezoner, nicpoń, stały gość szynkowni małego miasteczka; dopóki jest nędzarzem, słyszymy w jego kółku poglądy, że „ziemia jest własnością wszystkich i nikt nie powinien rościć sobie większego do niej prawa, niż inny“; wzbogaciwszy się skutkiem łajdactwa, Tarchała zadziera nosa, odtrąca całą swą przeszłość i kamratów i po swojemu używa życia. Dostaje się nareszcie do więzienia i tam jeszcze słyszy „rozwlekłą pieśń z za kraty jakiegoś amatora cudzej własności, w której rozwodził się nad niesprawiedliwością losu i złem urządzeniem świata“. Tarchale przeciwstawia autor ideał dodatni: szewcę Ignasia, który z zagranicy nie przywiózł żadnej myśli, nie wzniecił w sobie żadnego szerszego uczucia, zato „cichy, łagodny jak baranek“ siedzi cały dzień, jak przykuty do niskiego stołeczka, a w niedzielę używa szczęścia przy boku równie jak on ograniczonej połowicy.

Ideał mieszczański przemienia się w małomieszczański...

W obronie haseł mieszczańskich w wielkim stylu pomysłanych walczył Jan Lam, piórem satyra, ostrem, morderczem, tem straszniejszym, że nie zabijało, lecz na długie lata ośmieszało. Około r. 1880 minął już był czas, kiedy Galicya była zagrożoną przez Stadionów, Precliczków, system germanizacyjny. Autonomia zdobyta, rządy polskie, językowi nic nie groziło — zagrożonym był zato duch narodu. Galicya przedstawia się więc Lamowi, jako wielka galerya *Głów do pozłoty*, jako „kraj lichych arystokratów, głupich szlachciców i przewrotnych demagogów“. Panującym w powieściach Lama typem jest taki Klonowski, o którym szlachta mówi: „Klonowski? to luminarz, to znakomitość krajowa. Ma w małym palcu więcej rozumu, niż my wszyscy razem w naszych głowach, a przytem jestto patriota, jakich mało, tylko widzisz: rozważny, roztropany,

głęboki polityk“ — a który w rzeczywistości jest łotrem nad łotrami, fałszerzem i denuncyatem, krzywdzicielem wdów i sierót, zagarniającym przytem najwyższe w kraju godności, aby ze szczerą zresztą, polską dobroduszością tem bezkarniej duścić swe ofiary.

Typ ten nasuwa się Lamowi w każdej powieści pod pióro, a obok niego figuruje stale książę, któremu raz na imię Błaga, a raz Skiergiełło, który raz dopuszcza się najbrzydliwszych szwindłów przy „grynderstwach“, a raz zamąca całą politykę krajową, aby nagle uczuwszy nudy, na redaktora swojego organu codziennego odkomenderować ekonomą i wyjechać na polowanie do Indyj. To są główne osie spraw publicznych, ciągnionych przez takie siły obywatelskie, jak ks. Zygmunt Stodolski, działający na dewotki pochlebstwem, terorem i flirtem, gromady jego owieczek, między którymi obok dewotek, wychowujących świadomie łotrzyce, znajdują się pobożni profesorzy uniwersytetu, dalej jak „doktor“ Emanuel Mitręga, przystojny blagier, oszust i nieuk, który umie się wysuwać na naczelnego redaktora dziennika i dyrektora instytucyj finansowych itd. itd. Wszyscy oni trzęsą opinią publiczną, są ojcami kraju, a jeżeli koniec ich jest smutny, to nie dlatego, jakoby społeczeństwo się poznało na ich wartości, lecz ponieważ zepsuci powodzeniem, sami przeciągają strunę, aż ta pęka — ku zdumieniu ogółu „Golicyi i Głodomeryi“ czyli „Milicyi i Landweryi“, uważającego ich do ostatniej chwili za świeczniki narodu.

A co robią żywioty dodatnie, ludzie reprezentujący ideał?

Nic nie robią. Lam tak dalece tkwił w swoim czasie, a w jego smutnych warunkach uważał dodatnią akcyę publiczną za tak utrudnioną, że czego najwięcej od ludzi żądał — to cnót prywatnych, a bohaterów społecznych nawet wyobrażać sobie nie umiał. Bądźcie dobrzy, bądźcie uczciwi! woła w każdej powieści — reszta sama z siebie przyjdzie. Tak Moulard z *Głów do pozłoty*, jak i spokrewniony z nim Wołodecki z *Dziwnych*

karyer (1880) są z natury cisi i skromni pracownicy, ze sporym zapasem sentymentalnej poezji w duszy, rzućni jednak w wir walk i interesów publicznych, kręcą się w nim, jak nieporadne dzieci i ani razu nie wznoszą się na wyżynę czynów i ideałów społecznych. Jakież smutne wrażenie wywołują owi *Idealisci* Lama, mający ucieleśniać zasady postępu i pozytywizmu, jak Lam je rozumiał! Zamecki i Skryptowicz są to natury nawskróś szlachetne i wspaniałomyślne i jak wszystkie tego rodzaju dają się łatwo wyzyskiwać i nadużywać; nie cierpią jezuitów i bigotów, ze współczuciem szczerem odnoszą się do ubóstwa i cierpienia, są bez przesądów rodowych i religijnych, śledzą postęp wiedzy współczesnej... zresztą?

Skryptowicz głównie tem się odznacza, że ma zwyczaj kłaść się i wstawać tylko dwa razy w tygodniu, pracuje zaś podobno nad wielkim jakimś dziełem, nikt jednak nie wie i nigdy się nie dowie, nad czem. Zamecki, pan milionowy, jest dla swoich chłopów „dobrym“, a działalność jego obywatelska na tem polega, iż z księdzem i doktorem schodzi się codziennie popołudniu na gawędę i partyę wista. Do tej samej rodziny „idealistów“ należy Wołodecki z *Dziwnych karyer*. Owe typy dodatnie — to epikurejczycy życiowi, nie czujący żadnej odpowiedzialności społecznej, nie podnoszący palca, by do ziemi zbliżyć cokolwiek — nieba... Tego nieba, zasianego imionami tylu męczenników, bojowników, marzycieli i badaczy jutra, poprostu jakby nie znali. Prawdziwi pozytywiści: istotą ich indywidualizm; niech kwitnie uczciwość i szczęście jednostek — całość sama się złoży...

Ten pogląd, wynikający z dzieł, był wpływem duszy pisarza, ale też czasu i społeczeństwa, w którym podnioslejszy ideał przyszłości wcale się nie zarysowywał.

W mieszczaństwie lwowskim, galicyjskim, Lam go nie dostrzegął... Miał natomiast widać dość modeli na Gruszczyńskich i Mitręgów — miotał więc zabójcze sarkazmy, zalecał

oświecony epikureizm i był do dna duszy smutny... W światopoglądzie tego humorysty tkwi tragizm.

Więc: albo cofanie się wstecz, do bagnisk małomieszczaństwa — albo bezczynność, kwietyzm w draperii estetyzmu i filozofii, z gestem niechęci i satyry — oto co około r. 1880 uderza w Galicyi. Wierny-to obraz społeczeństwa, które po krótkich porywach, po konwulsyjnych szamotaniach się jednostek, popadło było w wschodnią gnuśność umysłową i życiową. Poczieszano się, że „idee przewrotu nie mają u nas gruntu podatnego“, jako obce charakterowi narodowemu i sytuacji kraju, narkotyzowano się pustymi frazesami, którym z trudem usiłował nadać życie Mikołaj Zyblikiewicz — dopóki złamany i rozgoryczony nie został usunięty z areny publicznej kraju, toczącego się coraz szybciej na brzeg przepaści...

Gdy to się dzieje i myśli w Galicyi — okazują „postępowcy“ w Warszawie znacznie większą żywotność i większą energię ducha. I tutaj czas około r. 1880 jest punktem zwrotnym; w głębi społeczeństwa odbywa się ewolucja stosunków, pod powierzchnią torują sobie drogę nowe, rwące prądy. W cichości, przeważnie nieuświadomiony wre protest przeciw ideałom mieszczańskim, a garść zapaleńców daje mu wyraz czerwony, łącząc się z partią przewrotu. Na tem pograniczu każdy z wybitnych pisarzy zajmuje stanowisko, odpowiednie swemu temperamentowi. Polemiczny, racjonalistyczny Świętochowski stoi wytrwale przy sztandarze mieszczańskim i na młodych odstępców miota (z łamów *Nowin*, potem *Prawdy*) zatrute strzały swego dowcipu, by z czasem uczuć się ku nim pociągniętym; estetyczna szlachecka natura Henr. Sienkiewicza odwraca się od terażniejszości coraz mocniej rażącej jego nerwy artystyczne, cofa się ku purpurze i karabelom przeszłości. Najwięcej duchem altruizmu przejęty Bol. Prus pierwszy odczuł nowy prąd i pisał właśnie (1880) *Powracającą fałę*, która jest także powracającą fałą uczucia i szerokiego zmysłu społecznego w beletrystyce.

Wysoko dzierżyła dotąd sztandar pokolenia Eliza Orzeszkowa. Ona-to długo wciela najwierniej i najrealniej ideały pozytywistyczne, śpiewa najgłośniejsze hymny na cześć postępu, wiedzy, obowiązku, rozwiewa mgły przesądów społecznych, klasowych, wyznaniowych, apoteozuje najpraktyczniejsze, najdemokratyczniejsze działy pracy organicznej. „Inżynier — woła przez usta jednego z bohaterów — to ludzkość cała w swych dążeniach nieprzeparzonych ku wszystkiemu, co wielkie, piękne i dobre“. Z miłością zgłębia życie „różnych sfer“, broni człowieka w żądzie, śpiewa epopeję walki świata z ciemnością w losach *Meira Ezołowicza*, domaga się pracy i chleba dla nieprzygotowanej do walki o byt »*Marty*«, a wyżej nad prawa serca, nad miłość i szczęście indywidualne stawia obowiązek wobec ogniska domowego (*Marya*). Ale nadszedł czas, kiedy te idee przestały wystarczać. Marta umiała już pracować, była szwaczką, ale czuła się upośledzoną, wyzyskiwaną. Marta przysłała do przekonania, że niemoralnym jest życie w związku małżeńskim z człowiekiem, którego się nie kocha — serce jej z siłą rwało się do emancypacji. Ruiny szlacheckich egzystencji, wyrosłe z nieszczęść powstania, pokryły się fabrykami. Propagowana tak długo, tak niezmiernie praca organiczna zaczęła nosić owoce, i — jak w całej Europie — powstało i tu pytanie: podziału tych owoców. A z pytania tego urosło inne, większe, kwestya ideału dobra i sprawiedliwości wszechludzkiego...

Na bruku miejskim, w murach fabrycznych, nawet w szkółce wiejskiej ukazali się ludzie, którzy się tem pytaniem rozpłomienili. Orzeszkowa stanęła przerażona, i jeśli głośno nie wołała: „pali się!“ to z obawy, aby straż pożarna więcej nie narobiła szkody i spustoszeń, niż pożytku. Załamywała tylko ręce, rzucała spojżenia, pełne obawy, błagania, to groźby. Jak — podług Orzeszkowej — powstały i do czego dążą te idee?

»*Sylwek Cmentarnik*« (1880) przedstawia je na tle nawpół fantastycznym, nawpół kryminalistyczno-romantycznym.

Mamy tu dopiero zarodki, kielkujące w głowie prostaczka o ewangelicznej intuicji, który żywszy się ze swemi utopiami o uszczęśliwianiu ludzkości, zaniedbuje dla niej obowiązki najbliższe, znosi nędzę, prześladowanie, śmiech ludzki, przemienia się w dziwaka i maniaka, nareszcie pozyskuje kilku uczniów, którzy jego myśli tłómaczą sobie na język brutalnych swych apetytów; opętany niemi jeden z nich, Sylwek, pchany żądzą rozkoszy, zbytku, marzeń poetyckich, rzuca się w celu rabunku na bogatego szlachcica, którego jest synem naturalnym...

To wyraźne. Tensam problem występuje w powieści *Zygmunt Ławicz i koledzy jego*. Z jednej strony wegetacja w mieście, odcięciem od kultury, nie dającym możności rozwoju wrodzonych zdolności, lub zgnuszenie na wsi, wśród kłopotów i rozkoszy szlachcica-hreczkosieja, z drugiej — praca mrówcza, na zagrożonym posterunku, cicha, wytrwała, pełna upokorzeń, pełna abnegacji; jedno i drugie pozbawione lotu, nadziei bodaj zbliżenia się do wielkiego ideału. Gdy w tych warunkach zjawia się jednostka, marząca o przebudowie podwalin podobnego społeczeństwa, autorka każe jej to czynić z pobudek egoistycznych i kończyć zwyczajną demoralizacją.

W żadnej z tych powieści problem nie został postawiony szeroko i racjonalnie. Autorka czyni to w *Widmach* (1880).

Widma — słyszymy tu — towarzyszą nawet takim słońcom, jak oświata, rozum. Oto mamy pana Leonida Igorowicza, piękne, zdrowe, bezmyślne bydlę, wyzyskujące pracę drugich, biorące z kultury tylko najbrudniejszy materializm. Więc widma — to zwyrodnienie pozytywizmu i przeciw temu autorka wytacza oskarżenie? Nie, dla Igorowiczów ma anielską pogardę, natomiast widmem prawdziwie niebezpiecznym, kuszącym i mamiącym są *ułudy* fałszywego rozumu, widziane przy jaskrawem świetle najgorszego doradcy: rozpalonego uczucia. Widma te opętały Julka i Lusię, parę nawpół dziecinną, wychowaną w dusznej atmosferze nędzy i ludzi poświęcających się, go-

dnych czci, ale o głowach zbiedzonych i ciasnych. Co szepczą te widma? Młodzi „zżądali przedewszystkiem wszelkie a wszelkie różnice, zachodzące w losach, mieniu i dostojęństwie ludzi pojedynczych; potem przystąpili do różnic tych, które zachodzą nie pomiędzy ludźmi już, lecz ludami“. „Niema greka, ani żyda!“ wołali. „Nie będzie pracy ciężkiej, cierpienia i znoju!“ „Niema mężczyzny, ani kobiety!“ Wolna miłość! Nareszcie młodzi ci rzucają dom, rodzinę — „ołowiane wieko trumny, orszak sennych i splakanych“ i idą do wielkiej, kipiącej wówczas jak wulkan ogniem podziemnym stolicy — można się domyśleć: do Petersburga, aby idee swoje w czyn wprowadzić.

W uchwyceniu głównych rysów początku ruchu socjalistycznego w Polsce, specjalnie na Litwie, okazała autorka dużo intuicji. Intuicji — nie obserwacji, ta byłaby bowiem wskazała na bardzo realny podkład tego ruchu, na związek jego z kwestią robotniczą. I byłaby jeszcze jedno wskazała: oto, że ruch ów w początkach swoich był ideologicznym, oderwanym często od uczuć, przeważających w społeczeństwie, jednakowoż w pobudkach swoich wolny był od brudnego egoizmu, który w nim Orzeszkowa widziała, od pragnienia „wszystkich wyrafinowanych rozkoszy ciała i ducha“ i „hołdu powszechnego“... Ruch ów młodych ówczesnych wyływał z morza łez i krwi, z bólu i tęsknot, z uczucia tak silnego, że wpadało nieraz w obłąkanie; im bardziej pokojowym, zrezygnowanym, w cichej pracy widzącym alfę i omegę życia był program starych, a przynajmniej starszych, tem silniej musiała się przeciw niemu buntować garść młodych, drapująca się w chłód i naukowość, ale w gruncie rzeczy odnawiająca przymierze z ideałem, opiewane w *Odzie Mickiewicza*... Zadaniem przodujących narodowi jest ruch taki wyczuć i zharmonizować z tętnem narodem, a nie zohydzać go i potępiać. Uczyniła to Orzeszkowa później (*Nad Niemnem*), w r. 1880 rzucała tylko potępienie, które nie przekonywało, jak

nie pokonywał *widm* tom *Śpiewów Historycznych* Niemcewicza... Przepaść społeczna między dwoma pokoleniami się pogłębiała...

Ideał kultury pozytywistycznej — w oderwaniu od podziemia politycznego i ekonomicznego — odtworzyła raz z powodzeniem autorka z starszego pokolenia, która sympatyzując zawsze z „postępem“ obrała była sobie za specjalność — prawdziwie po kobiecemu — obronę „praw serca“, i przedstawiała w powieściopisarstwie pewne idee Jerzego Sanda bez jego poezji i siły. Walerya Marrené-Morzowska odtwarzała w swych romansach świat elegancyi, dostatku i kultury, „dobre towarzystwo“, pełne mężczyzn pięknie wychowanych, o przedelikatnych nerwach i zniewieściałych ramionach, kobiet z atmosfery cieplarnianej, karmionych od dzieciństwa salonowymi kłamstwami, ciągnących za sobą przez całe życie kajdany przesądów stanowych i zabijających konwenansów. Takie roślinki — szczególnie żeńskie — poraz pierwszy wystawione na zimny podmuch rzeczywistości, tembardziej na huragan namiętności, muszą się zachwiać, albo i złamać. Momenta te tragiczne autorka najczęściej widziała w burzach serca; opowiadała też na rozmaite tony raz dzieje serca „omyłonego“, to ockniętego zapóźno, lecącego ku drugim pierścionkom, w których serca niema, albo spętanego, skazanego na wyschnięcie...

Był to czas, kiedy we Francji Naquet toczył walkę o prawo rozwodu, kiedy Dumas syn wydał swą sławną *La question du divorce*. I Marrenowa podniosła ten sztandar, dawniej także już przez nią wystawiany, w *Januarym* (1880 r.). I widzimy tu parę kochających się serc, które potargały więzy przysięgi, łączącej Helenę z mężem niekochanym; widzimy ją w związku, niepobłogosławionym przez kościół, pobłogosławionym jednak głębokiem uczuciem, szacunkiem i dążeniem do wzniosłych celów ogólnych; widzimy nareszcie, jak upór gburza nieokrzesanego, który wsparty o brutalną siłę pisanego kodeksu gwałci wolę dwojga szlachetnych serc i nie chce się zgodzić na rozwód, zabija rodzinę, spojona węzłami prawdziwej moralności, bo

nieograniczoną miłością, pobłogosławioną pięknymi planami pracy kulturalnej...

W takiej krytyce indywidualnych stron życia współczesnego kulminuje ówczesny liberalizm. Tryumfuje ta krytyka w dramatach i nowelach Świętochowskiego.

A oto ideał czasu typowy, wypieszczony i dociągnięty do znaczenia wzoru, stawianego dorastającemu pokoleniu.

W r. 1882 zapragnęły przełożone prywatnych zakładów naukowych żeńskich w Warszawie uczcić pamięć Pauliny Krakowowej i rozpiwały konkurs na „dziełko w formie powieści lub pamiętnika, przedstawiające obraz dziewczęcia i wzór dojrzałej kobiety na tle stosunków społecznych, potrzeb chwili obecnej i wymagań zdrowo pojmowanego postępu. Szło o ukazanie dodatnich i ujemnych stron życia społecznego, wypowiedzenie pragnień, zawodów, przedstawienie walki z okolicznościami i z samą sobą, o wzruszenie i rozgrzanie, zatem zbudzenie zapomocą uczucia szlachetnych dążeń i postanowień. Kobieta przedstawioną być miała na polu właściwego jej działania w rodzinie lub poza jej obrębem, a osoby wchodzące do dziełka winny były należeć przeważnie do średniej klasy społeczeństwa polskiego, będącej najlepszym przedstawicielem bytu narodowego“. Konkurs więc — na ideał mieszczański.

Ideał ten się znalazł. Komitet konkursowy, złożony z Maryi Ilnickiej, Jadwigi Sikorskiej, ks. Zygmunta Chełmickiego, Piotra Chmielowskiego i Floryana Łagowskiego, więc z wybitnych konserwatystów i pozytywistów, uznał za odpowiadającą warunkom konkursowym powieść *Zofii Urbanowskiej* pt. *Księżniczka* (I. wyd. 1886 r.).

Jak ów ideał wygląda?

„Księżniczka“ — to urągliwe przezwisko nadane przez rodzinę Radliczów Helenie Oreckiej, córce jednego z rozbitków ostatniej burzy, który szlachetny swój zapal, nareszcie łatwo-wierność, nieopatrność i przyzwyczajenie do wykwinanego, wystawnego życia szlacheckiego przypłacił zupełną ruiną ma-

jątkową. Helena postanawia tedy pracować — niczego dobrze nieumiejąc i wstępuje do kantoru kupieckiego Radlicza, otrzymując na początek piętnaście rubli pensyi i utrzymanie przy jego rodzinie. Helena odbija od tej rodziny, jak księżniczka od gromady plebejuszów, wkrótce jednak okazuje się, że wartością umysłową, moralną, narodową, stoi znacznie od tych plebejów niżej. Każdy z nich jest uosobieniem katechizmu cnót mieszczańskich, a z tego każda pada na delikatną, wytworną duszyczkę dziewczyny, ciężarem stupudowym... Życie Radliczów jest od świtu do późnej nocy jednym pasmem surowej pracy, groszowej oszczędności, kręcenia się z regularnością kółka maszynowego w kole twardo pojmowanego obowiązku. Młody Radlicz kieruje zakładem hodowli nasion, jedna siostra jest kwiaciarką, druga maluje na porcelanie, trzecia fabrykuje „konfekta“, matka chodzi z kluczami u pasa i ceruje skarpetki. Cały tydzień pracują oni niezmiernie, w niedzielę schodzą się na uroczystość familijną; czytają, grają, śpiewają, dyskutują o sprawach społecznych i rodzinnych. „Marzycielstwo“ mówi Andrzej, „jest rzeczą szkodliwą, jako przytępiające energię i prowadzące do lenistwa duchowego“. Urbanowska każe wszystkim członkom tej rodziny mieć głębokie uczucia artystyczne, ale w muzyce Beethovena podnosi jej „trzeźwość“. Dom to ponury i kwakerski, lecz dusza Heleny podnosi się powoli do tej siły, którą on góruje nad estetycznym, wesołym, a tak słabym w walce o byt dworkiem starego Oreckiego.

Bardzo to ładnie i niepozobawione racjonalności. Walka o byt ma prawa niemiłosierne; ignorować je — jak to czynią starzy Oreccy — nie wolno; ale nie wolno też uważać ich za granice naszego poznania, naszej doli, naszych ideałów...

Zobaczymy, jak wyglądają dążenia etyczne, ekonomiczne i społeczne konkursowych wzorów.

„Rachunek“ wyklada Helenie Andrzej Radicz „jest podstawą wszelkiego porządku społecznego, a więc i szczęścia

w rodzinie. Miłość nie jest czem innym, jak tylko rachowaniem wzajemnym dwojga ludzi na siebie, popartem wiarą, że żadne nie popełniło omyłki.

„Rachunek — to nasz mentor, nasz historyk, to nasze sumienie. Rachunek to podstawa cnoty takiej doniosłości, jak oszczędność, wiodąca do dobrobytu, z którym znowu idzie w parze moralność“.

Zbliżamy się do klasycznej ekonomii mieszczańskiej.

„Mówiłeś pan — woła piękna Helena do Andrzeja — że trzeba czynem dowodzić miłości dla kraju. Czy pan z patryotyzmu nie dla własnej korzyści produkujesz i sprzedajesz nasiona? Czy pańska najstarsza siostra dla miłości ojczyzny i zarobienia sobie na nieśmiertelność smaży konfitury i konfekty, że już nie mówię o podkładkach do bukietów, wyrabianych przez młodszą?“

— Tak jest, pani — odrzekł Radlicz z niezachwianym spokojem — bo pieniądze, posyłane do Erfurtu, Gandawy i Kwedlingsburga za nasiona, do Moskwy i Kijowa za konfekty, do Paryża za podkładki w znacznej części, pozostaną w kraju. Prawda, że my sami na tem korzystamy, ale korzysta niemniej kraj cały. Gdy jednostki się bogacą, wzrasta bogactwo narodowe“.

Wniosła teoria — i to w blisko 40 lat po śmierci Bastiata! A co owe jednostki idealne, które kochają kraj swój pracą, zbogacaniem się, myślą — dla niego jeszcze robią? nic, nic zgoła! Urbanowska nie ukazuje idealnych swoich ludzi ani razu w sferze publicznej, ani jeden ich czyn nie przekracza zakresu osobistego interesu, ani jedno słowo — zakresu pustego, bo nic nie kosztującego frazesu. Prawda, ubogiej, prawie oślepej staruszce Radliczowa daje pozbierane ze stołu suche odpadki chleba. To cała działalność społeczna rodziny.

Możnaby to wziąć za ironię ze strony autorki, gdyby nie była postarała się udowodnić, że — wierne echo swego czasu —

wyciąga z programu pozytywistyczno-kapitalistycznego świadomie, zasadniczo, celowo, ostateczne konsekwencje.

Oto Helena spotyka nędzarza, wyciągającego rękę po jałmużnę.

— „Nie dawaj mi pani ani grosza, bardzo proszę — zabrzmiał tuż nad nią ostro głos Andrzeja. — On nie wart litości! Wypędziłem go stąd za próżniactwo i szerzenie ducha nieporządku między moimi robotnikami!

„Nigdy go jeszcze nie widziała tak rozgniewanego; żyły mu nabrzmiały na skroniach, oczy ciskały błyskawice, głos grzmiał, jak piorun.

— „Nie przeczę, że musiał być bardzo winnym, skoro go pan tak surowo ukarał — odpowiedziała — ale jeżeli jest głodny, czyż mamy mu dozwolnić umrzeć bez pomocy?

— „Niech zarabia na chleb.

— „A jeżeli nie może znaleźć pracy?

— „Pracę znajdzie każdy, kto jej szuka — odpowiedział — ale temu zachciewa się żyć kosztem pracy innych. Słowa pani przynoszą zaszczyt dobremu jej sercu, ale dowodzą jego niepraktyczności i braku doświadczenia. Wspierać żebraków jestto podtrzymywać nędzę“...

I ostatecznie dla udowodnienia, że ideał miał rację, kiedy mówiąc o robotnikach był rozgniewanym, jak nigdy, autorka każe temu jedynemu, figurującemu w jej utworze robotnikowi, „chcącemu żyć kosztem pracy innych“ podpalić magazyny... „Światła brak, światła!“ wzdycha wtedy Radlicz. „Ale światła rozpalone w różnych punktach — (nie widzieliśmy, aby Radlicze zapalali światło, a wiemy tylko, iż wzbogacenie się osobiste identyfikują z bogactwem społeczeństwa!) — gasi jakby naumyślnie wiatr nieprzyjazny i zasypuje popiołem“...

Autorka każe jednak mieszczaninowi być szlachetnym i przygarnąć do siebie dzieci owego zbrodniarza-robotnika. „Księżniczka“ stoi już na szczycie rozwoju, ma charakter i inteligencję ulepioną na obraz i podobieństwo Radliczów, i zostaje

wynagrodzoną: otrzymuje rękę brzydkiego, ale wcielającego, ideał wieku, Andrzeja.

Oto światopogląd typowy, skończony w każdym szczególe, przedstawiony z najlepszą wiarą, z miłością ogółu, z zapalem, a tak ciasny, tak samolubny, tak mały. Nie ulega wątpliwości, że ta, co go wygłosiła, jest lepsza od słów swoich; przemawiają za tem bodaj niektóre ustępy książki, niepozbawione podniosłości. Ale one są właśnie wytworem pogardzanych marzeń i fantazyj, i z „rachunkiem“ nic nie mają wspólnego. Wyschnięcie serc — indywidualizm samolubny — najfałszywszy pogląd na kwestyę narodową i społeczną — oto co w prostej konsekwencji wypływa z jej światopoglądu. Bardzo należy wątpić, czy takie konsekwencje prowadzą do Polski...

Jeżeli podobne sztandary i ideały przyświecają „postępowcom“, to jakie gwiazdy płoną o tej porze na niebie pragnień i nadziei konserwatystów?

Najwyższy z nich duchem i inteligencją w Krakowie, Józef Szuj ski, pochłonięty działalnością profesorską i wielostronną agitacją partyjną, bardzo luźne w owym czasie utrzymywał związki z literaturą. Dawno już minął był czas, kiedy i on był farysem, kiedy i on (w 1858 roku) pisał w dumnej i pełnej siły *Modlitwie prometejskiej*:

Potrzebie niech ugną się mali,
Niech karty do nóg się jej wała,
Nie mogąc płynąć za falą —
Ja niechaj płynę wbrew fali:
A nie pohańbię mych ojców i braci
W pokornej i skromnej postaci.

Nie!... wyprężony w męczeńskiej postawie,
Rozkrzyżowany w dumnej mojej męce,
Gdy o granit białą pierś pokrzwawię
A w walce z sępem potargam me ręce —
Niech nie pomyślę o rozkuciu przecie,

Ani o wonnym w Olimpie nektarze :
Niech nie pomyślę, jak niebios mocarze
Długim szeregiem szliby w powitanie,
By mi osłodzić tryumf ich na świecie:
Niech raczej ginę, — ginę jak Tytanie!

Szujski ginął — nie jak Prometeusz, mimo to, szarpały mu pierś sępy, sępy zwątpienia i trwogi... W ostatnim jego dramacie *Śmierć Władysława IV* (r. 1876), przebija się ton bezbrzeżnego pesymizmu i rozpacz. W epoce, z której Sienkiewicz wyrzesał iskry nadziei i „pokrzepienia“, historyk-myśliciel, symbolizujący obrazami przeszłości zawsze walki, wady, tendencje dnia dzisiejszego, znalazł tylko błoto, miał, gorycz bezdenną... Nie ustawał mimo to w pracy, na obranej raz drodze szedł — do ostatnich konsekwencji. W *Ziarnie* (1880 r.) pisze:

Wzrok mój na stary Wawel w blaskach słońca pada:
Krzyż na nim — gdzie krzyż świeci, znajdzie się i rada;
Rada dobra na ludzi czy narodu życie:
»Trzymajcie się wy krzyża, w krzyżu zwyciężycie«.

W r. 1880 odbył się w Krakowie obchód ku czci Jana Długosza. Szujski ukończył był właśnie sławne swe prelekcje o *Odrodzeniu i reformacyi* i treść swych dążeń i aspiracji skondensował — przedstawił narodowi w dydaktycznym obrazie historycznym: *Długosz i Kallimach*. W dwóch tych jednostkach chciał dać dwa typy — dwie siły dziejowe. Historyk polski — to kultura i polityka bezpośrednio pochodząca od Zbigniewa Oleśnickiego, wroga wszelkim dążeniom, które nie są oparte na tradycji i ślepej zależności od kościoła; Kallimach zaś reprezentuje pierwiastek renesansowy, ducha rozpinającego orle skrzydła, by szybować w krainę słońca, piętna, potęgi indywidualnej i zbiorowej — niczem nieskrępowanej... Kallimach stawia wielkiego Lukrecjusza, potem Prometeja.

Co z niebios zniósł płomień czerwony,
Zdobycz, co go rozpięta na Kaukazu skale,
Ale z bóstwem Olimpu zrównała wspaniale...

DŁUGOSZ.

Nietylko rozum ludziom dał Bóg, dał i serce!
Serca tego pragnienia rozum nie uśmierzy,
Prawdy zdobywa rozum, w prawdę serca wierzy..
Biada tym, co prostaczych przerwą zbożną ciszę,
Co w morzu ludu zażędz chcą swej piersi burzę,
Bez słowa, co wszechmocnie panuje naturze!
Spiętrzy się olbrzymiego lwa pustyni grzywą
Lud, co nietylko myśli, ale czuje żywo,
Lud, którego on chował na mieszkańca nieba
Zażąda nieba od was. Wy dacie mu — chleba!
Ducha, ciała, wy trwożni w jego straszne tonie
Rzucicie, wszystko, wszystko on głodny pochłonie
— Nieba w duszy i drogi w niebo mu nie dacie...
Sam je znajdzie... Lecz wtedy w bólu majestacie,
W uczuciu drogi błędnej, którą szedł za wami...

KALLIMACH.

Księgi nasze i pisma ułoży stosami,
W stosach tych apostołów krzywej drogi spali!
Czy tak?

DŁUGOSZ.

Jest stos inny, który bardziej smali...
Na sławy buntownicze stosem tym są dzieje!

KALLIMACH.

Powiedzcie, gdzie ta wiara, którą niebo dało,
Kiedy rwą się tu myśli straszne, płomieniste,
Dumne, wbrew Bogu siły zrywające boże,
Gdzie jest moc, co tym myślom wędzidło zakłada,
Co musi dawać spokój, co do modłów składa
Ręce, powiedzcie, proszę!

DŁUGOSZ.

A gdzieżby? W pokorze,
W zapomnieniu o sobie, w miłości za sobą
Świata, ludzi, kraju...

Do filozofii wędzideł i pokory doszedł autor *Promejskiej modlitwy* i pokory uczył narodu, któremu Prometejem być! To ostatnie słowo — ideału. Ostatnie słowo poezji, przykrojone do użytku codziennego, do agitacji, do tendencji. W życiu wielu takich ludzi, jak Szujski, było z pewnością więcej poezji, niż w ich pismach, a więcej niż w życiu — w głębi dusz, które splatały się w bratniej miłości z najwyższym poetą tego czasu: Matejką. Doktryna nakładała jednak pęta duszy, doktryna tłumiała tętno serca, polot fantazyi, wobec wybujałości uczucia poprzedników — nałożyła na nie jarzmo odwiecznego autorytetu i zamykała potężne nawet jednostki w ślimaczej skorupie.

I tak literatura tendencyjna karłała, obniżała się miara człowieka, pozytywizm tak liberalny jak i konserwatywny wobec wielkiej spuścizny oraz wzmagających się gigantycznych potęg czasu szedł wstecz...

Obraz doby i jej tendencyj nie byłby zupełny, gdyby pominięto jej satyryków.

Są oni negatywną fotografią czasu, która odwrócona daje portret realny i wierny; są nieodłącznymi towarzyszami czasów i wojen społecznych w literaturze, jak owi kaznodzieje obozowi ze swemi rubaszniemi „kapucynadami“.

W Galicyi satyra kwitła bujnie, szeroko; sprzyjała jej swoboda polityczna i — zachwaszczona niwa publiczna. Przez długie lata satyrycy grupują się przedewszystkiem koło dwóch pism: we Lwowie koło *Szczutka*, w Krakowie koło *Djabła*.

Założony i prowadzony przez Liberata Zajączkowskiego *Szczutek* był w latach 1867—1880 sui generis potęgą polityczną i odzwierciedla doskonale wszystko, co w ówczesnym Lwowie było dodatkiem, oraz ujemnym i groteskowym. Więc patryotyzm nieprzejednany, połączony z tendencją słowianofilską i... kultem Heinego, więc zacietrzewienie po-

litykomanów, krzykliwych „tromtadratów“ obok braku zrozumienia dla ideału odrodzenia od podstaw. Zawsze jednak pod trzymywał *Szczutek* za dobrych swych czasów płomień patriotyczny, gromił „gogów“, „strachajłów“, „kołtunów“, matadorów krakowskich...

Koło *Szczutka*, w r. 1880 także koło *Chochlika* grupowało się kilku pisarzy wesołych, hulaszczych, wykrzesających z nędzy kraju i — własnej, skry dowcipu i głębszej nieraz satyry politycznej i obyczajowej. Górował tu niewyczerpanym, Hogarthowskim dowcipem Lam, rzucał błyskawice poezji Stebelski, harce wyprawiał na kawalerskim rumaku Chochlik-Zagórski, przyłączał się truchcikiem Rodoć. Satyra ich jest pozbawiona wielkości, humor ich obcy, nic nie mający wspólnego z szczeropolskim, sentyment ich Heine'owski.

Chochlik jest typem literata, którego muza przechadza się, a czasem zatacza, zawsze z animuszem, zawsze pod dobrą datą. Po lwowsku śpiewa, jak „rozkoszując w kontuszówce — człowiek strąbił się, jak szwiec“, aby potem „z głową ciężką, niby ołów — zbudzić się wpośród popiołów — wpośród kart podartych talij — z smętnem uczuciem kanalii...“ Wtenczas „wstrząsa w sobie anioła“, aby za chwilę z szerokim śmiechem starego knajpiarza śpiewać sentymentalnodrwiące pieśni o dziewczętach i rezonować o „społeczeństwie“. Kpi więc z opastych mnichów, spijających kufy wina, gdyż „in vino veritas“, z arystokratek-bigotek i modnych labusiów, przewracających pobożnie oczkami przy obfitym obiedzie — ad majorem dei gloriam. Bezustannie „nabiera“ sawantki, emancypantki, inne „niewiasty“ i pean wyśpiewuje na cześć „przezornego człowieka“, który zbrojny we wszystkie cnoty filisterskie będzie mógł „los wyzwać w zapasy — zbrojny w kiełbasy“. Najulubieńsza wszakże jego melodia — to jakby z Wiktora Scheffla lub Baumbacha wzięta pieśń burszowska, po której opanowuje go *katzenjammer* i na myśl przychodzi król Salomon ze swoim *vanitas vanitatum*.

R o d ó c późno zaczął nasiąkać atmosferą lwowską, wzorował się na Berangerze, od którego się nauczył francuskiej ciętości bez sentymentalizmu, wzgardy dla ultramontanów i kręcenia biczów na przeciwników demokracji. Nie dosiadał wielkiego konia, lecz drobnym, poetycznym kłusem biega za rycerzami blagi, szalbierstwa, goni pustych, deklamatorskich „patryotników“, obłudnych, świętoszkowskich jezuitów, szarlatańskich, tchórzliwych, samolubnych stańczyków i gdzie może krótkimi, zgrabnymi ruchami pióra kole ich i rani. Smaga nielitościwie brak charakterów, oportunizm polsko-austriacki:

Wreszcie dożyliśmy ery:
W Wiedniu jesteśmy najpierwsi,
Tytuły, wstęgi, ordery
Splynęły nam na sto piersi.
Wielki i miłosierny Boże!
Co to kraj, gdy chce — mieć może!
.
I stanu mężów moc duża,
Co, gdy wybije godzina,
Żadna ich nie zwali burza,
Będą się... giąć, jako trzcina,
I choćby kraj dyabli brali,
Oni będą stać — jak stali.

W *Mowie przedwyborczej* charakteryzuje źródło i jakość „zasad polityków galicyjskich“:

Panowie! mam kufrы pełne,
Więc jestem konserwatysta...
Demokracy, liberały,
Postępowcy — ten tłum cały
Nie ma głosu, bo jest goły,
To są warchoty!

Z powstrzymanym wybuchem, pod maską dobroduszej maksymy *»trudno i tacy być muszą«* opowiada o pewnym dziwnym człeku, cudackim i ponurym, który „jak żył, tak

umarł mizernie“, nie umiał kłaniać się, czapkować, jako kupiec „chciał miłość bratnią zaszcześcić w kupieckie ciało“, jako gospodarz chłopom „rozdął wszystko co do centa“... W nim najwyższy ideał Rodocia.

Inaczej rozwijała się satyra w Krakowie. Miasto stare, konserwatywne, patetyczne, nie sprzyjało lekkim, demokratycznym Arystofanesom. Stańcycy zdobywszy się na dzieło krwawej satyry w *Tece*, dalej tego kierunku publicystyki zaniechali i tylko Szujski stygnącą już ręką próbował pisać utwory w rodzaju i duchu Opalińskiego. Przeciwnicy tej partyi grupowali się około *Dyabła*. Pismo to, w przeciwieństwie do lekkiego, często wyuzdanego tonu, jaki panował we Lwowie, było zawsze pełne patosu i namaszczenia, pałac się głębokim żarem patriotycznym węszyło na każdym kroku odstępców. „Od Krakowa po Podhajce — sami zdrajce“. Walcząc zacięcie z stańczykami — rogiem swym tratowało też niwę wiedzy i sztuki nowoczesnej; pocziwie mając chęci — ugrzęzło w tonie koturnowo-trywialnej deklamacji, odpowiadającym ostatecznie nastrojowi umysłowemu niezbyt wymagającego małomieszczactwa. Z piszących tutaj — wyżyny artystycznej dosięgnął tylko Kazimierz Bartoszewicz.

Na szerokiej kanwie stosunków, przesądów, przywar towarzyskich rozsnuwał swe utwory satyrą i myślą postępową nacechowane Mieczysław Pawlikowski. Autor wydanych w poprzednim okresie znakomitych *Płotek i prawd* nie rzuca w utworach beletrytycznych szerokich syntez społecznych, nie przedstawia konfliktów zasad i stronnictw — wydobywa tylko pewne struny duszy i każe ich dźwiękom wywoływać w nas asocjacje zdrowe szlachetne i dodatnie. *Testament Napoleona* (1880) opowiada, jak stary, bogaty oryginał, zapisał dobra swe temu z grona sąsiadów i druhów, który innych przeżyje, z warunkiem, by każdy z nich zarządzał majątkiem przez rok i na dorocznej uczcie, w dzień zgonu testatora, zdawał sprawę, jakie ulepszenia, jakie postępy zaprowadził,

jak pomnaża skarb wspólny — dla przyszłego pokolenia. Niestety, ta myśl Napoleona ginie, wypaczona, zagłuszona przez niskie popędy natury ludzkiej. Spadkobiercy nie o pomnożeniu skarbu myślą, nie o braterstwie i idei wspólnej, lecz... jakby reszty współzawodników się pozbyć... W *Drugim tomie* chlōsta Pawlikowski fałszywe, zgubne pojęcia inteligencji o honorze, Satyra jego wytworna, głowa pełna kultury — jej pomysły są jednak nieco wymuszone, skłonne do dziwactwa, brak im przytem krwi...

Poza Galicyą rozwija się satyra oczywiście tylko obyczajowa. Ostrze jej z góry już stępione, pole „gryzienia“ nader ograniczone. We wkłęsem zwierciedle ideał mimo to widoczny.

Ok. 1880 roku zaczął w Kijowie ogłaszać swe utwory Włodz. Wysocki. Nad czasem swym nie górował, widział jednak bystrem okiem satyryka śmieszności jego, zboczenia, błędy, zaś sercem poety czuł niedolę społeczną. W pierwszym swym poemacie uderzył na zdrożności szlachty, która w wybuchu czułości krótkotrwałej, podochocona trunkiem i frazesem, woła buńczucznie: Wszyscy za jednego! a wytrzeźwiawszy i ochłódwszy nieco, wydaje sąsiada na pastwę niemcowi, co więcej, gremialnie ulega Bismarkowi prowincjonalnemu i sprzedaje mu majątki — szczególnie gdy ten zaprosił wszystkich na suty obiad:

... bo wiedział, że szlacheckie serce nie z kamieni,
Ze nas najłatwiej zwalczyć — nadzieją pieczeni.

Grzeszy szlachta wobec ziemi rodzinnej, grzeszy wobec ludu... *Zakłętą tsa* — to kropla krwi, którą szlachcic wypił w winie, a następnie w ślinie wypuł na twarz chlōpa. Zostaje ona przekłętą dopóki nie wystąpi na czole szlacheckiem — kroplą potu. Bo

Przekłety, kto w siłę zamożny i prawo —
I słabych małuczkich znieważa...

Kropla ta dotąd nie wystąpiła... Palilo się oblicze szlachty

łzami bólu, poniewierki, tęsknoty, mięszały się one z krwią bohaterską — potem pracy dotąd nie wystąpiły...

A praca ta głównym źródłem zbawienia. Surowo też karci Wysocki szlachtę.

Czy umie tak jak Niemiec roztropnie a skrętnie
Prowadzić swoje sprawy, żyć skromnie, oszczędnie?

Nie, ona trwoni ojcowiznę

ani myśląc o przychodzie
aby był z rozchodem w zgodzie.

W kropli potu leży też odkupienie... Więcej, niż autor myślał, jest w jego satyrze — satyry.

Wysocki był w połowie lat osmdziesiątych prawie jedynym poza Galicyą satyrykiem; szkicował jeszcze od czasu do czasu Klin do narodu orędzia, w których było więcej wątroby, niż serca, a więcej niż wątroby pretensyj, jednakowoż lubo powtarzał za starym poetą, że zechce kraj czy nie zechce — czytać go musi, wrażenia nie robił; nie satyryk zeń przemawiał, lecz stetryczały mizantrop.

Wszyscy ci satyrycy-artyści lub z pretensjami do arcyzmu, wraz z wspaniałymi satyrykami fejletonistycznymi: Świętochowskim i Prusem, to mają z sobą wspólnego, że nie stoją ponad swoim czasem. Każdy, jak może, służy mu, nikt go nie wyprzedza; każdy tkwi w jego pojęciach i dążeniach, pragnie tylko usunąć drobne jego cienie, właściwe w ogólności naturze ludzkiej, lub rzucane przez wlokących się opieszale maroderów — nikt, prócz zakamieniałych konserwatystów, nie kwestyonował ducha jego... Nawet ta garść satyryków politycznych Lwowa, która w siedmdziesiątych latach opierała się polityce zgody z losem i filisterstwem, z początkiem lat osmdziesiątych traci na znaczeniu, abdykuje, rozplywa się w fali prądu ogólnego. Z protestem zostają na placu tylko nieliczni a dość smutnego wyglądu epigonowie poromantyczni...

Nikt z nich swego czasu nie przerasta — a któż go przerastał?

Z tajni duszy narodowej wydobyte objawienia i gwiazdy przewodnie, zaklęte w pismach trzech wieszczów, były jakby zapomniane. Rozkoszowano się pięknosciami niektórych — w żadnym nie szukano jakiejś prawdy żywota. Literatura oddalała się od czystych źródeł, w których przeglądał się duch narodowy, oddalała się równocześnie od wielkich gościńców, którymi szła o tej porze myśl i sztuka europejska.

Przyszłość ma ten tylko, kto potrafi rdzeń swojej indywidualności rozwijać w zgodzie z nabytkami wolności i kultury powszechnej. Czas tryumfu pozytywizmu oznacza stagnację ducha własnego, a zapoznanie — z wyjątkiem niektórych działów nauki ścisłej — zdobyczy postępującej wciąż kultury ogólnej.

Zagranicą wre już bowiem wówczas walka przeciw najgłębszej istocie tego czasu — przeciw liberalnemu mieszczaństwu i jednostronnemu pozytywizmowi. Około r. 1880 czuć już w całej Europie płomień reakcji przeciw tym światopoglądom i ich praktycznym konsekwencjom. Otwierają się nowe widnokreśli artystyczne i społeczne. Turgeniew maluje głęboki rozłam między „starymi a młodymi“, Dostojewskij i Lew Tołstoj sięgają utworami psychologicznymi dna najrdzenniejszych pierwiastków duszy swego narodu. W Niemczech powstaje w literaturze silny prąd realistyczny, który wywleka na widownię wszystkie nadużycia, całą zgniliznę panujących stosunków, oskarża powieściami Kretzera, pragnie, tętni nadzieją, walczy poezjami Jacobiego, Henckla. We Francji Zola rozciąca coraz jaskrawszy i potężniej malowany obraz rozkładu społeczeństwa mieszczańskiego i zaczyna właśnie druk epepei walki pracy z kapitałem: *Germinal*. Ze Skandynawii rozbrzmiewa na całą Europę głos, który więcej niż czyjkolwiek w ostatniej ćwierci XIX. wieku wstrząsnął umysłami i sumnieniami świata cywilizowanego: Henryka Ibsena. W r. 1880

toczył już z wielu scen walkę z kłamliwymi *Fodporami społeczeństwa*, a jako *Wróg ludu* — „z przekłętą, zwartą większością“... Prowadził krucyatę społeczną, uspołeczniał literaturę. „Ibsen — mówi słusznie Edgar Steiger — uczynił kwestye *chwili*, które przynosił świat zewnętrzny, kwestyami życia. Gdy Dumas i jego następcy mówili o upadłej kobiecie, Ibsen zaczął mówić o upadłym mężczyźnie. Gdy tamci dużo hałasu robili z powodu cierpień szlachetnych istot z półświatka, Ibsen wskazał na męczenniczki małżeństwa. Tamci oburzali się z powodu wyjątków, on wskazywał, jak źle jest w regule. I gdy oni obnosili podarte już łachmany liberalizmu, on rzucił między tłum wielkie pytańniki nowoczesnej myśli — *socyalne!*» Myślami temi przeniknięte wszystkie jego dramaty tego okresu, a siła ich i znaczenie symboliczne rosna z czasem, aż dochodzą do punktu kulminacyjnego w *Upiorach*, gdzie mamy tragizm nie jednostkowy, symbol nie jednej rodziny: Alvingów, ale olbrzymią, ponurą wizję całego społeczeństwa, całego ustroju współczesnego. Wszystkim tradycjom, wszystkim uświęconym powagom rzuca Ibsen rękawicę. „Gdym słyszała — mówi nieszczęśliwa pani Alving do pastora — Oswalda i Reginę tam rozmawiających, zdawało mi się, iż upiory wstały z grobu. Ja sądzę, pastorze, że my wszyscy jesteśmy upiorami. I nie tylko to, cośmy odziedziczyli po ojcu i po matce „straszy“ w nas, bynajmniej! Są tam jeszcze różne rzeczy: stare, umarłe poglądy i strupieszale wierzenia i inne, inne zmyry. Wszystko to już nie żyje w nas, ale mimo to tkwi w naszym wnętrzu, a my nie możemy pozbyć się tych upiorów. I kiedy biorę do ręki dziennik, by go przeczytać, widzę upiory, snujące się między wierszami... W całym kraju musi żyć mnóstwo upiorów... Zdaje mi się, że cisną się one dokoła nas, że jest ich wszędzie pełno, jak piasku w morzu“... A dr. Stockman grzmi na zgromadzeniu publicznem, że całe społeczeństwo jest zbudowane — na bagnie!

Podobnie śmiałych słów nie wiele wiek XIX. słyszał..

A u nas około r. 1880? Gdzie ten ze starszego pokolenia, coby dał ideę, mówiącą słowami Krasieńskiego: „jeśli umiesz sięgać w nieskończoność... jeśli kochałeś prawdę i szukałeś jej szczerze... jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek — jeżeliś tem, czem wydawałeś się niegdyś — wstań, porzuć dom i chodź ze mną“...

Takiej syntezy nie było.

J. I. Kraszewski (ur. 26 lipca 1812 r.) wywierał jeszcze ok. 1880 r. wpływ znaczny, jako najprzedniejszy dostawca lektury dla setek tysięcy czytelników, artykułami i korespondencyjami w czasopismach, oraz osobnymi tomami, których ostatnimi czasy nieraz po dziesięć na rok rzucał na półki księgarskie. Nie osłabiły jego twórczości nad wyraz ciężkie i bolesne przeżycia, które przed zgonem dały mu skosztować gorzki chleb więzień pruskich. Zmarł 19 marca 1887 w Genewie, pozostawiając po sobie na wieki pamięć ożywionego zawsze gorącą myślą obywatelską polihistora i twórcy romansu polskiego. (Zob. Piotr Chmielowski: *J. I. Kraszewski, zarys historyczno-literacki*. Kraków 1888).

Jan Zacharyasiewicz urodz. w Radymnie 1825 roku. Brał za młodu udział w budzącym się ruchu politycznym i umysłowym Galicyi, zato musiał dwukrotnie pokutować w więzieniach austriackich (1842—1844 i 1849—1850), pierwsze utwory literackie zaczął ogłaszać z początkiem lat pięćdziesiątych. Odbija on wiernie koleje większej części inteligencji Galicyi: w pierwszej młodości, za „wiosny ludów«, prawie czerwony radykał i romantyk (»Postęp«, utwory wierszem, *Sierota wielkiego świata*, *Uczony*), potem pisał powieści polityczne, wymierzając je przeciw zakusom rusińskim i germanizatorom, nareszcie zeszedł na drogę filisterstwa, przedstawiał szkodliwość marzeń, złudność ideałów etc. Nabywszy niezwykłej rutyny pisarskiej stał się na długie lata popularnym dostawcą beletrystyki, t. z. *Familien- und Sitten-Romane*, banalnych tak w formie, jak i w treści. Utwory te dziś już nie są czytane.

T. T. Jeż (pseud. Zygmunta Miłkowskiego) urodził się 23 marca 1824 w Saracai nad Dniestrem (Podole) z rodziny żołnierskiej, przejęł temi zasadami demokracji szlacheckiej a po części i wolteryańskimi. W liceum odeskim ukończył wydział fizyczno-matematyczny i studia te kontynuował w Kijowie, który opuścił w r. 1848, by brać udział w kampanii węgierskiej. Życie jego jest od tego czasu pasmem czynów żołnierskich i literackich. Walczył w armii węgierskiej, brał udział w wojnie krymskiej; w r. 1863 zor-

ganizował w Turcyi oddział powstańczy, aby przez Bessarabię rumuńską wkrocił do Polski; pod Kostangalią pobił oddział rumuński — następnie musiał broń złożyć. W przerwie między jedną ruchawką a drugą włóczył się po całej Europie i Azji Mniejszej, z Londynu do Konstancyj, po Paryżu i po południowej Słowiańszczyźnie był robotnikiem fabrycznym i agentem dyplomatycznym, kucharzem i właścicielem pensjonatu, dowódcą legionu i kupcem, a wszędzie i zawsze sobą: całą duszą oddanym Polsce i ideom demokratycznym, które pogłębił i dla których pracował w Tow. demokratycznym i »Centralizacyi«. Ideom tym pozostał wierny, nie zбочywszy nigdy na prawo, ku poglądom arystokratyczno-klerykalnym, ale ani też na lewo, ku radykalnym poglądom socjalistycznym.

Pierwszym utworem drukowanym Jeża były *Wyjątki z pamiętników wólbóżezi*, drukowane w *Dzienniku literackim* z r. 1856, pierwszą powieścią — *Wasył Hołub* (1856). Rysuje się w nich indywidualność pisarza wyrobiona, pogląd na świat i ludzi skryształizowany, siła męska bujna, szeroka, rubaszna, daleka od subtelnosci artystycznych, nie *jak*, ale *co* mająca zawsze na oku, i takim Jeż pozostał po dzień dzisiejszy. Powieści jego wszystkie ożywia duch, który bije z dziejów *Wnuka chorążego*, tym samym duchem są natchnione liczne studia etnograficzne i prace publicystyczne Jeża. Ostrą, krwawą nieraz satyrą chłoszcze wady wyższej szlachty i arystokracji, wierzy w lud prosty i przygarnia do łona narodu żydów, trzyma wysoko sztandar wiedzy niezależnej i nielitościwie smaga obskurantyzm, pasożytnictwo, dezercję, zniewieściałość. Treść ta jest też treścią jego życia, którego formy dalekie były od wymogów estetycznych; Jeż więc nie cyzeluje, nie rozkłada skalpelem, — szablą pisze. Te cechy uczyniły go drogim sercu młodszego pokolenia, które w roku 1882 serdecznie święciło 25 jubileusz jego działalności pisarskiej. Sędziwy autor mieszkał od roku 1871 do 1899 w Genewie, obecnie w Zurychu i zajmuje się gorąco sprawami narodowymi, dla których nie wahał się — mimo wieku i przebytej niedawno choroby — w lecie 1900 r. odbyć podróży po koloniach polskich Ameryki północnej.

Dokładniej bibliografii pism Jeża nie mamy: oto główniejsze (bez prac publicystycznych i etnograficznych). Powieści z dziejów Słowiańszczyzny, ukraińskie i z r. 1848: *Wasył Hołub*, *Handzia Zahornicka*, *Hryhor Serdeczny*, *Ostapek*, *Szandor Kovacs*. *Asan*, *Krwawe dzieje*, *Narzęczona Hambaraszy*, *Dachijszczyzna*, *Zarnica*, *Rutulowicze*, *Uskoki*, *Hercog słowiański*, *Lat temu dwieście*, *Rycerz chrześcijański*, *Za gwiazdą przewodnią*, *Z ciężkich dni*, *Ci i tamci*. Powieści z dziejów Polski: *Derśław z Rytwian*, *Za króla Olbrachta*, *Karzeł* — *Dyplomata*. *Historja o pra-pradziadku i pra-prawnuku*; powieści tendencyjne współczesne: *Wrzecziono*, *Pamiętniki starającego się*, *Edward Kloc*, *Pierwsze przykazanie boże*, *Drugie przykazanie boże*, *Helena Uroczka*, *Opowiadanie Stasia*, *Pod szlachecką strzechą*, *Niezaraadni*, *Szla-*

checka dyplomacya, Wyśniona, Ofiary, Nad rzekami Babilonu, Na zaraniu, Iz Paliaków (Dzien. krak. 96/7), Którędy do szczęścia itd.

Michał Bałucki, urodz. 29 września 1837 r. w Krakowie. W młodości ulegał wpływowi Słowackiego i wczesnie zaczął wyzalać iskierki swojej poezji w dźwięcznych wierszykach i poemacikach; prędko jednak przeważał w nich ton Heine'owski, a i ten wkrótce ustąpił — żartobliwie-sentymentalnemu tonowi saloników. Po młodości górnej i chmurnej, przeżytej w towarzystwie najlepszej młodzieży swego czasu, po udziale, jakkolwiek nie zbrojnym, w wypadkach 1863 roku, który go zaprowadził do więzienia austriackiego, oddał hołd młodości w powieściach rewolucyjnych *Młodzi i Starzy*, oraz *Przebudzeni*, i zatracając w sobie zupełnie poe'tę stał się płodnym powieściopisarzem publicystycznym. Powieści te z lat siedmziesiątych są punktem kulminacyjnym i kresowym jego rozwoju ideowego; w dalszych latach dawał utwory sceniczne o humorze szerokim, którego rubasność przechodzi często w grubą szarżę, a niewyszukana treść — w zupełną prymitywność tak pod względem pomysłu jak i wykonania; w powieściach motywy sensacyjne i mało artystyczne psuje jeszcze karykaturalnością rysunku i zupełnym brakiem psychologicznego pogłębienia. Małomieszczański w poglądach i artyzmie, ma jednak niezaprzeczone zasługi z czasu, kiedy i środowisko jego: Kraków mieszczański, wyższe dawały natchnienia i ideały — z początku lat siedmziesiątych. Obrazki z życia małomieszczaństwa w Krakowie, gdzie nieprzerwanie mieszkał, należą też do najcelniejszych jego utworów.

Wobec zmienionych zupełnie kierunków literackich ostatnie powieści i komedye Bałuckiego są anachronizmem. Można było wymagać od krytyków pobłażliwości dla autora i pamięci dla dawnych jego zasług, trudno było nakazać publiczności, by ucześnieła na jego komedye. Niepowodzenia Bałucki brał sobie mocno do serca, a rozgoryczony życiem, rozprężony nerwowo, obawiając się obłądę, samobójstwem położył koniec swemu życiu 17 października 1901 r. Kraków uczcił go wspaniałym, demonstracyjnym pogrzebem.

Utwory Bałuckiego obejmują dziesiątki tomów. Najważniejsze: *Poezye*: *Ziemowit* (1861), *Cicha Miłość* (1861), *Bez chaty* (1863), *Poezye* (1874 i 1887). Powieści: *Przebudzeni* (1864), *Młodzi i starzy* (1866), *Trzy obrazki*, *Tajennice Krakowa* (1870), *Błyszczące nędze* (1870), *Żydówka* (1871), *Życie wśród ruin* (1872), *Siostrzenica księdza proboszcza* (1873), *Sabina* (1873), *Z obozu do obozu* (74), *Byle wyżej* (75), *Biały murzyn* (76) *Album kandydatek do stanu małżeńskiego* (77), *Za winy niepopelnione* (76), *Romans bez miłości i miłość bez romansu*, *Typy i obrazki krakowskie* (81), 250.000 (80), *Pan burmistrz z Pipidówki*, *W żydowskich rękach* (87), *Cale życie głupi* (89), *Z mętów społecznych*, *Garbuska* (92), *Zamki ua łodzie* (96), *Wiś i Dziunia* (97), *Pamiętnik Munia* (1900). W zbiorowym wydaniu ukazały się *Nowele i obrazki* (4 t. Warsz. 85) i *Pisma* (14 tom. Warsz., Lewental.)

Prace sceniczne Bałuckiego datują się od r. 1867, kiedy przedstawiono w Krakowie *Radców pana radcy*, potem ukazały się: *Polowanie na mężu* (69), *Pracowici próżniacy* (71), *Emancypantki* (73), *Młodzież pozłacana*, *Nu łonie natury*, *Rodzna Dyłskich* (75), *Grube ryby*, *Krewniacy* (79), *Sąsiedzi* (80), *Komedye z oświatą*, *Teatr amatorski*, *O Józję*, *Nowy dziennik*, *Dom otwarty* (83), *Gęsi i gąski* (87), *Piękna kobieta*, *Ciężkie czasy*, *Klub kawalerów*, *Sprawa kobiet*, *Flirt*, *Niewolnice z Pipidówki* (96), *Bajki*, *Szwaczki* (97), *Wędrowna Muza* (98), *Družba* (99), *Blagierzy* (1900),

Jan Lam urodz. 16 stycznia 1838 r. w Stanisławowie, umarł 3 sierpnia 1886 r. we Lwowie. Rozpoczął poematem bohaterskim *Zawichost* (1862), następnie rzuciwszy karabin oddał się dziennikarstwu, które było właściwym żywiołem jego talentu. Przez 20 lat pisywał w *Gaz. Narodowej Dobrzańskie*, potem w *Dzienniku polskim* »kroniki lwowskie«, które miały szeroki wpływ i rozgłos. Za *kronikami* poszedł szereg powieści: *Wielki świat Capowic*, *Koroniarz w Galicyi* (1869), *Głowy do pozłoty* (1872), *Idealiści* (1876), *Dziwne kariery* (1880). Powieści te są właściwie także utworami publicystycznymi i służyły swojego czasu jakiejś tendencji politycznej; dlatego obecnie nie wierają tego wrażenia, które budziły w chwili pojawienia się docinkami, scenami, aluzjami aktualnemi. Powieść *Wielki świat Capowic*, miała torować drogę polityce hr. Gołuchowskiego, *Głowy do pozłoty* i *Dziwne kariery*, poświęcone walce z Sapiehą ojcem i synem i t. d. Jeżeli jednak i dzisiaj mają znaczenie duże, to dzięki okoliczności, że Lam był nie tylko najdowcipniejszym powieściopisarzem polskim, ale że miał też w sobie sporo poezyi i znanstwa duszy ludzkiej. Na dnie wszystkich jego utworów leży cicha, tęskna melancholia, rwąca się ze świata brudów i słabości własnych i cudzych w świetlane krainy ideału — lub z desperacyi — bodaj w nicość; w galerii zaś jego postaci, dość zresztą jednostajnej, znajduje się kilka typów galicyjskich, będących »dokumentami« tego kraju na długie lata, i kilka koncepcyj psychologicznych śmiałych i głębokich. Pisma Lama, niesłusznie zapomniane, szczególnie w Galicyi, wyszły w 5 tomach we Lwowie (1887), osobno *Rozmaitości i powiastki* (1880), tom *Kronik* oraz *Humoreski*.

Walerya Marrené l. v. o Morzkowska, urodziła się w Warszawie, działalność powieściopisarską rozpoczęła w r. 1857 powieścią *Nowy gladiator*, poczem nastąpił cały szereg powieści, nowel i rozpraw, pomiędzy którymi najważniejsze są: *Jerzy* (1864), *Augusta* (1866). *Życie za życie* (1867), *Mąż Leonory* (1869), *Bożek Milion* (1871), *Nemezys* (1873), *Walka* (1874), *Historja dwóch serc* (1874), *Mężowie i żony* (1874), *Zasady i czyny* (1875), *Błękitna księżeczka* (1875), *Smutna swadźba* (1876), *January* (1881), *Panna Felicya* (1882), *Ostatnia fala* (1885), *Emancypowana* (1889), *Dzieci szczęścia* (1892), *Historja zwyczajnego człowieka* (1893), *Symfonii światła* (1898). itd. Z rozpraw jej zasługują na uwagę rozprószone w cza-

sopismach studia o warszawskich epigonach romantyzmu: Dziekońskim, Wol-
skim, Norwidzie etc. Należąc pod względem techniki pisarskiej do minionego
pokolenia, ożywia ostatnie swe utwory myślą głębszą, idealniejszą, niż po-
przednio. Żyje w Warszawie, czynna na polu emancypacji kobiecej.

Józef Szuj ski urodz. 1835 w Tarnowie, umarł w Krakowie 7 lu-
tego 1883. Rozpoczął działalność literacką poezjami w *Dzienniku lite-
rackim*, satyrą publicystyczną (*Portrety Nie-Van Dyka*, 1861) i dramata-
mi historycznymi: *Halszka z Ostrogu*, *Jadwiga*, *Twardowski*, *Dzierżanowski*,
Wallas, *Kopernik*, *Jerzy Lubomirski*, *Maryanna Mniszchówna*, *Zwóń kró-
lewicza Władysława* itd. W r. 1862 podjął wydawnictwo *Dziejów Polski*;
pracując nad tem dziełem przyswoił sobie źródłową znajomość i krytyczną
analizę historii polskiej i w r. 1871 zaczął wyklądać ten przedmiot na uni-
wersytecie Jagiellońskim. Więcej niż wykłady profesorskie, niż czynności se-
kretarza Akademii Umiejętności, niż dzieła historyczne (*Roztrząsania i opo-
wiadania hist.* 2 t., jednotomowy podręcznik *Historji Polskiej*), niż wyda-
wanie źródeł (*Scriptores rerum polonicarum*), prace z dziejów literatury
(*Literatura świata niechrześcijańskiego*), utwory poetyckie i dramatyczne
oryginalne i tłumaczone (tłumaczył Arystofanesa, Eschylosa, Calderona), wię-
cej niż to wszystko wślawiły go pisma polityczne. Był jednym z trójki
(wraz z St. Tarnowskim i St. Koźmianem), która po zdeptaniu przez
carat ostatniego powstania i po uzyskaniu przez Galicyę w r. 1867
areny swobodniejszego rozwoju wydała wojnę hasłu *liberum conspiro*, wię-
sząc je, gdzie go też nie było, i po krótkiej fazie demokratycznej zorgani-
zowała potężną partję arystokratyczno-klerykalną, tz. stańczykowską. Popy-
chany i nadużyty przez drugich, Szuj ski w najlepszej wierze był głównym
chorążym, publicystą i mowcą tego kierunku. Poetą i to tragicznym był więcej
życiem swem, niż w pismach; organizacya jego artystyczna — mówi Tar-
nowski — nie była doskonała, myśliciel i człowiek publiczny był w nim
potężniejszy od poety«. Dzieła zbiorowe wyszły w Krakowie.

Włodz. Zagórski (Chochlik) urodz. 7 listop. 1834 we wsi
Czechy (Galicya). Ukończył szkołę wojskową w Krems nad Dunajem i wstąpił
w r. 1859 do legji węgierskiej Garibaldiiego. Coś z tężyzny wojskowej pozos-
tało też w jego utworach, a najlepsze jego utwory to może piosenki i opo-
wiadania żołniersko-cygańskie, buńczuczne, wesole a tęskie. Redagował pisma:
Różowe domino i *Chochlik* we Lwowie do r. 1882; w większych utworach
satyrycznych (*Pamiętniki starego parasola*) siły nie dopisały. W r. 1883
przeniósł się do Warszawy i po wesolej młodości zaczął pisywać w duchu
religijnym i zachowawczym. Poezye: *Zmierzchy i świty* (1882), *Piosnki
i żarty* (1882), *Król Salomon* (1887), *Wybór poezyj* (2 t.); powieści: *Pa-
miętniki starego parasola*, *Wilcze plemię*, *O własnych skrzydłach* (92).

Szalone głowy (92), *Nowele* (4 t.) *W XX. wieku*, *Pan radca* (wespół z Ant. Zaleskim).

W nowelach przedstawia stylem nieszczerólnym dowcipne dość pomysły, które w powieściach wyrażają się w ciężką, zachowawczą, nieraz pseudoromantyczną tendencją.

Wrażenie pewne zrobił swego czasu Zagórskiego *Król Salomon*. Potrącił autor strunę, która zawsze w duszy czującej wywołuje echo, poruszył bólów ból — kontrast między głodem ideału: szczęścia, poznania, celu, a pustką życia. Słowami prostymi, w rymach pospolitych, ale dźwięcznych, powtarza odwieczną skargę:

Więc nic? więc nic, jeno znikomoś?
I jeno trosk i żądź omylnoś?
I tylko marnoś i bezsilnoś?
A całem szczęściem — nieświadomoś?

Więc nic? napróżno serce krwawię
W tęsknotach trawiąc się płomiennych?
I nic! krom nocy mych bezsennych,
I cięższych jeszcze snów na jawie?

Więc nic! I znikąd nie zaczerpie
Syn ziemi w smutkach swych otuchy?
I nic! I celem grób mu głuchy!
Dlaczegoż kocham? tęsknię? cierpię?

Zagórski idzie wbrew powszechnemu mniemaniu, które dopatrując się w *Pieśni nad pieśniami* wybuchu młodzieńczych zapałów a w *Księdze kaznodziei* pesymistycznych zrządzeń zgrzybiałego starca, przypuszcza, iż królewski mędrzec napisał pierwszy z tych utworów w młodych latach, drugi zaś w podeszłym już wieku. Wolno to czynić poecie, bez względu na tradycje, które do ścisłości nie mają mieć pretensyi; wolno też poecie zakończyć żalobny nastrój peanem na cześć miłości, rozkoszy, gorsza — że jedności psychicznej w swą postać włać nie umiał, ani utrzymać jej w tonie symbolu (zupetnie słaba część II).

Modna tendencya kazała autorowi wikłać się w sprzecznościach i przy poemacie sensualistyczno-pesymistycznym wyrzekać się pesymizmu; co więcej — kłaść jego nastrój bolesny na karb »nowożytnej nauki«. Wynikałoby z tego, że król Salomon był zarażony trucizną wiedzy XIX. wieku. O ileż więcej poetą jest Zagórski, gdy mówi:

Przez tę skrę boską, co we mnie zakłęta,
Tęskni do źródła, stąd wzięła poczęcie...

Przez ten głód prawdy, co ziemi odjęta
Przez to wszechdobro i bóstwa pojęcie...
Przez to, że myślą w nieskończoność płynę —
Jam duch nad ziemską wywyższony glinę.

M. R o d o ć — Mikołaj Biernacki urodz. 1836 r. w Cyganówce Zieniennieckiej pod Kamieńcem Podolskim. Od roku 1874 mieszkał w Galicyi, od r. 1880 — we Lwowie. Wykształcony na Berangerze, którego też tłómaczył, był w pierwszych swych satyrach śmiały, męski i krótkimi epigramami oraz dobrodusznie zjadliwemi strofami smagał zakusy klerykałne, roszczenia stańczyków, panoszenie się serwilizmu i bezducha. W ostatnich latach satyra jego straciła żądło, sam zaś rozbity moralnie i rozstrojony odebrał sobie życie 1 września 1901 roku. *Satyry* wyszły w 12 tomikach, *Wybór* w Warszawie 1899 roku.

Kazimierz Bartoszewicz, urodz. 1852 r. w Warszawie, mieszka w Krakowie. Obdarzony satyrycznem dowcipnem piórem fejletonisty rozprasza swe siły na mnóstwo drobnych kronik, wierszyków, artykułów, nie zdobywszy się ani na jedną śmiałą kreację artystyczną; posiadając dużo wiedzy historyczno-literackiej rozdaje ją w drobnej monecie rozprawek, broszur, polemik, nie stworzywszy ani jednej większej pracy naukowej. Winny temu stosunki, nie pozwalające wyjść poza ramy dziennikarstwa, winno i usposobienie i przekonania, nieskrystalizowane około jednej wielkiej idei społecznej. W tem, co ogłasza, stoi Bartoszewicz twardo na gruncie polskim i odznacza się, jak mało pisarzy, czystym i pięknym językiem polskim. Zasłużył się jako wydawca i jako autor polemiki z Koźmianem (*Rok 1863. Historia na usługach ludzi i stronnictw* 1895-6), którą unicestwił bałamutne, tendencyjne, fałszywe jego kilkutomowe wywody o ostatniem powstaniu, będące gloryfikacją stańczyków i ugodowej ich, trójjaloalnej polityki.

Mieczysław Pawlikowski, urodz. 1834 roku obcował jeszcze w Paryżu z Mickiewiczem, otworzył we Lwowie publiczną bibliotekę Pawlikowskich a w Medyce — rzadkie zbiory sztuki. Wydał *Pamiętniki pieśniarza* (1856), *Plotki i prawdy* (1872), *Tajemnica pani Krzuckiej*, *Testament Napoleona*, *Baczmacha* (1898); mnóstwo nowell w *N. Reformie* pod pseud Marka Polnicza. Umysł rozległy, wolnomyślny, walczył publicystycznie przeciw reakcyonistom (*Ultramontanie i moderanci*, 1872; *Literatura jezuicka w Krakowie*, 1873) i pisywał wytworne szkice ze świata literatury i sztuki, popierając piórem i czynem myśl postępową i pracowników szczerych.

Włodzimierz Wysocki, zmarły w młodym wieku 1894 w Kijowie. Pisma: *Wszyscy za jednego*, fraszka (1882), *Laszka*, poemat, (1883), *Zakłeta Iza* i *Nowe Dziady* (1884), *Las*, poemat (1886), *Satyry i Bajki* (1894). Natura liryczna, przesiąknięta dumkami i tęsknotami stepów,

wierna starym ideałom poetyckiej szkoły ukraińskiej; rzeczywistość szlachecka i sielska, widziana przez ich pryzmat, musiała pobudzać do satyry. Pierwiastek romantyczno-ukraiński występuje najsilniej w *Laszce*, pełnej szczeniaka walki z Tatarami, woni stepów, idei Bohdana o stosunkach polsko-rusińskich. Poetycko najwięcej dojrzały, szczęśliwie też łączący pejzaże i miłość natury swojskiej ze zgrzytem satyrycznym jest poemat *Las*. Umysł niezbyt wysoko sięgający, szczerze umiał kochać i oburzać się, a w *Bajkach* rzucił dużo celnych strzałów na obskurantów i »małpy«, wszelkiego rodzaju.

ROZDZIAŁ III.

NA WYŻYNACH WIEKU. ADAM ASNYK.

Asnyk, jako poeta okresu. — Przełom 1863 w poezyi. — Idee me-
syaniczno-romantyczne i reakcja przeciw nim. Poezya staje się indywidual-
styczną i intelektualną. — Zastosowanie teoryj i wyników wiedzy pozytywnej
w poezyi. — Wzniosłość charakteru Asnyka i odbitych w nauce jego idea-
łów. Rezygnacya i harmonia. — Ich niedostateczność. Rezygnacya wobec
słabsza kwestyi socyalnej.

Wiktor Gołmulicki. Poezya wielkomejska. Gomulicki, jako par-
nasowiec. Wirtuozostwo formy — treść poezyi maleje.

Żywoty i dzieła.

Poetą okresu jest Adam Asnyk.

Nikt nie wniósł się tak, jak on, na wyżyny wieku, nie
ogarnął tak orlim wzrokiem widnokągu od końca do końca,
nikt z takim mistrzostwem nie wyśpiewał jego treści.

Asnyk — to *magnus parens* współczesnej poezyi pol-
skiej. Po wielkich przodkach wziął w dziedzictwie lirę wielo-
strunną, złotostrunną — i zostawił ją inną. Bogatszą? tak; czy
zarazem większą?

W nim samym więcej wielkości, niż w jego poezyi.

Należał do pokolenia, które w młodości przedewszystkiem
śniło sen o wielkości, sen duchów, czujących się na siłach, aby
bryłę świata na nowe pchnąć tory i z więżącej oczyścić ją
kory. Siły liczył na zamiary i pieśń Juliusza, którego nad

wszystkich ukochał, w życie zakląć pragnął. W błyskawicach kąpało się jego czoło, dłoń trzymał na losach narodu, pełen wiary świętej, że uderzywszy w czynów stal — bohaterów wskrzesi, do ziemi zaprowadzi ich obiecanej.

Przebudzenie było straszne. Kto tak kochał i tak pragnął, ujrzał się ogołoconym ze wszystkich podstaw i sił życia. Rozpacz swą wygrywa Asnyk jeszcze na lirze wielkiej — Słowackiego. Ziemi okrwawionej ciska w oczy:

Ja dla męczarni twych — wzgardę czuję,
Bo ty frymarczysz krwią twą, Messalino...

Wierzył w mesyaniczne jej postąnnictwo —

Pytam: gdzie w bólach ludzkości poczęta
A przekazana myśl jednej tobie?

A wobec kokietujących ze śmiercią i cierpieniem, rzucających róże — gdzie należałoby miecze, łzy — zamiast krwi, w nim burzą się ognie wszystkich piekieł ducha:

O precz mi z drogi te! — ja nie mogę
Płatnych słuźalców zwykłą iść koleją,
Ja widzę hańby znak, w oczach trwoję,
Ręce, co światu pogrozić nie śmieją,
Więc rzucam gniewu krzyk i wściekłości,
I grobu twego znieważam świętości...

Wybuchy te niedługo jednak trwały. Natura poety była wyczerpana: Ogień okropnego doświadczenia spalił w niej wiele dawnych nerwów, przegryzł mnóstwo dawnych komórek myślowych. Po ciężkim cierpieniu, po długim szamotaniu się, poeta wyszedł z tej krwawej topieli innym człowiekiem. Wziął rozbrat z przeszłością. Zjawiający się w *Śnie grobów* anioł przeznaczeń rzuca klątwę na wiek romantyzmu, zdziera z głowy nimb, z ramion skrzydła, nielitościwie szarpie wszystkie mesyaniczne złudzenia, samozwańcze apoteozy, całą pychę i dumę poezji, która wierzyła, że „wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!“

Długo was pieścił Cherub złotowłosy
I nad lichemi próchnami się bawił,
Wmawiając wielkość w strzaskane kolosy,

A przecież z grobów kolumn nie wystawił
I życia nie wlał w umęczone prochy,
Tylko je w tęczy krwawej przez świat splawił

Mistyczną pieśnią napawając spiochy,
A odurzone siedmiu niebios blaskiem
Rzucił w ciemności...

Tak woła anioł przeznaczeń, Król-duch narodu, który chce go przez cierpienie prowadzić do oczyszczenia, przez okrucieństwo do wzniosłości — przez cierpienie dotąd nieznane jego naturze rycerskiej, butnej, marzycielskiej, rzucające ją na tortury nowej drogi życiowej, w karby nieubłagane racjonalizmu współczesnego:

Chodź za mną w znojów nieprzebranych kraje,
Lepsze są one, niżli wyobraźni
Kłamiwych widzeń utracone raje;

Niech cię nie straszy długość ciężkiej kaźni,
Ani zasmuca wierzchniej pieśni zgniłość,
Stąpaj bez żalu, wspomnień i bojaźni,

I zerwij dawną z grobami zażyłość,
I całą przeszłość marzeń chciej zostawić,
Aby cię znowu nie zbłąkała miłość...

I poeta w tych „znojów nieprzebranych kraje“ wszedł.

Za progim zostawił wszystkie insygnia królewskie i arcykapłańskie dawnej romantyki. Asnyk po *Śnie grobów* zmienia zupełnie formę i treść poezji swojej — poezji polskiej. Dotąd był poeta wieszczem, wajdelotą, mistrzem i panem narodu — Asnyk tej roli się zrzeka. W sporze między „publicznością. a poetami“ woła: „Tacy poeci, jaka jest publiczność!“ Nie jest wodzem, co nakazuje, prowadzi, sądzi, karze, jest

wyrazem środowiska. Nie jest milionem, lecz jednostką, — cierpi katusze, myśli i dąży nie za naród, lecz za siebie. Oczywiście nie wyrzeka się idei reprezentatywnych, w zasadzie jednak jest indywidualistą. Nieraz jeszcze zabłąka się w pieśń jego echo dawnych lat, szamoce się i targa nałożone sobie więzy; łatwo sobie przepisać, „aby cię znowu nie zbłąkała miłość“ — trudniej wykonać. Często też gdy śpiewa „o niej“ — nie wiemy, czy śpiewa o dziewczynie, czy też o kochance — ojczyźnie. Z reguły mamy indywidualistę. Opiewa swoje bole, swoje radości, swoje nadzieje i pragnienia. Kopalnią niewyczerpaną motywów staje się oczywiście miłość. Ale także nie to uczucie romantyczne, często demoniczne lub do demona zwrócone, z mgieł utkane i woni, które opiewał Słowacki, wulkanem kipiące lub w lód zastygłe, którym brzmiał Adam, lecz miłość nasza współczesna, mieszczańska, salonowa, figlarna i kokieteryjna, rzadko zdobywająca się „w różową chwilkę“ wezbranego serca na szczerą poezję, pragnącą cały świat przyciskać do łona, jeszcze rzadziej na ekstazę „uwielbienia“ — często kaprys, żart, a nawet spekulacja. Używa jeszcze poeta wyrazu „anioł“, ale anioł najczęściej ma skrzydełka motylka. Poeta dawno zeszedł z koturnów i jakby z obawy, by go pokusa do nich znów nie pociągnęła — smaga się ironią, biczuje szyderstwem... Z wielkiej i świętej skarbnicy serca wydobywa „kwiatki“, a nawet — karmelki.

Asnyk nie jest naturą żywiołową, w której ogień wrzałyby zawsze, jak w podziemiach wulkanicznych, wybuchając od czasu do czasu płomienną lawą, ale to co w sobie z powinowactwa umysłowego ze Słowackim, w pierwszym okresie życia nawet miał — posłuszny Aniołowi przeznaczenia, siłą stłumił, rozumowaniem gasił. Taka natura na gruzach „wobraźni kłamliwych widzeń“ i „całej przeszłości marzeń“ nie gaśnie i nie łamie się całkowicie; owszem — tam budzi się naczelna jej, najistotniejsza władza duszy: chłodny, badawczy intelekt. Zrozpaczony ex-romantyk pisze:

Dziś nic z mych piersi skargi nie dobędzie,
Nic jej nie przejmie zachwytem lub trwogą,
Nie wyda dźwięku rozbite narzędzie,
Pęknięte struny zadrzeń już nie mogą...

umysł jego bezustannie jednak pracuje i im bardziej odczuwa próżnię w duszy, brak syntezy, tem silniej będzie pracował nad jej zastąpieniem. Asnyk jest też pierwszym w poezji intelektualistą. Z nim przechodzi ona z okresu bohaterstwa do okresu kultury.

W czasie, gdy większa część epigonów romantyzmu wołała, jak owi poeci na uczcie u Keatsa: precz z Newtonem! bo ten analizą swą naukową rozwiął piękne fantazyje o tęczy — w czasie, gdy pozytywści toczyli boje o prawa wiedzy i zastosowanie ich w życiu, Asnyk w ultramontańskim, zacofanym Krakowie siedział w zaciszu pracowni, schylony nad księgami o zagadnieniach bytu. Natchnienie, intuicyja, najgłębsze porwy duszy i święte szaty masy zbankrutowały — trzeba było uciec się do rozumowań. Poeta przestał odgadywać — zaczął szukać; przestał rzucać światu błyskawicowe objawienia — zaczął dzielić się nim rezultatem długich, logicznych rozmyślań. Twórczość traci zupełnie charakter wizyonerski, impulsywny, z wiekiem coraz więcej się odsuwa także od uczuć erotycznych, które dlań kwestyami życia nigdy nie były — przeważa coraz mocniej przekonanie, że myślowych „znojów nieprzebranych kraje lepsze są... niżli wyobraźni kłamliwych widzeń utracone raje“. Proces ten nie odbył się oczywiście bez bólów i walk, ale strumień krwi zgasił był pierwotną jego egzaltację tak gruntownie, że znartwychwstać już nie mogła. Wszystkie więc pragnienia idealnej i idealistycznej młodości niemilosiernie przez los zmrożone, wszystkie tęsknoty i ukochania najświętsze stawał pod światło kwitnącej w tej epoce wiedzy przyrodniczej i filozoficznej — i o szczęście! nie prysły, nie stopniały, lecz w innej formie ożyły. Uposażona w całą można powiedzieć wiedzę swego stulecia poezja Asnyka przed-

stawia widok wzniosły. Asnyk stoi na szczycie kultury wieku. Wszyscy inni przed nim poeci mają coś w sobie z ludzi pierwotnych, on jest pełnym mądrości mędrcom i świadomym siebie estetą; będące do niedawna w użyciu określenia poety, jako barda, lirnika, gęślarza, wajdeloty, bojana, wieszczą do niego stosować się nie dadzą. Zbyt poeta, aby opiewać lokomotywę i elektryczność, jak to czyni Sully Prudhomme, albo „romans dwóch komórek w pacierzowym tkwiących rdzeniu“, wziął z wiedzy niejeden fakt przyrodniczy, ale głównie jej filozofię, więc w gruncie rzeczy także poezję, jej syntezy, to, co najwięcej jego naturze odpowiadało. Wobec bezwzględnych oskarżeń, miotanych potem przeciw nauce pozytywnej, mamy znowu przykład, że nie wiedza urabia człowieka, lecz człowiek wiedzę; stosunek taki sam, jak do religii — co Goethe dawno już wyraził: *Wie ist der Mensch, so ist sein Gott, darum ward Gott so oft zum Spott*. Asnyk widział w wynikach i uogólnieniach potępionych powszechnie Darwinów, Haecklów i Spencerów najsilniejsze, jedyne poparcie dla swego idealizmu. Teoria mgławic wzmacnia go w przekonaniu, że piękne marzenia ducha ludzkiego także się skupią w wspaniałe byty słoneczne. Z geologii bierze przykład rzeźbienia lądu przez fale, aby wywieść, że byt pokoleń nie jest bezcelowym, skoro rzeźbi dzieje. Nawet estetykę swoją zmienia zupełnie; w Tatrach odrzuca całą frazeologię romantyczną, używa określeń ścisłych, właściwych nauce i prostym, zdrowym zmysłom górali — przewodników. Czy to nie jakby naukowe motywowanie miłości kraju, kiedy poeta śpiewa do matki-ziemi:

Na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki,
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,
Swych poprzedników prochy i pamiątki
I każdy tylko na swej własnej niwie
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Poeta idzie za wątkiem wiedzy coraz dalej, podnosi się coraz wyżej, w jej uogólnieniach, w zasadzie ewolucji znajduje najwyższą swą syntezę. Klucz rozwoju staje się też kluczem jego poglądu na świat — podstawą wszystkich myśli. Od chwili, gdy go posiadł, Asnyk przestaje wytyczać procesy „XIX. wiekowi“, nastrój jego poezji staje się jednolitym, ogarnia ją głębokie ukojenie. Niema dość słów, aby opiewać cudowną tę zasadę, która mu zastępuje wszystkie czynniki dawnej wiary. Nią natchniony śpiewa Ode, jakżeż bezbrzeżnie daleką od Ody największego swego imiennika:

Po szczyblach stopniowych przemian,
Na idealnej podnosząc się zorzy,
Zwycięska miłość dla ziemian
Najśodsze dary swe mnoży.

„Dzisiejszym idealistom“ tłumaczy, że powinni akceptować nawet najnielitościwsze prawo Darwina.

Dziś hasłem walka — i trudno już
Milczeniem przeczyć jej skrycie —
* * * * *
Naprawdę chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia,
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

Lecz i tu walka powszechna trwa,
Podległa duchów potrzebie —
A ten zwyciężcą, kto drugim da
Najwięcej światła od siebie.

Ile tylko szlachetności we wzniosłej duszy, ile miłości i czci dla najwyższych ideałów człowieka i obywatela, ile powagi w umyśle, pochylonym nad głębiami najtajniejszych losów ludzkości — wszystko w Asnyku otwiera się przed nami, odsłania głębokie swe piękności, rozświetlone promieniami wiedzy. Nie przestaje on przytem być poetą najwyższej miary, czerpiącym

przędę i kwiaty twórczości z życia własnej duszy, ze snów boskiej wyobraźni. Bo

Od kolebki biegła za mną
Czarodziejska bań tęczowa,
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa —

Poezya jego jest jednak inną, nową...

...dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W którym znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.

Ale — czy na długo?

Długoż filozofia tej poezyi, stanowiąca jej duszę, może dawać to ukojenie i ciszę, w którą spowijał strudzoną swą głowę rozbitek wielkiego dnia wczorajszego?

Rezygnacya podsunęła znużonemu poduszkę intelektualizmu, oba te czynniki mają jednak w sobie coś boleśnie stłumionego, chorego, starczego.

Młodość, życie, ruch — młodość indywidualna i narodowa, pełnia sił, stawiająca sobie wielkie zadania, absolutne cele, nie zgodzą się nigdy z hasłem rezygnacyi; duch niepokojny, burzliwy, przypuszczający szturm do nieba, szybujący w nieskończoności, bijący skrzydłem o zamknięte przed nami tajemnice, nie zadowolni się czynnością czystego intelektu, która niezwykczona w analizie — może tylko konstatawać fakt, a gdzie ten się kończy — stanie bezsilna, nietwórcza, z teorią względności wszystkich prawideł — znowu zrezygnowana. Asnyk też rzadko porywa — rzadko narzuca nam swą wolę. Czyni to, kiedy jest romantykiem i przemawia czystym uczuciem. Gdy ukazuje:

Stoi wierzbą płaczącą
Nad ciemnym jeziorem,
Drży w promieniach miesiąca
Kiedy wietrzyk ją trąca
Wieczorem...

a dokoła tej wierzby stoją upiory i złorzeczą ludzkości i na rozkaz władcy podziemnego idą między żywych, aby roznosić zarazy, występki, nędzę i ciemność — jesteśmy pod magicznym jego wpływem, wierzymy. Gdy zaczyna rozumować — jesteśmy również racjonalistami i krytykujemy. Jakżeż uleźć, gdy jego wiara jest tylko rezygnacją. Jego „daremne żale, próżny trud“ — to tylko refleksja ogólna, nie kategoryczny imperatyw: idź i czyn! *W dwudziestopięcioletnią rocznicę powstania 1863 roku* wspaniałemi strofami czyni spowiedź z tragedji swego życia, które było życiem narodu, ale w rezultacie umie tylko oskarżać tych, którzy

Sądzą, że lekiem najlepszym na rany
Jest gwałt polskiemu uczuciu zadany,

umie, jak uczony historyk-psycholog wytłómaczyć, że powstanie było koniecznością, ale trzymając w czystości sztandar miłości ojczyzny akceptuje młode pokolenie, które „w twardej nieszczęścia urobione szkole, rzekło się marzeń zdradliwych słodyczy“ i przypomina mu tylko, że

...prawda, której wy szukacie,
Jest jak Proteusz, kryjący się zradnie,
Który wciąż swoje *odmienia* postacie...

Raz tylko z dojrzałych poezyj Asnyka brzmi ton spokojnej siły i pewności, gdy opiewa *Heraklesa*. — Zresztą czuć wątpliwości, zastrzeżenia, duszę przegryzioną pewnikiem braku pewnika, względnością wszech idei i rzeczy... Szereg przepięknych sonetów pisanych *W oczekiwaniu jutra* kulminuje nie w jakimś *Credo*, lecz w wyznaniu:

Ciężko! nie mieć na ziemi dla ducha podstawy

i w zupełnie ogólnikowem:

Jednak trzeba zagadkę rozwiązać sfinksową,
Zgodzić sprzeczne warunki życia...

Do młodych pisze apel gorący, pełen wzniosłości i najgłębszej mądrości życiowej, ale zaczawszy wezwaniem:

Szukajcie prawdy jasnego płomienia!

kończy zupełną rezygnacją:

I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów.

Czem zresztą jest ta rezygnacja wobec tej najwyższej, którą akceptuje nawet śmierć:

Śmierć — to ciągłego postępu chorąży!
Który na nowe świat prowadzi tory,
Wchodzącym kielkom usuwa zapory...

Filozof, stojący „Nad głębiami“ doszedł do najwyższej mądrości i równowagi, wszystko rozumie, *a tout comprendre — c'est tout accepter...* W jego umyśle wszystkie sprzeczności wyrównane, zagadki usunięte, wszystko spływa się w wielką, nieskończoną harmonią. Jeżeli go coś razi, odpycha, to właśnie brak tej harmonii — obraz burzy nieokiełznanej, kipiączki dzikiej, istoty niezrównoważonej, sprzeczności dalekiej od pogodzenia. Dlatego mędrzec, co wszystko pojął, esteta-harmonista, który żył tylko w sferze ducha, bezradny stał wobec tego fermentu niespokojnego, jakim jest nowoczesny ruch społeczny. Raz widzi w nim uprawniony krzyk nędzy nielitościwej (*Bez odpowiedzi*), to znów go ogarnia trwoga, że „tłum barbarzyńców“ spustoszy najświętsze dobra ludzkości, nareszcie w jednym z ostatnich swych wierszy, (napisanym dla *Dziennika krakowskiego* 1896) wyznaje, że stoi wobec Stinksa i czuje tylko trwogę:

Smutni rycerze przeżytej już chwili
Patrzą z boleścią — kiedy zastęp świeży
Przeciw otarzom, które oni czcili,
Zwraca się zbrojnie i kruszyć je bieży.

Napróżno serce tych dawnych rycerzy
Oprzeć się trwodze i zwątpieniu sili...
Gdyż widzą tylko — to, co w gruzach leży,
I myślą tylko o tem — co stracili!

Poza walk dzikim zamętem i wrzawą,
Poza konaniem świata, co już ginie,
Nie mogą dojrzeć przeszłości obrońce

Tych, co dni nowych stawiają świątynie —
Ani nie wiedzą, patrząc w jutrznię krwawą,
Czy to pożarów luna — czy też słońce?

Smutne wyznanie i smutna w istocie swjej poezya, ale tym smutkiem, który w duszy przedstawia wielką, artystyczną tragedya. Bo w życiu tego poety więcej jest bohaterstwa, niż w jego poezyi, a jej wzniosłość — to kolumna — co prawda: cudownie rzeźbiona, nad grobem. Żywi nie mogą się zgodzić z filozofią rezygnacyi, sztuka — z wyłącznym intelektualizmem. Szukają więc nowych dróg... gwiazd nowych... Tak dobrze znany Asnykowi „krąg przemian“ wchodzi w swoje prawo.

Bo

...aby w zgodzie niezmaćonej
Żyć z przeznaczeniem bliskim i dalekiem
...na to być potrzeba
Czemś mniej, czemś więcej, lecz już — nie człowiekiem!

Asnyk do tych rozmiarów olimpijskich w ostatnim swym okresie się zbliża — człowiekiem nawskróś jest ten, co pisał powyższe słowa, Wiktor Gomulicki.

Tylko człowiekiem, indywidualistą, poetą swojego ja, nie reprezentantem.

Nie kąpał się w ogniu, ogień też z jego oczu nie tryska; nie śnił o rajach — nie przerzucił się też potem do piekła,

stąd dopiero na skrzydłach myśli możnaby wylecieć; nie dźwi-
gał na swych barkach losów społeczeństwa — nie upadał też
pod tym ciężarem, nie ugiął się pod tą odpowiedzialnością —
i nie szukał u wszystkich potęg nieba i ziemi ratunku. Za
jego młodości świły na niebie już ostatnie pobrzaski roman-
tyki Słowackiego i natura prawdziwego poety wpatrywała się
w nie z zachwytem, obca z początku i wroga inwazyi pozy-
tywistycznej — wkrótce jednak duch czasu dopomógł wrodzo-
nemu usposobieniu, Gomulicki stał się poetą — racjonalistą.

Dziecko wielkiego miasta rychło przemienia ogrody swo-
jej muzy w park wspianiały, gdzie rządzi nie natura — uczu-
cie, lecz sztuka, który przystrzyga zbyt wybujałe krzewy, kwiaty
sadzi wytworne, w estetyczne klomby, obliczone na efekty
barwne, na ciemne tło drzew rzuca białe półnagie statuy.
W parku tym rozlega się często szczebiot wdzięczny subre-
tek i studentów, kokieterijne lub palące wyznanie donżuanów
rozmaitej kategorii — rzadko szept lub krzyk nagiego serca.
Spacerują tu często panie i panowie, wysoce wykształceni, kul-
turni, w najmodniejszej zapewne toalecie i szermują dowcipami
i prowadzą rozmowy o uczuciach, o nieśmiertelności, o sztuce
i artystach — rozmowy inteligentne, przerzucające się z te-
matu na temat, rzadko zbyt oryginalne lub głębokie, zawsze
wykwintne w formie i zajmujące. Trudno natomiast spotkać tu
wielkiego myśliciela lub potężnego artystę, uciekających od
gwarne, choć inteligentnego tłumu.

Syn czasu racjonalistycznego, Gomulicki wszystko, więc
i szczerą, wielką poezję wyrozumować sobie doskonale po-
trafi. Zakreśli jej cele najwyższe, jak romantycy:

...Wspomnij Tyrteusza,

Za którym lud lawiną potoczył się w pole!

Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia.

A źródło pieśni?

Lubię krzyk namiętności, kiedy się wyrывa

Z ust poety, namysłem niespętanych jeszcze,

Lubię słowa, co w pieklach obudzają dreszcze,
Dlatego, że je miłość zrodziła prawdziwa...

Jednakowoż w jego poezjach nie tylko nie słyszymy ani jednego tonu Tyrteuszowego, ani jednego dźwięku z bohaterskiej harfy poprzedników, lecz nie czuć tu nawet tej namiętności, tego krzyku, który poeta tak umie wychwalać.

„Wieszcz“ przemienił się w artystę, w mistrza słowa, w wykwintnego „parnasowca“.

Podobnie jak rozumie wysoki rodzaj poezji, a uprawia — estetyczny, tak rozumie wszystkie nastroje czasu. Ale weźmie z nich — tylko piękno. Jakaż jego filozofia? Modli się jak chrześcjanin, odczuwa doskonale pesymizm wieku, roztapia się w przyrodzie, jak panteista — ale w gruncie rzeczy wzrok jego wpatrzony raczej w ziemię, niż w oblicze nieskończoności. Metafizyka nie jest tak gwałtowną potrzebą serca, filozofia nie jest kwestią życia. Kto wie, czy nie najszczerzej wypowiedział swą filozofię w obrazku ładnej dziewczyny, która sukienką zakryła przed nim oblicze wielkiego mędrca, w obrazku zakończonym refleksją:

iż za lat trzysta i z naszej mądrości
Tylko zbutwiałe pozostaną kości —
Dziewcząt zaś lica zawsze będą świeże.

Obraz tego dziewczęcia „niezbyt może skromnego“ — to kobiecość Gomulickiego. Rozstaliśmy się z groźną Aldoną, Lilą Wenedą — kobietą heroiczną, której żywotem trud i ofiara, staliśmy się mieszczanami, nad miłość wolimy miłośćkę, nad owe gigantyczne kreacye — taką sobie pocziwą, przyjemniutką kwaciarkę „Kocię“. Zna Gomulicki siłę miłości, wielbi jej urok przepięknym aforyzmem:

Kto kocha, bardziej jest z bóstwem zbratany,
Niż kto kochany —

opiewa wspaniałe jej potęgę:

Pocóż na licach ta Pallady maska?
Pocóż na sercu ten puklerz ze stali?
Jeśli pierś z drewna, namiętność ją spali
A jeśli z głazu — roztrzaska!

Miłością — „przez takie duchów cudowne zamęźcie“ — wznosi się nawet w najwyższą sferę bytu — nad brzeg nieskończoności — prędko jednak z tych wyżyn wraca, jeśli nie do izdebek studenckich, gdzie spódniczki perkalowe chrzęszczą, to do salonu, do tego świetnego grona piękności miejskich, do owej „Anielskiej“, do tej „Marmurowej“, do tamtej „Wniebowziętej“, do całego tego bukietu uroczych postaci, które zabawiają się czasem także w sentymentalne sielanki i wtenczas nazywają się Chloe, Filis... Chmurnie i górnie zaczyna poeta z wysokiego tonu: przypomni jednej rozbalowanej — dziecko, drugiej z miną bakałarza wytnie lekcję o przeznaczeniu niewieściem — prędko jednak da się porwać ogólnemu nastrojowi salonu, dalekiemu od podobnego patosu, i zacznie mówić madrygały, komplimenta, wytworne i upajające, że pozazdrościłby mu sam mistrz Trembecki.

Poeta obiema nogami po ziemi stąpa, skrzydła — organ szczątkowy — zarzucił. Ale jest poetą i nie zamyka oczu na ból ludzki, występujący w formie braku chleba. Zna tę nędzę we wszystkich jej postaciach i szczerze wzdycha: „gdyby poezją karmić można biednych!“ — przedewszystkiem jest jednak parnasowcem, estetą, któremu sprawy sztuki najwięcej na sercu leżą.

O! wnośmy pięknu wspaniałe ołtarze,
Marmur i złoto niech rzucają blaski,
Wino niech szumi w kryształowej czarze;

Niech nas pieśń wieszczów dopóty kołyszcie,
Aż każdy smutków daremnych zaniecha
I myśl pograży w olimpijską ciszę;

Wesołe tylko budząc w życiu echa,
Niechaj ofiary od nas biorą wszędzie:
Miłość i rozkosz, piękno i uciecha.

Lecz wprzód — niech głodnych pośród nas nie będzie!

Gomulicki przedstawia fakt głodu, nie wogólności nędzę społeczną — olbrzymiego sfinksa stulecia; poeta nie stoi ponad tym czasem; jestto zaś już własnością jego indywidualną, że w toku czytania utworu każe nam zapominać zupełnie o tytule: *Głodnego nakarmić!* Zapominamy o treści i wołamy: co za cudowne tercyny!

Podobne wrażenie zawsze nam towarzyszy...

W społeczeństwie mieszczańskim, bogatem, sytem, stojącym na wyżynie kultury, sztuka jest potrzebą, potrzebą nerwów. Gomulicki zbyt prawdziwym jest poetą, aby tym nerwom zawsze służył — zbyt zaś jest synem wieku, by marzyć seryo o kapłaństwie muzy. Gdy wyrwa się z zakłętego koła mieszczańskiego i idzie, gdzie go czysty duch powiedzie, znajduje jeszcze skarby rzetelnej, głębokiej poezyi: *El mole rachmim... Sub tegmina...* Zresztą cóż znajduje w świecie tym rzeczywistym, do którego należy ciałem i duszą, a z którego wypłoszono mary wielkości? Salon z jego erotyzmem, nie sięgającym duszy, zbiedzone, sponiewierane przez świat jednostki, którym rzuca się współczucie (*Francuzica, Pogrzeb aktora*), kolekcję małomieszczan śmiesznych, stróżownych — kandydatek do rynsztoka, panien wpatrzonych w nagie statuy „o klasycznym karku“, kupców, którzy się dorobili miliona i zbiornika chorób wszelakich... Wobec wszystkich tych istot raz pocziwych, raz mizernych, wypowiada mądrość życia. Mądrość-to prawdziwa, jak wszystkie prawdy znane, aż nazbyt uznane, kwiaty na drucianych pręcikach, nawet nie szmaty życia, lecz szmatki oprawne w najmisterniejsze koronki formy Wpadną w oko — nigdy w serce, pokiwa się nad niemi. głową — nie weźmie się ich na drogę życia.

Sztuka-wirtuozka jest wielką — poezya małą.
I tak na długie lata.

Adam Asnyk urodzony 24 października 1838 w Kaliszu, z ojca kupca i b. kapitana wojsk polskich. Studya odbywał w Akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie, gdzie gorliwy zaczął brać udział w robotach spiskowych; w październiku 1860 uwięziony, zdołał się uwolnić i wyjechał do Wrocławia, potem do Heidelbergu dla kontynuowania studyów; tu zaskoczyła go wiadomość o powstaniu. Wrócił natychmiast do kraju i oddał się sprawie powstańczej z całym zapałem, przez pewien czas, poprzedzający dyktaturę bohaterskiego Trauguta, należał nawet do Rządu narodowego. Po upadku powstania wyjechał zagranicę, bawił we Włoszech, Francji, 1866 osiągnął w Heidelbergu stopień doktora nauk społecznych. W roku następnym osiadł we Lwowie, jako dziennikarz, w r. 1870 przeniósł się do Krakowa, gdzie mieszkał do końca życia, wyjeżdżając często zagranicę dla poratowania zdrowia; w tym celu bawił w 1895 r. nawet na Ceylonie. Natura głęboko poetyczna, żyjąca życiem wewnętrznym, mało się udzielał światu, nie odmawiał jednak współudziału, gdzie go obowiązek powoływał do pracy publicznej. Stał długie lata na czele demokratycznego dziennika *Nowa Reforma* i piastował mandat poselski do sejmu.

Poezje jego zaczęły się pojawiać drukiem w r. 1864 w *Dzienniku literackim* podpisane znakiem (✓), literami Y, to *El* — potem stale pod kryptonimem *El..y*. Pierwszy tom wyszedł w r. 1869, budząc odrazu dla poety powszechnie uznanie, drugi wyszedł w Krakowie 1872, III — 1881, IV — 1894; wydanie zbiorowe (cenzuralne) zredagował St. Krzemiński w Warszawie (1899) w 5 t.; zawiera ono także utwory sceniczne. Należą do nich komedye: *Walka stronnictw* (1869), *Gałązka heliotropu* (wierszem, napisana podobno 1869, wyszła 1882), *Przyjaciele Hioba* (1879), *Komedia konkursowa* (1888), *Bracia Lerche* (1888) *Dramaty*: *Cola Rienzi* (1873), *Żyd* (1875) *Kiejsztut* (»tragedya«, 1878.) Dużo poezyj Asnyka rozrzuconych po czasopismach czeka wydania osobnego, podobnie jak Listy z podróży, nowela *Pojedynek* (*Nowa Reforma* 1885) i odczyty o *Antygonie* (1873), o *Trubadurach* (72), o *Księżu Niezłomnym* (74), o *Królu Duchu*, o *Bajkach Krasickiego*.

Życie Asnyka właściwie mało jest znanem; niewiadomo dobrze, jaką była jego indywidualność przed pierwszym występem poetyckim; czy różnica nastroju między *Snem grobów* a późniejszymi utworami jest wynikiem ogólnego przełomu narodowego, czy tylko powrotem do właściwej swej istoty. W pismach widzimy dwoistość. Pierwsze utwory, pisane po powstaniu, noszą na sobie ślady burzy wewnętrznej, rozpaczy, łamania się z sobą; przechodzi ono całą gamę tonów:

od *Apostrofy* w rodzaju *Grobu Agamemnona*, do cichego łkania i bezmierne go żalu; poeta kaja się Bogu (*Asceta*), ale Go nie znajduje, wpada więc w zwątpienie, bluźni, ignoruje całe posłannictwo Chrystusa (*Julian Apostata*), wpada w szal bachiczny (*Pijąc falerno*). Wiersze te drukowane bezpośrednio po r. 1864, są związane nicią psychologiczną. Rzecz charakterystyczna, że w pierwszym swym tomie Asnyk tych najznamienniejszych a wczesnych swych wierszy nie umieścił; powieścił je do zbiorów dalszych, w wiele lat później, gdy miały dla niego już tylko historyczne znaczenie.

Burza minęła, na wypogodzonym niebie zaświeciło słońce racjonalizmu.

Przeszedł on w kość i kre w Asnyka, odbiła się na treści i na formie. Asnyk prawie wszystkie wiersze układał na spacerach, potem od razu rzucał je na papier. Twórczość jego nie przedstawia też nic spontanicznego, samorzutności, żywiołowego natchnienia. Obmyślał wszystko na chłodno — w takt wieczystej melodyi, którą czuł w duszy. Niema też w jego wierszach tego gwałtownego naporu słów, obrazów, uczuć, skłębionych nieraz, goniących się wzajemnie, tworzących chaos, ale także gorączkę, która oślepia, rozpala, porywa, — jak u Słowackiego i innych romantyków; jest natomiast takt i miara. Wiersz układa się w strofy o budowie niestychanie kunsztownej i urozmaiconej, strofa toczy się językiem spokojnym, trzeźwym, zawsze w takt muzycznej rytmiki, kolebiąc się na rymie zawsze dźwięcznym, zawsze świątynnym, często stanowiącym *unicum* w swej kunsztowności, tak, że chce się istotnie wierzyć poecie, gdy powiada, że

mój każdy rym najprostszy
Swoim rogiem szatan ostrzy.

Poezya z takiego źródła w podobny sposób powstająca, ma jeszcze cechę ogromnej subtelnosci; u Asnyka sztuka malowania odcieni psychologicznych, dokładnych analiz, myśli, delikatnych wahań uczucia jest doprowadzona do mistrzostwa; począwszy od *Odpowiedzi*, danej w r. 1864 rozmaitym oportunistom poetyckim, a kończąc na obudzeniu się pragnienia miłości w duszy młodego dziewczęcia — jest wszędzie pełen finezyi, chwytą prawie atomy uczucia, z wyrafinowaniem lubuje się w śledzeniu najdrobniejszej zmarszczki na fali. I jeszcze jedna własność podobnych natur: dowcip. Nie humor, który cechuje ludzi uczuciowych, lecz gra słów, niespodziane skojarzenia, świat antytez, analiza gryząca, satyryczna; spotykamy to w poezjach Asnyka rzadko, ale w rodzaju, zaspakajającym najwybredniejszego estetyka. Takie wiersze, jak *Replika*, *Karnawałowy lament poety*, *Napad na Parnas*, mnóstwo erotyków satyrycznych, należą do najdowcipniejszych utworów polskiego pióra.

Zato będzie tworem podobnej indywidualności zbywać na wszystkich

tych znamionach, które wynikają z żywiołowego, skoncentrowanego uczucia i rozległej, plastycznej fantazy. Niezrównanej melodyjności wiersze Asnyka są w kolorystyce blade, w potęgze wyrażenia — retoryczne. Każde uczucie skąpało się w nurcie refleksyj, zostawiło tam puszek świeżości, żar bezpośredniości a przyległa do niego szara abstrakcja, a czuwa nad niem ostra, racjonalistyczna logika. Dalej gdzie brak silnego punktu krystalizacyjnego, którym jest magnetyczną siłę ośrodkową posiadające uczucie, brak też koncentracji; ruch myśli mniej się wyczerpuje, niż napięcie uczucia; stąd w poezjach Asnyka często nienaganne, cudowne strofy, a całość rozwlekła i przez to chybiona. Ulubioną formą Asnyka jest też tak nie lubiana przez poezję perora.

Naturze tak obiektywnej, wyrafinowanej umysłowo, trudno zatracić swą samowiedzę, rozpląwać się w innej, choćby większej potęgze. Nie wcielił się też Asnyk w niezróżniczkowaną, jednolinijną duszę ludu; poezje ludowe Asnyka są bardzo ładnymi poezjami — Asnyka. Nie rozpląta się też w przyrodzie. W obliczu Tatr wchłania rozkosz piękna, ale i tu świadomość w nim zawsze pracuje i często, np. *Podczas burzy*, więcej nasuwa mu refleksyj, niż widoków wspaniałych; w arcydziele tem, którem jest *Noc pod Wysoką*, zespala go z wszechświatem, ale i wówczas czując się »jednym łańcucha ogniwem rozciągniętego przez otchłań bytu« — robi zastrzeżenie, że »jest wolny, choć prawom powszechnym podległy«... Jakże innym jest stosunek do przyrody modernistów dzisiejszych. Nie roztopia się też Asnyk w tem z najsilniejszych uczuć, którem jest miłość; w jego lirykach panują czyste, wysubtelizowane stany uczucia, odbiciem tego stanu jest też dlań kochana: nie widzimy jej kształtów, ledwie odgadujemy postać z krwi i ciała; nie ginie nam natomiast ani jeden nastrój, ani jedno drgnienie bogatych dusz...

Dzisiaj racjonalizm poezyj Asnyka chłodem przejmuje najmłodsze pokolenie, gdy brak w nim haseł społecznych odstręcza odeń bojowników zasad. W kilka lat po śmierci pamięć jego okrywa się już cieniem zapomnienia. Niestuszenie, po trzykroć nieustuszenie. Dusza jego była tak bogata i tyle szlachetnego piękna wylała z siebie, iż w krynicy tej przeglądać się i czerpać niejeden jeszcze może pokolenie.

Mniejsze znaczenie mają twory jego sceniczne. Zastugą ich, że w czasie wszechwładnego panowania w teatrze Sardou'a, Dumasa i polskich ich naśladowców były przepelnione tchnieniem poezji i czystości. Zresztą podane wyżej cechy znamienne indywidualności Asnyka nie kwalifikowały go na dramaturga. Potrzeba harmonii kazały mu być prawie »klasycznym« w *Rienzim* i *Kiejstucie*, unikać kataklizmów tragicznych nawet w *Braciach Lerche*. *Kiejstut* jest przytem zupełnie pozbawiony kardynalnego warunku dramatu historycznego: ducha, atmosfery epoki. Piękne sceny znajdują się w *Przy-*

Jaciolach Hioba, a rzeczywiście dowcipną w pomyśle i przeprowadzeniu jest satyra: *Komedia konkursowa*.

Wiktor Gomulicki urodzony 1851 r. w Ostrołęce. Na uniwersytecie warszawskim studiował prawo i administrację, od r. 1870 jest współpracownikiem wszystkich wybitniejszych czasopism literackich. Poezję zbiorów pierwszy wydał 1882, nowy tom, zawierający wybór z pierwszego — w roku 1887; *Nowe pieśni* 1896, *Pieśń o Gdańsku* 1900, *Wybór wierszy* 1900. Nowele i powieści: *Do niej i do niego*, *Obrazki prawdziwe*, *Obrazki weneckie*, *Kolorowe obrazki*, *Przy słońcu i przy gazie*, *Róże i osty*, *Zielony Kajet*, *Złote ogniwo*, *Warszawianka*, *Biała*, *Wyzwolona*.

Gomulicki był pierwszym i jest najprzedniejszym u nas parnasowcem. Uprawia przedewszystkiem kult formy, do wysokiej miary doprowadził rzeźbiarstwo słowa, jak zarazy unika wszelkiej popolitości wyrażenia i rymowania. W kryształ swoje nie wlewa atoli napoju gorącego lub fermentującego, ani też — nieznanego sobie dobrze, nowego, bo by może pękły.

W ograniczonej sferze swej fantazy i uczucia tworzy nieraz rzeczy mistrzowskie. Nie przemawiając bezpośrednio z serca — przemawia środkami intelektu: rozmowaniem, antytezami. Forma to jego typowa. Tłum głodnych, obdartych nędzarzy rzuca na tło Łazienek. Namaluje nasamprzód podwórze żydowskie, poplamiony baldachim, Icka-waciarza, aby tem skuteczniej odbijać obrazem świetności poezji starego Izraela. Takimi antytezami posługuje się i w starych obrazkach warszawskich i współczesnych (*Sonety*, wiersz *Warszawianka* itp.) Gdzie przedmiot do traktowania epicznego się nie nadaje, racjonalizm poety ucieka się wprost do kontrawersyj i rozpraw jakby jurydycznych (*Żydzi* etc.)

W ostatnich czasach, pod wpływem silnych wstrząśnień indywidualnych, wytrysnęło z duszy poety kilka utworów głęboko odczuty i niezatarte sprawiających wrażenie. Wytworny parnasowiec i tutaj uczucie trzyma na cuglach, pod kunsztowną a majestatyczną formą wre atoli wieczysty ból życia i śmierci. I nim przejęty wyśpiewuje poeta takie arcydzieło, jak:

Kochałem ciebie i czar twój wszystek,
Szczytów gąszcz, która pod wiatrem gnie się,
Każde twe ziółko, każdy twój listek,
Lesie! Lesie!

Dziś, kiedy serce strute żałobą,
Wicher mi z płaczem szumy twe niesie,
I jużbym nie mógł stanąć przed tobą,
Lesie! Lesie!

Z uciechą niegdyś gonilem fale,
Co wzrok i myśli niosły daleko;
Tonęły w tobie me łzy i żale,

Rzeko! Rzeko!

Dziś spragnionego snu i ochłody,
Moc jakaś na dno ciągnie mnie przed pieką,
Więc mi straszniemi są twoje wody,

Rzeko! Rzeko!

.

Jak wszystkim ludziom o chłodnej duszy a ostrym, dyalektycznym języku przychodzi Gomulickiemu łatwo, na zawołanie dowcip. Strona jego talentu uderza w wielu utworach. (*Warszawianka, Pieśń o Gdańsku* etc.)

Osobne znaczenie mają jego Obrazki ze Starego Miasta — Starej Warszawy. Pisał je subtelny znawca, rozkochany w swym grodzie rodzinnym, który z kamieni i dusz jakby krzemiennych umie wykrzesać poezję — nie tylko opisową, lecz i ducha pokoleń.

Pisma powieściowe Gomulickiego wrażenia wielkiego nie wywoływały. Zbyt poeta, aby zrobić dużo ustępstw na rzecz realistycznych wymagań czasu — zbyt nisko kierując lot, ku małym ludziom i małym rzeczom, by porywać ludzi, spragnionych poezyi — nikogo nie zadawalnia. Czarem stylu umie przykuwać tam nawet, gdzie niewiele ma treści (*Zielony kajet, Obrazki weneckie*); najlepszym jest w niektórych drobnych nowelach, gdzie puszcza wodze fantazyi.

ROZDZIAŁ IV.

EPIGONOWIE ROMANTYZMU.

Skarłowacenie romantyzmu. — Ostatni i pogrobowcy. — Romantyzm uczuciowy: Leonard Sowiński, Włodzimierz Stebelski. Autor *Strof*. — Romantyzm salonowy: Czesław. — Romantyzm mistyczny bez wiary mistycznej: Deotyma. — Romantyzm archeologiczny: Bełcikowski. Grabowski. Romantyzm bohaterski: Aureli Urbański. Karol Brzozowski. Mięszaniny romantyczne: Wojciech Dzierżyski. — Ostatni z wielkiej plejady: Matejko. Jego rozbrat z teraźniejszością. Żywoty i dzieła.

Pozytywiści byli na bezdrożach — jeszcze bardziej skarleli epigonowie romantyzmu i epigonowie epigonów.

Romantyzm przeżył się był już dawniej — od lat pięćdziesiątych nie wydał był dzieła głębszego natchnienia. Gasły genialne jednostki, które były jego obrazem, gasły stosunki, których był wyrazem. Jeszcze w r. 63 mógł naród uważać się za farysa, za Chrystusa narodów; romantyzm dawał wtenczas „pacierz, co płacze i piorun, co błyska“ i modlono się pieśniami Ujejskiego, bluźniono ustami Berwińskiego... Przyszła chwila, kiedy oczekiwany archanioł, co miał prowadzić na bój zwycięski, zawiódł: w rzekach krwi utonął najwyższy, najbardziej

polski duch romantyzmu: bohaterski mesyanizm... Życie głosem groźnym, nie dopuszczającym apelacji, rzuciło hasło: precz z marzeniami. Zamiast skrzydeł — wymagało tęgich muszkułów do pracy, zamiast egzaltacji — ścisłej rachunkowości. Warunki te posiadało mieszczaństwo, wysuwające się na pierwszy plan życia społecznego i umysłowego; wyparta w Królestwie z dawnego stanowiska szlachta, musiała iść za niem... Zamiast nieokreślonej tęsknoty poetyckiej rzeczywistość podsunęła, jako przędzę dla myśli i uczuć warsztaty: w Galicyi i Poznańskiem — polityczne i społeczne, w Królestwie — ekonomiczne. Atmosfera społeczna się zmieniła — między poetami nowszych czasów nie było ani jednego, któryby ją przerósł. Wszyscy prawie oddychali wonią kwiatów romantyzmu, czuć ją w utworach tak Asnyka, jak i Konopnickiej, tak Gomułickiego, jak i Sienkiewicza, ale ducha romantycznego w nich już niema. Ci zaś poeci, którzy i ducha romantycznego chcieli odtwarzać, nie mogli czerpać z żywych uczuć narodu — czerpali więc z książek, nie mogli wlewać w swe postacie krwi i wiary, krążącej w ludzie — przetwarzali więc stare formy, stare hasła, lub przeklinali czas swój: anachronizm między żywymi. Z pośród epigonów piszących po r. 1863, w jednym tylko Leonardzie Sowińskim czuć wielkie tchnienie dawnych mistrzów, lecz rozbite i chore, inni — płomienną fantazję i kipiące uczucie poprzemieniali w literaturę papierową, cudowny „kwiat niebieski“ przypinali do fraka salonowego, jęli zasuszać go pod etykietką archeologiczną i krajoznawczą, używać go jako pióropusza dla bohaterów o piersi bynajmniej nie na miarę Fidyasa...

Z plejady wielkich poetów żyli około r. 1880 tylko starcy o białych głowach i słabym głosie: opromieniała ich aureola wielkich przeszłości, ale światło to nie wskazywało dróg przyszłości. W Paryżu żył do r. 1886 J. B. Zaleski, ociemniały, milczący, resztki sił i dni swoich topiąc w ortodoksyi religijnej. We Florencyi żył do r. 1893 Teofil Lenartowicz, próbując

rzeźbić w marmurze bez wielkiego rezultatu, jak bez rezultatu pozostały też próby jego rzeźbienia dramatu (*Sokrates* etc.); oddalony od kraju zapomniał dźwięków mazowieckich, a nie nauczył się wydobywać tonów silnych *Ze starych zbroic* — poezye jego nie znajdowały nakładcy. Krzepka dusza mieszkała w Kornelu Ujejskim, ale i jego twórczość dawno się była wyczerpała; próbował był romantyzm przenieść do polityki, jako poseł do parlamentu wiedeńskiego, lecz zagłuszony przez praktycznych mężów stanu, usunął się w zacisze wiejskie, skąd wychylał się, aby błogosławić budzącemu się około r. 1890 ruchowi ludowemu w Galicyi, aby błogosławić całemu narodowi, który w r. 1894 obchodził jego jubileusz z czcią, należąca się — uosobieniu tradycyi olbrzymów ducha. Smutniejszy widok przedstawiali ostatni romantycy w Warszawie. Z początkiem lat osmdziesiątych gromadzili się około towarzysza Mickiewicza, A. E. Odyńca († 1884), by z dobrą wiarą przyjmować niekrytyczne jego opowiadania z przeszłości, gromadzili się w salonach Deotymy, na zebraniach tygodniowych, przemienionych w jakieś pompatyczne uroczystości o specjalnych obrzędach i skostniałych formach, z których duch dawno był uleciał, a treść stanowiły bezsilne złorzeczenia nowym bogom...

Wielkie słowa robiły małe wrażenie lub nie robiły żadnego, bo padały z piersi, stworzonych na miarę krawca, a atmosfera, pełna wrzawy świeżych walk i celów, je zagłuszała.

Uczuciowość romantyczna wyjąłowiła się. Dawniej największy z wielkich samego Boga do walki „na serca“ wyzywał — inni byli wulkanami, którzy kipieli, ziemię wprawiali w trzęsienie, lawą palili ognistą; u epigonów widzimy najczęściej tylko dym gryzący — i to nietyle z wulkanu, ile z fałeczki Heinego i Musseta. Ci wywierali czar wielki, może większy, niż Słowacki, który zresztą w istocie swej był prawie nieznanym; nic dziwnego — epigonowie warszawscy pisali głównie dla buduarów.

Ostatnim w szeregu wielkich bajronistów, który jeszcze śpiewał w latach osmdziesiątych, był Leonard Sowiński, ale głosem pękniętym, pełnym zgrzytów. Żyjąc na rozstaju dwóch epok: uczucia i rozumu — całą naturą swoją zrywał się ku duchom prometejskim, potężnym namiętnościom, czystym, nad materię grzeszną wznoszącym się sercom. Nie uznawał różnicy między pieśnią a życiem, zawsze na jedno i na drugie spoglądał nie za pośrednictwem zwyczajnych zmysłów, lecz przez fantazyę, w której bezustannie kłębiło się, gorzało, wszystko przybierało kształty konwulsyjne, barwy przerażające, ruchy apokaliptyczne. Wszystko, co ziemskie, było wobec tej orgii wyobraźni niskiem i marnem, korzyła się ona tylko przed ideałami bohaterstwa, których w plastyczne formy zakłócić nie umiała. Nie mogąc się oczywiście zlewać ze społeczeństwem mieszczańskim, pożerał się w tęsknocie ogromnej, bezbrzeżnej, węzowym biczem *Satyry* smagał płazy i potępieńców ducha, a ten swój wstręt i wzgardę przelewał też na całą terażniejszość.

Kartowacieją myśli, gasną serc wulkany
Dzieje już nie brzmią hymnem wiary archanielskim;
Wiek r o z u m u jak tabor ciurów rozpasany
Opycha brzuch podbity materii cielskiem...

Poeta romantyczny dla siebie miejsca nie znalazł; ze zwaleniem się tęczowego gmachu jego marzeń — świat cały w oczach mu się wali. I walił się istotnie ten świat, tak odległy od wysokiej miary, jaką pokolenie z r. 1862 stawiało ludziom i rzeczom. Widzimy to w dramacie Sowińskiego: *Na Ukrainie* przed powstaniem i podczas boju; młodzież spiskowała, starzy krzywdą zdemoralizowali lud, napoili go nieufnością, arystokracja trzęsła się o swe przywileje — ruch narodowy tonie też w mętach zdrady zdemoralizowanego chłopca i w mętach słabości bohaterów; widzimy to też w posępnych

tych dantejskich obrazach, jakimi dla Sowińskiego świeci
teraźniejszość w powieści *Na rozstajnych drogach...*

Marnieje ludzkość w daremnym bólu,
Marnieją cele w potwornym buncie, —
I na zboczonym krwią Pańską gruncie
Nic nie wyrasta oprócz kąkolu.

Poeta widzi jeszcze drabinę, wiodącą ko nieba, ale na
ziemi nie umie znaleźć dla niej oparcia...

Tragiczną postacią w znacznie mniejszym stylu, już nie
na tle losów narodu i wspinania się do absolutu, lecz indy-
widualnych marnych przeżyć życiowych; talentem mającym na
sobie już dużo barwnych plamek rozkładu późniejszych de-
kadentów, jest Włodzimierz Stebelski, który z początkiem
lat osmdziesiątych śpiewał we Lwowie. Jego młodość nie była
„górną i chmurną“, jak Sowińskiego; nie na pracy społecznej
upływała, lecz w kawiarniach i redakcyach, nie przyświecały
jej słońca, lecz drobne gwiazdki, widziane przez pryzmat fej-
letonowy. Nie patrzy on też na świat z tych wyżyn, co Sowiński,
choć sprawa poezji często jest dlań jeszcze świętą a uczucie
szczerze i niepospolity talent formalny zawsze uderzają w surmę
patosu. Charakter czasu i światek ówczesny poety mącą jeszcze
bardziej duszę gorącą, wrażliwą, mięką: gmatwa się ona,
upada, podnosi, w rozpacznej konwulsji woła zbawienia, kończy
gamą szyderczego śmiechu.

A więc przestałem latać na Montblanki
I na wyżynach padać z rozemdlenia.
Rozcieńczonemu dotąd na dnie szklanki,
Letycka woda płynie zapomnienia!
A w tej gorączce zawsze twarz kochanki
Patrzała z wspomnień zielonego cienia.
A... dosnuj powieść, co te znajdziesz karty,
Bo ten »dokument« pieśni już nie warty.

Takim dokumentem życia poety jest *Roman Zero*. Historia prawdziwa, o ile prawdziwie oddaje zwyrodnienie jednego kierunku romantyzmu i łączność jego z późniejszym prądem dekadencjismu. Młody rzeźbiarz, zawdzięczający wychowanie i wykształcenie idealnemu hrabiemu, odwodzi się miłością ku jego żonie. Następuje szereg intryg, kolizji; artysta, odrzucony ze wzdrganiem, nie może się zdobyć na samobójstwo: choroba woli... Strzaskana ona w bezsilnych zapasach z sobą i z życiem, a poeta na gruzy te rzuca ognie bengalskie tęczowego stylu, błyskawice duszy spragnionej wielkości, staczającej się jednak bezustannie w odmęty podłej rzeczywistości...

Wobec tych przedstawicieli romantycznej uczuciowości maleją inni spóźnieni epigonowie i błędni. Są oni więcej zrównoważeni, konsekwentniejsi w obranym raz kierunku, nie są niewolnikami swego talentu, lecz panami — mniej też są zajmujący. Zamiast wulkanów dają fajerwerki, zamiast lotów podniebnych i upadków straszliwych dają obraz ślizgania się po salonach, problemy ogólno-światowe i narodowe przemieniają się przeważnie w szermierkę „serc“ buduarowych.

Powagą moralną przejęty jest autor *Strof*, pisanych najwięcej w latach osmdziesiątych. W poematach młodocianych *Tytan* i *Aryon z Koryntu* złożył był hołd muzie romantycznej; nie brak w pierwszym poemacie ni warownego zamku na urwistej skale, wznoszącego ku niebu błagalne ramiona, nie brak i więźnia tajemniczego, ni mnicha, gotującego go na śmierć, ni zwykłego zakończenia romantycznego. *Strofy* są krótkimi refleksjami i racjami uczucia również na ton romantyczny nastrojonego. Wielbi Napoleona i nazywa go Prometeuszem, nie może się godzić z pozytywizmem wieku.

Rymy i pieśni dziś leżą w grobie,
Wiek nasz rozumu wyrazem,
Ja sam się nieraz wydaję sobie
Jakimś rozbitka okazem...

Albo:

Ustąpmy z placu! Rydwan zwycięski
Co niedobitków zmiążdży w pochodzie,
Nietylko pieśniom zwiastuje klęski...

Romantyzm stracił wiarę w siebie.

O wiele mniej patetycznie traktował poezję i życie *Czesław*. Dandys-to, kokietujący świat salonowy garniturem, pozą, skrzywieniem ust ironicznem, a w istocie pragnący przedewszystkiem się bawić. Ulubione jego formy to *capriccio* i *arabeski*; w drobnych łupinach pomieszcza owoc czasem gorzki, czasem bardzo pożywny, najczęściej lekki i pikantny. Częstoje nim najchętniej piękne, młode damy, w eleganckich buduarach, spoczywające na miękkich kozetkach i znudzone. Tym opowiada tonem świetnej nieraz *causerie* o cierpieniach serc, przesytych strzałą amora, o kwiatach, balach i piosenkach, co pieszczą, całują. Do rozmowy tej wmięsza często sarkazm à la Heine, melancholię à la Alfred Musset, czasem nawet wspomni ciężką dolę rzemieślnika, bankructwo jakiegoś ideału i... przewrotność krytyków; łąza doń się zabłąka i zgrzyt z ust się wydobędzie... Nie na długo. Z wdziękiem przerzuci się prędko do innego tematu, zanuci piosenkę wesołą, hulaszczą à la Rudolf Baumbach, dowcip mu się nawinie, gdy na poważne pytanie brak odpowiedzi, błędny rycerz z mandoliną w ręku idzie już pod okna innej donny... Uczucie wymienione tu na drobne i to niezawsze dobre monety próbuje wznosić się nieraz na wyżyny zagadek bytu, ale ma skrzydła motyle; jeśli toczy walkę ze społeczeństwem — to na dowcipy, jeśli mówi prawdę — to za wachlarzem. Musset i Heine, jako *homunculi*...

Wyjąłowiła się uczuciowość, wyjąłowiła się wiara romantyczna. Kiedy Mickiewicz pisał „czucie i wiara silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko“, wyraził pogląd na świat całego pokolenia, które było przesycone oschłością jednostronnego racjonalizmu „wieku oświecenia“. Świat fantastyczny nie

był dla tego pokolenia tem, czem mitologiczny dla klasyków: kopalnią motywów estetycznych, szematem alegoryj, porównań. Romantycy w świat swój nadnaturalny wierzyli. Gustaw Mickiewiczowski zapewniał księdza:

Gdyby z Twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,
Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie,
Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu...

a Goszczyński śpiewał:

Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka!
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były:
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka, jak dziecka.

Naturę tę nie ich fantazyja zapełniała upiorami, dyabłami, rusałkami; oni je widzieli — „oczami duszy“. Z taką samą siłą i bezpośredniością przemawiała do nich przeszłość: nie z dokumentów brał Słowacki Króla Ducha a nawet Maryę Stuart, nie erudycya dyktowała Mickiewiczowi Wallenroda i Konfederatów, a Krasieńskiemu Irydyona — lecz żywe tchnienie fantazyi własnej, intuicyja genialna wcielająca się w morze wieków i pokoleń, aby wydobyć perły wieczystej wartości.

Minęło lat kilkadziesiąt. Fale niwelującej, krytycznej cywilizacji nowoczesnej spłukały z umysłów świeżość pierwotnej naiwnej wiary a fantazyę przytłoczyły balastem erudycyi; przyniosły mnóstwo wiedzy, oziębily serce. Mamy z tego okresu mnóstwo pisarzy romantycznych, nie romantyków. Zachowali wstręt do rzeczywistości lub nieumiejętność spojrzenia jej w oczy, światy swej twórczości chcą wyprowadzać z fantazyi, z nieba i piekła nadnaturalnego, z dziwów i z baśni ludowych i ech przeszłości, otaczają się też wszystkimi akcesoryami romantyki — bez jej ducha. Ich świat baład i podań ludo-

wych — to etnografia, świat przeszłości — erudycja historyczna, to, co dla wielkich poprzedników drgało życiem — u nich przemieniło się w myt, dający się przy zimnej rachubie użyć, jako efektowna alegoria. Inteligencja zastąpiła poezję, książka — wyobraźnię twórczą. Fantazyujący współcześni staro-romantycy przypominają brakiem wiary, konwencyonalizmem porównań i idei, zimną podług ustalonych wzorów toczoną formą — dawny klasycyzm.

Przykładem takim romantyzmu, kostniejącego w szematy pseudo-klasycyzmu — twórczość *Deotymy*. Nie brak jej żadnej z poz wielkiej poezji i wielkiej wiary — krom duszy. Jest tu więc świat nadzmysłowy i bohaterów ziemskich równych bogom i bezmiar krain snów i strachów, a nawet państwo spirytyzmu nowoczesnego (*Zwierciadlana zagadka*) — wszystko to jednak zimne, owoc pewnej kultury umysłowej, złożonej zarówno z studyów poważniejszych, jak z konwencyonalizmów towarzyskich, ze zdolności do malarstwa dekoratywnego, jak i z braku prawdziwie twórczej fantazyi. Jestto poezya, która się stała literaturą. *Wandę* *Deotymy* nazwał wielbiący ją Tarnowski „librettem“; wystarczy porównać ten utwór z poematem St. Wyspiańskiego, aby odczuć różnicę między wystudyowaną książkowo i dla celów dydaktycznych wykutą parafrazą podania, bez indywidualności i fantazyi własnej, a dziełem natchnienia poetyckiego. Romantyzm bez romantyki *Deotymy* jest tem fałszywszy, że przepełniony czysto salonowymi poglądami na takie fenomena duszy, jak cnota, miłość — i to na miłość we wszystkich wiekach i u wszystkich ludów. W przepełnionej erudycją, ale zgoła martwej powieści *Branki w jasyrze*, konwencyonalna moralność odnosi tryumf nawet na siodle i pod namiotem Tatarów. Na całej tej literaturze spoczywa klątwa bibuły, choć pod względem formy — pełna kultury, erudycyi, a nieraz i misterności...

Klątwa bibuły spoczywa też na większej części epigonów romantyzmu, a tem niebezpieczniejsza, że rzucają się oni

przeważnie na pole, którego bibuła nigdy nie użył: na scenę. W dodatku są oni pozbawieni form Deotymy, zimnych, ale nieraz pięknych...

Mnóstwo dramatów pisał, kilka też wystawił Adam Bełcikowski, ani razu nie wstrząsnął silniej nerwem społeczeństwa. Nic dziwnego. Książkowy, często kronikarski w ujmowaniu historii, szary, oschły, pozbawiony indywidualności pod względem języka, złożony z kompromisów między mieszczańskim zdrowym rozsądkiem a tradycją romantyczną, lawirujący między Szekspirem, Słowackim, a zwyczajnym sprawozdawcą faktów dokonanych, fantazyja bez barw, temperament bez ognia — autor ten właściwie tylko negacją rzeczywistości i wdzieraniem się w tajemniczy gąszcz Polski przedhistorycznej należy do romantyki. Dopiero w ostatnich latach wzbogacił jedną sztuką (*Przekupka warszawska*) repertuar popularny; ani jedną — poezji.

Jeszcze bardziej cięży klątwa bibuły na nader obfitej a zupełnie jałowej twórczości Bron. Grabowskiego. Zasłużony sławista, uzbrojony w znaczną erudycję, przez dwadzieścia lat rwał się na scenę utworami zupełnie pozbawionymi nerwu dramatycznego, przesiąkniętymi romantyzmem o tyle, że popularne, znane z mytów i legend postacie znaczną zdgrywają w nich rolę.

Straciła krew i skrzydła poezya romantyczna, a jej przedstawiciele ciągle uzurpowali sobie, że w czasie „zmateryalizowanym“ i ogołoconym z poezji oni wyłącznie stoją na straży znicza narodowego. Gdy realisci przynajmniej uczyli życiu w oczy spoglądać — oni nie umiając tego, ani też patrzeć na sfinksa wieczności, zupełnie tracili rację bytu. Nie mieli też wielkiej siły w rękę ci pogrobowcy, którzy próbowali uderzać w najpotężniejszą strunę romantyzmu: w bohaterką. Siłą tą może być tylko wielki artyzm szczery, bez niego bohaterstwo staje się pozą i deklamacją; ale artystów wielkich czas nie wychował...

Dźwięk strun bohaterskich wywoływał najczęściej Lwów, ze swoją atmosferą obchodów i demonstracyj, ze swym piętyzmem dla niedobitków starej gwardyi i ze swą polityką uczuciową, ze swem pełnem temperamentu drobniejszym mieszczaństwem. Z tej atmosfery wypłynęła moc wielka dramatów i opowiadań iście romantycznych, o wartości jednodniowej, bo przeważnie na urząd, na potrzebę chwili pisanych. Trwalsze nieco znaczenie miały utwory Aurelego Urbańskiego i Karola Brzozowskiego.

W utworach Urbańskiego maluje się wiernie ów charakter narodowo-wieczorkowy, operujący wielkim frazesem, rozpalonym do czerwoności i zakończony typowym transparentem. Dźwięczą tu zawsze dwie tylko nuty: bohaterstwa i męczeństwa z jednej strony i okropnego ich gnębienia z drugiej — nuty jaskrawe, krzykliwe; krzyk ten płynie niewątpliwie z serca, ale powtarzając się często, regularnie, staje się sztucznym i subtelniejsze ucho musi razić. Do tej tendencji wszystko jest zastosowane; przyświeca jej nie sztuka, lecz jedna wielka miłość i jedna wielka nienawiść — proste, nieskomplikowane uczucia, tworzące też proste, nieskomplikowane postacie, raczej ilustracje wiadomej z góry tendencji. Natura ludzka sprowadzona tu do kilku zaledwie zarysów, do dwóch pierwiastków: nadludzkiego i nieludzkiego — ostatni, moskiewski, zwycięża materyalnie, pierwszy moralnie. Bieg ten myśli panuje we wszystkich sztukach Urbańskiego, czy rzecz dzieje się w Warszawie 1863 roku, czy w walce kozactwa z szlachtą, czy też we wczorajszej Bułgarii. Bohaterstwo romantyczne staje się tu szematem; dobiega je klątwa teatralności.

Więcej poetą okazał się Urbański w zbiorze wierszy epicznych i lirycznych, opiewających *Miatieź* 1863 roku. Na większej części utworów znać wpływ *Pieśni Janusza* i innych poetów powstańczych; znać robotę pozbawioną bezpośredniością wrażenia, ale pod tą formą tli niewygasłe uczucie, wierne ideałom młodości. W inwokacji woła poeta:

Ofiar roku ty — i czynów,
Matek rzymskich — bitnych synów,
Cór nie rozmarzonych czule,
Lecz garnących proch i kule,
Jać wielbię — roku mój...

i śpiewy jego są też jednym wylewem entuzjazmu. Pozbawiony wyobraźni twórczej i siły żaru — Urbański nie tworzy atmosfery czystej poezji bohaterskiej, przypomina tylko epizody, osobistości, wypadki historyczne, ocala je od zapomnienia, otacza aureolą — słowem często banalnym, nieraz zwięzłym, prostym i silnym...

Nuta bohatera dzwięczy też w poezji Karola Brzozowskiego. Żołnierz i farys, który długo błąkał się po krainach wschodnich, ma w sobie coś bojowego, a zarazem powagę, czar i koloryt wschodu. Mówi gorąco — zmysłowym językiem *Fieśni nad pieśniami* i ponurych żalów Hioba, przesuwając obrazy palącego słońca, egzotycznej, przebujałej flory i płomiennych temperamentów Kaukazu, a duszą ulatuje w świat III. części Dziadów. Dramaty, które wystawiał między rokiem 1880—1890 mają charakter czysto epiczny; treścią ich tytaniczne walki, środkami demony; nie troszczą się o prawdę, tylko o możliwie wysokie napięcie ducha, a dla obudzenia pewnych uczuć nie troszczą się także o imperatywy sztuki. Rusin Ostapowicz (z *Oblężenia Lwowa*), którego miłość popycha do zbrodni, i który śmiertelnie ranny zostaje przyniesiony do kościoła, gdzie w agonii rzuca długą tyradą apostołski siew miłości między Polakami a Rusinami — jest jakby wystawowym obiektem wszystkich niemożliwości i tendencji tego romantyzmu. To, co w duszy poety stanowi prawdę i całość, nie jest nią już w oczach nowszej publiczności, żądającej w traktowaniu ludzi i rzeczy realizmu albo potężnej hypnozy geniusza, co by kazała zapominać o nieprawdopodobieństwach. Brzozowski, który zaczął przemawiać ze sceny w sześćdziesiątym roku życia, długo na niej się nie utrzymał.

Pseudo-romantyzm naśladowców epigonów, zwyrodniały w gmatwaninę nieśmiertelnych haseł i chwilowej polityki, martwej erudycji i dźwięcznej frazeologii, strzępy strzępów szat dawnej wielkości, do których nic z ducha jej nie przyległo, został doprowadzony do absurdu w utworach Wojciecha *Dzieduszyckiego*. Pisane niedołączną prozą, imitującą gdzieniegdzie poezję, reprezentują wszystkie pierwiastki romantyki: rozgrywają się tedy na niebie i na ziemi, udział w ich akcji biorą ludzie i anioły, słyszymy w nich szczęk oręży, widzimy ducha kochanka, ukazującego się kochance, a nad śmiertelnymi niebianami unosi się Chrystus, mówiąc:

Zemsta spoczywa w mego ojca ręku.
Jeżeli tylko pracować będziecie
Bez zgrzytów gniewnych i bez mdłego jęku,
Rozłamie jarzmo, które wam kark gniecie.
Wy róbcie dobrze — On mocnych powali,
Co bluźniąc, nogi wam na kark kładą.
Dziejów nagrodę zdobędą wytrwali.
A pysznych — Ojciec ukarze zagładą.

Takie prymitywne rymy zastąpiły tęczyowy wiersz dawny, takie komunały — bohaterstwo i mistycyzm, właściwą tę treść specjalnie polskiego romantyzmu. Podobnie zlepek polskich, słowiańskich, indogermańskich podań, strasznymi rymami złączonych (*Baśń nad baśniami*) ma zastąpić świat fantastyczny *Balladyny* i filozofię *Króla-Ducha*, podobnie opowiadanie o wizji, jakie za sceną miał chan tatarski, a której nawet nie widzimy, ma pseudo-tragedyi (*Książę Henryk*) nadać charakter „mistycyzmu“...

Jakże obniża się polot i piękno romantyzmu w pochodzie swoim bodaj od Sowińskiego! Społeczeństwo nie sprzyjało orłom, a ci, którzy do orlich gniazd się dobywali — rzadko w skrzydłach po orlem mieli piórze. Ociężałe, leniwie włókł się w ślad za Szujskim pochód dramaturgów bez nerwu

scenicznego, poetów bez fantazyi twórczej, którzy z ksiąg przeszłości wydobywali — nudy, z dymiącej jeszcze krwi narodu blade tylko, papierowe widma. Tak oni, jak i powieściopisarze, poczynawszy od Wacława Koszczyca a kończąc na Zmogasie, nie mówili o wielkich rzeczach „poprostu a z krzykiem“, lecz przeobrażali je w dzieje awanturnicze podług gotowych już szematów z aniołami z jednej — dyabłami z drugiej strony, pełne tyrad i naiwności, pełne posągów męczeństwa, w których czuć próżnię. Wobec takiej bezsilnej literatury patryotycznej wołał Asnyk:

Nie potrącajcie nieudolną ręką
Tej struny, która niegdyś w mistrzów dłoni
Brzmiąta Ojczyzny miłością i męką;
Nie przedrzeźniajcie pieśni, którą oni
Na skrzydłach swoich wznieśli w ton błękitną,
By Polsce jasną świeciła jutrenką...

Kilka tylko sztuk patryotycznych (Leop. Starzeńskiego, Urbańskiego) utrzymało się w niewybrednym repertuarze popularnym, poezya i powieść patryotyczna w ostatnich dopiero latach, z bolu i tęsknot narodu, powiększonych wskutek perspektywy historycznej, znalazły piewców w Żeromskim i Wyspiańskim.

Z wielkich romantyków tworzył w latach osmdziesiątych jeden tylko Matejko. W jego ręce przeszło było berło Mickiewicza i Słowackiego, on dzierżył wysoko sztandar ich, pyszny purpurą i złotem, jaśniejący nieśmiertelnym znakiem, lecący ku niebu mesyanicznych nadziei. Matejko był jedynym dziedzicem wielkich wieszczów, olbrzymem-artystą, ale także Królem-Duchem, chcącym naród prowadzić. Zatopiony jednak w świecie wizyj, płynących z przeszłości — zapoznawał zupełnie terażniejszość. Nie rozumiał współczesnych; jako malarz do twórczości swojej z życia nigdy nie czerpał, a w uczniach swoich starał się wpoić wstręt do nowych kierunków w ma-

larstwie i nowych doktryn myślowych. Chodził też wśród współczesnych wyniosły, potężny, ale obcy. Góruje nad nimi, ale nie jak dąb, który ciągle rozkwita nowem życiem i życie nowe szczepi, lecz jak pomnik wspaniały, olbrzymi, krzepiący serce, lecz nie dający początku nowym żywotom. Matejko nie stworzył szkoły w sztuce, nie zapłodnił ducha czasów nadchodzących.

Duch narodu, który nie zamieszkał był w pozytywizmie, z pseudo-romantyki literackiej epigonów zupełnie prawie był wywietrzał... Klucza przyszłości ani jeden kierunek, ani drugi w rękę nie miał...

Leonard Sowiński urodz. w r. 1831, kształcił się na uniwersytecie kijowskim. Pierwsze jego poezye datują się z r. 1857 i są wyrazem wrażeń z podróży, odbytej po Niemczech, Francji, Włoszech. W r. 1859 zaczął w *Piśmie zbiorowem wileńskim* drukować *Satyry* wyszłą osobno w r. 1870. W tymże roku 1859 wydał *Widziadła* o smutnym losie poety, któremu »odra smutku od kolebki w serce się wpila«; później wstrząsnął sercami młodzieży poematem dramatycznym *Z życia*, wydał *Fragment powieści* i zajmował się publicystyką i pracą społeczną (*Studia nad literaturą ukraińską*, 1860; przekład *Hajdamaków* Szewczenki, 1861; praca przy *Kuryerze Wileńskim*, 1860—62). Za udział w powstaniu zestany do Kurska, potem do Szczygier, wrócił w r. 1868 do Warszawy i tu żył do 23 grudnia r. 1887. Pracował jako dziennikarz, wydał kompilatorską *Historję literatury polskiej* (z notatek Zdanowicza), a twórczość jego poetycka odbiła się w wydanych osobno tomach: *Poezye S.* (Poznań, 1875, 2 t.), dramat *Na Ukrainie* (1873), *O Zmroku* (1885), *Wspomnienia* (1885), *Na rozstajnych drogach* (powieść, 1886). Prawdziwy ten poeta o niezwykłej sile uczucia i wyrażenia, o niezwykle też podniosłym nastroju i szczerych przekonaniach demokratycznych, zasługuje, aby pisma jego odświeżono i zaczęto studyować.

Włodzimierz Stebelski urodz. 1848 r. Z rodu rusin, pisywał naprzód po rusku (*Molytwa* 1873, *Monach*), potem — po studyach we Wiedniu i krótkiej praktyce nauczycielskiej przy jednym z gimnazyjów we Lwowie — oddał się dziennikarstwu. Talent niepospolity marnował na artykuły, fejetony i wiersze humorystyczne, siły stargał w niezdrowej atmosferze. Trawiony przez nieszczęsny natóg przeniósł się w r. 1886 do Warszawy, ale do twórczości poetyckiej nie był już zdolny. Cierpiąc na delirium, niezdolny do

walki, zakończył samobójstwem 22 grudnia 1891. Wiersze jego rozrzucone po czasopiśmie; osobno: *Humoreski* (1878), *Roman Zero*, nowela lwowska (wierszem, 1883). Na nagrobku tego pierwszego dekadenta Galicyi, pod cieniową koroną wyryte wyznanie: »Wierzyłem w Boga, nie wierzyłem w tłumy, Jeśli umieram — to umieram z dumy«.

Autor »Strofa« (Aleksander Kraushar) urodził się 1843 r. w Warszawie, gdzie też stale przemieszkuje, jako adwokat. Pierwszy *Zbiorek poezyj*, przeważnie tłumaczeń, wydał w r. 1863, potem wyszły poemata *Tytan i Aryon* (Lipsk, 1867, II. wyd. 1895), nareszcie *Strofy* (1886, 2 wyd.). Zarzucawszy poezję, oddał się ze szczególnem zamiłowaniem badaniom historycznym i jest dzisiaj jednym z zasłużeńszych i najpłodniejszych monografistów. Dzieła: *Historia żydów w Polsce*, *Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego*, *Olbracht Łaski*, *Siedmioletnie Szkoły głównej, Francya i Polska w 18 w.*, *Kraszewski, jako historyk*, *Czary na dworze Batorego*, *Franki i frankiści*, *Sprawa Zygmunta Unruga*, *Burboni na wygnaniu*, *Ofiara terroryzmu*, *Z przeszłości Warszawy*, *Książę Repnin i Polska*, *Warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk*, *Losy Miączyńskiego*, itd.

Czesław Jankowski, urodz. 9 grudnia 1857 w Polanach, pow. oszmiański, gub. wileńskiej. Kształcił się na uniwersytecie warszawskim i krakowskim, od r. 1879 jest dziennikarzem, dawniej w Warszawie, obecnie sekretarzem redakcyi petersburskiego »Kraju«. Wydał *Poezje* t. I. w r. 1879. II. — 1881, III. — 1884, cykl wierszy, *Capricioso* (1884), *Rymów nieco* (1892); prozą: *Arabeski* (1891), *Z notatek turysty* (1892), *Po Europie*, *Kartki z podróży* (1893), *Powiat oszmiański* (4 t., 1896—1900), *Korespondencya Radziwiłła „Panie Kochanku«* (1898).

Deotyma (pseudon. Jadwigi Łuszczewskiej) ur. w r. 1835 w Warszawie. W rodzinie jej panowała oddawna tradycja i atmosfera literacka; nader starannie wychowana panienska od wczesnej młodości żyła też w świecie wiedzy i sztuki, a od ośmnastego roku życia zaczęła zwracać na siebie uwagę improwizacyami. W r. 1864 towarzyszyła ojcu na wygnanie za udział w ruchu narodowym. Drukiem ogłosiła: *Improwizacye i poezye* (1854—1858), *Tomira* (1855), *Lech* (1859), *Wojna „olbrzymów; Wyszmir i dwunastu wojewodów* (1860); *Rapsody o chrobrym królu* (1881), *Wanda* (1887), *Jan III. Sobieski* (1898), *Gloria Tibi Alma Mater* (1900), *Wybór poezyj* (2 t., 1896). Powieści: *Na rozdrożu* (1876), *Krzyż nad otchłanią* (1878), *Zwierciadłana zagadka* (1879), *Branki w jasyrze* (1890), *Panienska z okienka* (1899).

Adam Bełcikowski, urodz. w Krakowie 24. grudnia 1839 roku, Ukończywszy wydział filozoficzny w Krakowie, wykładał jako docent od roku 1866—1868 w warszawskiej szkole głównej literaturę polską, od r. 1876 jest urzędnikiem Biblioteki Jagiellońskiej. Zastąpił się badaniami źródłowemi

nad dziejami piśmiennictwa naszego (*Ze studyów nad literaturą polską*, 1886); pisał powieści: *Dług honorowy* (1872), *Patryarcha* (1872); poezye zaczął drukować w krakowskiej *Niewieście* (1862), wydał *Dwa poemata* (1863). Zbiorowe wydanie dramatów i komedyj w 5 tomach wyszło 1898 roku w Krakowie.

Bronisław Grabowski urodz. 19 września 1841 w Kaliszu. Zawód literacki rozpoczął w r. 1864; od r. 1866 był nauczycielem gimnazjalnym w Królestwie. Wydał Dramaty: *Mściwoj i Iwanhilda, Syn Margrufa, Królewicz Marko, Donna Rozanda, Boruta, Jadwiga Tarłówna, Prorokini*; komedye: *Na wodach, Sprzymierzeńcy, Drugi raz, Krzysztofor*; sztuki ludowe: *Jamroz, Zielona komora, Nastusia*; kilka nowel i powieści. Większą wartość niż jego utwory poetyckie i niż oryginalna *Teorya literatury* (1901) mają liczne rozprawy z dziedziny etnografii i literatury słowiańskiej; ostatni dział opracował w *Dziejach literatury powszechnej* Lewentala. Umarł 24 grudnia 1900.

Aureli Urbański, urodz. 27 marca 44, um. 13 czerwca 91. Brał udział w powstaniu, potem był nauczycielem, odgrywał następnie wybitną rolę w życiu teatralnem. Zmarł, jako wyższy urzędnik Wydziału krajowego. Około 1870 r. pisał i tłómaczył mnóstwo komedyj, fars, dramatów, tekstów do oper i operetek, od r. 1880 zaczął ogłaszać sztuki swe patryotyczne, które cieszyły się znacznym rozgłosem dla tendencji i patosu deklamacyi. Do tej kategorii należą: *Pod kolumną Zygmunta* (80), *Dramat jednej nocy, Na poddaszu* (81), *Szumi Marica (Ksenia)* (86), *Watażka* (88). W poezyi był długo naśladowcą Heinego, którego wybornie tłómaczył (*Romancero i Atta Troll*, 1901), w tym duchu i w manierze epigonów wydał też tom *Szare ptasze* (71), jako wyd. III. pomnożone pt. *Utwory poetyczne* (u Brockhousa, 81). W r. 91 zaczął ogłaszać poemaciki i wiersze liryczne, osnute na tle ostatniego powstania; pt. *Matież* doczekały się kilku wydań. Obrazki i humoreski z życia teatralnego wyszły w 7 tomach w »Bibl. Uniwersalnej«.

Karol Brzozowski, urodz. 21 września 1821 w Warszawie. Po ukończeniu studyów w Warszawie, wyjechał w Poznańskie i brał udział w ruchu 1848 roku. Uchodząc przed prześladowaniami bawił naprzód w Dreźnie, gdzie za zachętą Mickiewicza tłómaczył *Osmanidę* Gundulicza: rękopis w zawierusze zginął. W Paryżu obcował z Mickiewiczem, z wybuchem wojny wschodniej został wysłany do Stambułu. Na wschodzie bawił długie lata, robiąc zdjęcia kartograficzne, polując miesiącami w dzikich lasach Anatolii, budując koleje tureckie, uprawiając tytoń i oddając usługi dyplomatyczne Hiszpanii. W r. 1863 służył pod Miłkowskim, w r. 1883 osiadł stale we Lwowie. Poezye jego ukazywały się w druku od r. 1855; osobno wyszły: *Ognisty Lew*, powieść czerkieska (1857), *Sen w Balkanach* (1877), *Noc strzelców w Anatolii* (1877), *Deli Petko* (1875). Z dramatów *Malek* (1884) obiegił wszystkie sceny Ga-

licy i Poznańskiego, *Oblężenie Lwowa i Eryk XIV* mniejsze wywołały już wrażenie. Wydał też *Wspomnienia z r. 1848* (1892), *Wzdłuż Eufratu* (Wędrowiec, 1895).

Wojciech hr. Dzieduszycki, urodzony w Jezupolu w r. 1845; kształcił się w wiedeńskim Theresianum i na uniwersytecie wiedeńskim. Jako człowiek i jako pisarz wielce w szlachetny z ujmą dla pogłębienia, jasności i siły swej twórczości. Dziennikarz, profesor uniwersytetu lwowskiego i jeden z przewodców polityki konserwatywnej Galicji. Prace literackie umieszczał naprzód w ultra-liberalnym *Kraju* Gumplowicza w Krakowie, obecnie stoi na czele dyametralnie przeciwnego skrzydła. Prace naukowe: a) z dziedziny estetyki: *Ateny* (1877), *Studia estetyczne* (1878—9), *Listy o Włoszech* (1886), *Hist. malarstwa we Włoszech* (1892); b) z dziedziny filozofii i wychowania: *Wykłady o pierwszej filozofii* (1880), *Roztrząsania filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej* (1893), *Listy czytelnika* (1893), *O wiedzy ludzkiej* (1895), *Listy o wychowaniu* (1892); c) z dziedziny archeologiczno-historycznej: *Ikonoostas horodczański* (1887), *Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich* (1887). Powieści i dramaty osnuwa na tle historycznym, filozoficznym i społecznym: *Fantazje* (1871), *Władysław* (1872), *Powieści Wschodu i Zachodu* (1873), *Aurelian* (1879), *Małżeństwo mieszane* (1892), *W Paryżu* (1893), *Święty ptak* (1895); poezye: *Baśń nad baśniami* (1883), *Anioł* (1892); dramaty: *Bolesław II* (1894), *Książę Henryk* (1897). Prócz tego mnóstwo odczytów, rozpraw, tłumaczeń, broszur. Wszystkie te utwory dla literatury minimalne mają znaczenie.

ROZDZIAŁ V.

REAKCYA UCZUCIA. NOWE IDEE SPOŁECZNE. MARYA KONOPNICKA.

Wprowadzenie świeżego czynnika do poezyi. Lud u romantyków a obecnie. *Z przeszłości*. Zejście na ziemię. Charakterystyczne *Czemu*. Kontrasty społeczne. Rozpacz i oskarżenie.

Pogłębienie się poezyi. Od tendencji i zewnętrznych losów do wcielenia się w lud. Liryki i nowele. Zharmonizowanie idei społecznej z czystą sztuką. Rozkwit wszystkich sił duchowych Konopnickiej i skąpanie ich w źródło ludowym. Wysnuć stąd epopei ludowej — stanowiącej uzupełnienie szlacheckiej. Znaczenie kulturowe „*Pana Balcera w Brazylii*“.

Żywot i dzieła.

To, co około r. 1880 powstawało w głębi duszy narodowej, to, czego nie rozumieli pozytywiści, przed czem się cofał [Asnyk — wypowiedziała z niebywałą siłą i śmiałością Marya Konopnicka. I niech to będzie jedną z chwał kobiety polskiej, że kobieta pierwsza odczuła, czego mężczyźni mózgiem sobie nie uświadomili.

Do liry wielkich poetów Konopnicka nawiązała nową strunę: lud — w nowoczesnym, społecznym znaczeniu.

Lud całkiem inny od tego, którym dotychczas dekorowano „świętynię narodową“. Dziesiątki lat minęły były od czasu, gdy postępowi pisarze odtwarzali w powieściach walkę

o prawa człowiecze chłopu. Wówczas kazał Syrokomla dziecku z dworu mówić do *Lalki*:

Ty tego nie wiesz, że my panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,
By pracowali na pany.

A romantyk, namiętnie przywiązany do ziemi rodzinnej,
gorzko jej wyrzucał, iż

...tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
Dla własnych dzieci nie masz chleba!

i wołał:

O! ty ziemio, ty macocho gminu!

Ileż to potępień padało na poetów za te ich słowa. Grunt społeczny wtenczas im nie sprzyjał, natomiast przyjęty się na nim sentymentalne kwiatki poezji Lenartowicza. Dziewczyny wiejskie były figlarne, rozszczebiotane, jako *Wiochny*, „chłopek“ był poczciwy i komiczny, tańczył i śpiewał, jak w sztukach Anczyca, kobiety wpadały w *Zachwycenie*. Lenartowicz, jak każdy prawdziwy poeta, był indywidualny, inni przerobili jego postacie w szablony, w kłamstwa konwencyonalne: do tych kłamstw przybył niebawem cały szereg Janków i Michałków, z których każdy musiał być conajmniej złodziejem lub zapoznanym wynalazcą, aby budzić sympatyę, i one to wraz z figurami Kostrzewskiego reprezentowały... lud.

Literatura tendencyjna, pchając nawet publiczną na morze pracy organicznej, zajmowała się gorliwie losami jej ładunków, zaglądała do głów, kieszeni i serc sterowników i pasażerów z kajut, zapomniała jednak zupełnie zajrzeć pod pokład, gdzie ogorzali, brudni, z muskularnymi dłońmi i zmęczonym wzrokiem pracowali, paliły w kotłach, ładowały towary, odbywały podróż tłumy robocze...

Potrzeba było silnej reakcji przeciw ideałom mieszczańskim najbliższej przeszłości, aby rzucić okiem i na to dno i zdziwić się, i wzburzyć i zapytać: dlaczego?

Owe „dlaczego“ i „czemu“ i „czy“, to rzucanie pytań, co to „strasznie wyrzeka“, a odbywa się „z śmiertelną trwogą i goryczą“, to najcharakterystyczniejszy ton pierwszych *Poezji* Konopnickiej.

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli
Tak jest bezbrzeżna, jako oceany
A taka straszna, jak rozwarte rany?

Jestto sformułowanie pytania czysto nowoczesne. Poetka wychowała się na łąkach mistycznych wielkich wieszczów romantyzmu, piła potem obficie z źródeł pozytywistycznego racjonalizmu i pełna entuzjazmu dla wiedzy nowoczesnej i jej bojowników, pisała swoje płomienne fragmenta *Z przeszłości*, rzucające rękawicę wszystkim wrogom światła. W losach Hypaty, zamordowanej przez pospólstwo Aleksandryi pod przewodztwem mnichów, w losie Wezaliusza, prześladowanego przez św. inkwizycję za studia anatomiczne, i Galileusza, ciskającego prześladowcom swoje: „a przecie się porusza“, usymbolizowała dzieje ducha ludzkiego, walczącego z zasadą powagi i organizacyi konserwatywnej. Poezyi było w tych fragmentach mało, szlachetnej retoryki więcej, śmiałego wlotu myśli najwięcej — myśli tak wysokiej, że zdawało się, iż poetka nie widzi już ziemi. Ale nie, serce jej na ziemi zostało, i wpatrzone w nią dostrzegło, jak niebieski kwiat romantyzmu, jak pochodnie mądrości pozytywistycznej, jak wszystko to pada w proch, w kałużę, zdeptane brutalną stopą nędzy, niesprawiedliwości, pochłonięte przez przepaście, dzielące świat „na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli“...

Wielki, romantyczny „ból istnienia“ i melancholijny mie-

szczański „katzenjammer“ przemienił się w czysto nowoczesne

»Dajcie głos wszystkim krzywdom ziemi!«

Życie przemówiło w całej swej nagości. Obrazy biedy i rozpaczy ludzkiej dostrzegali pisarze i przedtem, i odmalo-
wywali je ze wzruszeniem szczerem, z dążnością głęboko hu-
manitarną. Co Konopnicką od nich odróżnia, to punkt widze-
nia: nie poetycko artystyczny, nie liłościwie filantropijny, lecz
czysto społeczny. Traktuje ona napotykanne obrazy nędzy, po-
niewierki, rozpaczy, nie jako poszczególne indywidualne wy-
padki, lecz jako wyniki i ogniwa walki socjalnej między świa-
tami „pokrzywdzonych i krzywdzicieli“. Przynosi to niejedno-
krotnie ujmę wartości poetyckiej utworu — tem jest cennie-
sze, jako dokument duszy i czasu.

Chłop głodny, wygnany z ojcowizny, idący w świat,
gdzie go poniosą oczy, nieraz figurował w literaturze. Ko-
nopnicka nazywa go pierwsza: „wolnym najmitą“. Kontrast
tych dwóch pojęć akcentuje z naciskiem:

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
Jak w zestawieniu takim urągliwem...

Oczywiście! Przecie ideał demokracji dawnej osiągnięty,
wszak człowiek ten nie jest ani niewolnikiem, ani *glebae ad-*
scriptus, świat postępowy uznał jego godność ludzką, uznał
go „wobec prawa“ równym magnatem i mędrcom; a jednak...

Czegoż on stoi? wszak wolnym jest jak ptacy;
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera;
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera.

Inny obrazek:

Z szopką idzie kilku chłopców wiejskich pod okna
dworu pańskiego kolendować. Drżą z zimna i głodu pod

oknami pałacu — temat oklepany, z którego wydobywano dotąd co najwyżej łzę sentymentalizmu. Konopnicka każe jednak jednemu z chłopców — myśleć.

Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może!

Takich obrazków jest więcej. Autorka rozumie nie tylko nędzę i smutek ludzkiego serca wogóle, lecz nędzę i smutek naszych specjalnie czasów, wyniki organizacji społecznej. Od dawien dawna ludzie się dzielili na uprzywilejowanych i pionki; ostatni z ciał swoich rzucali wał dla sławy pierwszych. Gdy

...na wojnie biją kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle
A najgęściej giną chłopcy...

Żaden jednak wiek nie był tak bezdusznym, egoistycznym i pełnym obłudy, jak nasz. Nad kolebką jego powiewały najpiękniejsze sztandary — spadkobierca on bowiem majestatu ludu; wspaniałej muzyki przyszłości chciano dosłuchiwać się w turkocie maszyn, mających świat przeobrazić, uszczęśliwić. — Co z poszeptu tych sztandarów i postępów nauki i techniki zostało? Oto *»w sobotni wieczór«* robotnik

Od zgrzytającej zębami maszyny
Powstał znużony...
O czym miał mówić? Myśl jego wtłoczona
Pomiędzy koła i śruby i piły
Była tak ciężką, jak jego ramiona,
Co się bezwiednie wzdłuż ciała zwiesiły...

Dobrze przynajmniej, jeśli z tej kuźni, przekuwającej ludzi w automaty, człowiek wychodzi żywym! Z czasem znajdą się jednostki, co się doń zbliżą i powiedzą: bracie! Ale system pracy, zabijając ducha, zabija zarazem ciało. Robota nie jest już owem wyładowywaniem energii fizycznej na szczerem

polu, w obliczu słońca i w aromacie roślinności. *W piwnicznej izbie* suterren wielkomijskich zamyka ona rodziny nędzarzy, a dzieci, ginące w cuchnącej, ciemnej atmosferze, nie idą tuż za matką w krainy „zachwycenia zaziemskiego“... Dla nich raj i piekło leżą znacznie bliżej...

— Na świecie — opowiada matka —

...są tam cuda, dzieciątko moje
Serdeczne a rodzone...
Złociste łany, srebrzyste zdroje
I sady rozkwiecione...

A piekła? Oto *Dym* bije z komina fabryki, jak słup panując dumnie nad okolicą, „tryumfalnie ciskając w około race iskiek“. Biję z ogni, wzniesionych przez kotłowego. Pewnego dnia bucha jednak w niebo razem z odłamami rozwalonego komina — kocioł pękł, rozszarpał sługę swego — kotłowego.

Dawniej szukano i znajdowano pociechę w religii. Jej stróżowie mieli dla głodnych na ciele i duchu otwarte serce i otwarte wrota klasztorne. Dziś szuka schronienia chłopczyzna w okropną noc zimową,

...lecz kościół był zamknięty
Razem z litością i z Bogiem...

I nadaremnie wzdycha poetka:

Ach, gdyby Chrystus tu przebywał z nami,
Wiem, żeby (!) chodził ciemnymi nocami
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy
I tulił u swych ołtarzy...

I nadaremnie miota się poetka między sprzecznymi wiochrami uczuć, raz wołając:

O ludy zbudźcie wy tego Chrystusa
Z marmurowej ciszy!

to w krwawym bólu, widząc sumę zła na świecie, urągając,
że Bóg

...Cafej tej nędzy jest panem!

to opuszczając skrzydła z rezygnacją pełną goryczy:

Nie płaczcie smutni!
Ach, czy wy myślicie,
Że tam wysoko, w tym cichym błękanie
Jęk wasz odbity od gwiazd złotych progu,
Zakłóci spokojność Bogu?
Nie płaczcie smutni...

Każdy gest jest tu rozpaczą, każde słowo ciężkiem oskar-
żeniem.

Dusza więc narodu wstrząśnięta, dusza narodu rozsze-
rzona i bogatsza o potężne uczucie — miłości i solidarności
społecznej.

I gdy Konopnicka je w serca rzuciła — poszła dalej za
swą naturą poetycką. Prawdziwa poetka — daje się często
porwać do wspaniałych zwrotów retorycznych i kobiecych
obrazów sentymentalnych, nie kieruje się jednak doktryną, nie
zamieszkuje w żadnym obozie lub oboziku. Chwilami opa-
nowuje ją nawet wątpliwość co do tego ludu roboczego, któ-
rego jest orędowniczką, i w wspaniałym pod wieloma wzglę-
dami symbolu *Prometeusz i Syzyf* — ów ostatni wyzwolony,
otrzymawszy iskrę, skradzioną bogom, korzysta z niej... by
rzucić na miasto żagiew pożaru... Miłość Konopnicką kieruje,
nie doktryna — i ona to prowadzi ją coraz dalej, do coraz
wznioślejszych szczytów...

Szczytami tymi — głębie własne, złane z głębiami duszy
ludowej.

Po pierwszych pięknych i wielkich słowach rosną u poetki
wielkie piękno i wielkie idee. Rośnie jej koncepcja świata,
Dusza jej marzy i śpiewa i łka i w zachwytyt wpada, a wędruje

też w obce światy, w świat grecki, by stamtąd przynosić nieśmiertelne myśli o godności i wolności człowieka, w świat łatyński, by stamtąd przynosić nieśmiertelne obrazy klasycznego piękna. Potężnieje ta dusza, wzbiera, a to wezbranie nie rozlewa się — lecz nurtuje, w głąb idzie... A tam w tę głębię padły już były ważne brylanty uczuć i myśli z innej skarbnicy — ludu własnego.

Poetka weszła była w jego rdzeń niejako — i przestała malować jego losy, ujmować go z wierzchu, by wyrażać jego istotę; przestała rzucać tezy, by dawać uczucia; przestała grzmieć retoryką książkową, by przemawiać językiem jędrnym a sędziwym i prostym powagą piastowską, jak sam ten lud. Konopnicka stanowi też drugi etap w rozwoju duszy narodowej: jak pierwsza przebiła skorupę wierzchnią ludu, tak pierwsza dostaje się do jego duszy, by się w nią wcielać...

Czego nie było od Lenartowicza, czego nie zdołał dokonać Asnyk — to widzimy w Konopnickiej; już nie o ludzie, jak w pierwszej fazie, lecz z ludem i z ludu śpiewa.

Kieruje nią zawsze jedna i tasama miłość. Z areny zapasów filozoficznych, z objęć sztuki i wykwintu kultury wyrywa się i woła:

O, gdyby nie wy, proste, wierne dusze,
Com was znalazła, jak się skarb znajduje,
Cobym robiła w świata zawierusze...
Gdy o was myślę, to się sercem kruszę,
I wielkim ludzi kochaniem przejmuję
I wiem już, za czem odwrócę tu głowę
Odchodząc w kraje ciche i zmierzchowe...

Wyśpiewuje też „na fujarce“ szereg pieśni, pełnych melodyi i żalu, pełnych szczerości i prostoty, a echo jej, odbijają gaje, lasy, dąbrowy. Śpiewa dolę — niedolę tego ludu, śpiewa jego tęsknoty i bole, wyplakuje z nim skargi na głód, krzywdy, sieroctwo, wyplakuje z nim skargi, gdy wraża dłoń

niemiecka wypiera go z ziemi ojczystej. Szybuję przytem zawsze wśród najwyższych cyplów i wybrańców ludzkości; siła jej skrzydeł zawsze potężna — pruje ciągle chmury ciemne, — ani na chwilę nie przestaje się zaliczać do walczących; z Mojżeszem będzie więc z Panem mówić, z Hussem na stos wstępować, z żyryndystami na szafot, z Grottgerem — wydierać miecz krwawy duchów wojny — z największą atoli miłością i sercem najbardziej pełnym będzie wracać do ludu.

I gdy wcieli się zupełnie w jego duszę, wysnuje z idei przewodnich swego życia dumne pragnienie, by narodowi polskiemu po epepei szlacheckiej, jaką jest *Pan Tadeusz* dać epopcję ludową. Tak powstał *Pan Balcer w Brazylii*.

Stoi on jako wielkie dzieło w literaturze, ale także, jako słup graniczny w kulturze narodu. Oznacza, że naród przestał być szlacheckim i wzniosł się też ponad ducha mieszczańskiego; wzbogaca Panteon narodowy — ludem...

Marya z Wasiutyńskich Konopnicka urodz. 1846 roku w Sieniątkach. Wcześniej skazana na własne siły, przybyła w latach siedemdziesiątych do Warszawy i w czasopismach od r. 1876 zaczęła ogłaszać poezję; pisała potem nowele, redagowała czasopismo dla kobiet *Świt*, pisała i pisze mnóstwo sprawozdań z życia bieżącego, sztuki i literatury. Osobno wydała wierszem: *Fragmenty dramatyczne* (1880), *Poezje* (4 t. 1881, 1883, 1887, 1896), *Linie i dźwięki* (97), *Damnaia* (1900), *Italia* (1901); mnóstwo wspaniałych jej utworów spoczywa dotąd w czasopismach, między innymi główne jej dzieło *Pan Balcer w Brazylii* (Bibl. Warsz. od 1892, dotąd niedok.); wrażenia i nowele: *Wrażenia z podróży*, *Cztery nowelle*, *Po drodze*, *Moi znajomi*, *Nowele*, *Ludzie i rzeczy*; rozprawy: *O odzie do młodości*; *Mickiewicz, życie jego i duch* (praca uwieczniona). Z roku *Mickiewiczowskiego*; ponadto mnóstwo tłumaczeń z Heinego, Vrchlickiego, Ady Negri (*Burze — Niedola*, 1901), Rostanda etc. W r. 1890 opuściła Warszawę i odtąd prowadzi życie tułaczę, głównie w Monachium, we Francji i Włoszech. Zachowuje jednak ścisłą łączność duchową z krajem i gorącym słowem i wzniosłą myślą dokumentuje swój udział we wszystkich postępowych i demokratycznych jego ruchach.

Talent Konopnickiej odrazu zabłysnął, jako niepospolity i olśniewający

zarówno myślą, jak i formą, z tem wszystkim przebył znużoną i długą drogę rozwoju — doskonalenia się. W pierwszej fazie twórczości K. ulegała silnie wpływowi Słowackiego, przejmując od niego nie nastrój ideowy, szczególnie z ostatnich czasów — nic naturze jej nie jest bardziej obcem, jak mistycyzm, — lecz formę skrzącą, frazeologię, typową. Wpływ ten czuć jeszcze w ostatnich utworach poetki (»*Pan Balcer*«), ale w pierwszych występuje z uległością dla mistrza wprost ślepą, potem osłabia się i łączy z wpływem Mickiewicza, Lenartowicza i innych. Najwięcej wszelako zawdzięcza poetka ludowi, z którym się serdecznie zżyła. W tem swoim uleganiu językowi ludowemu z początku posuwała się zadaleko; groziło jej też zmanierzowanie, widoczne w inwokacjach i zdrobnieniach, przepelniających najpiękniejsze nieraz liryki. W ostatnich czasach wpłynęły na formę poetki dwa czynniki potężne: obcowanie z duchem i naturą klasyczną oraz z biblią. Jak Cycero — w jednym z najpiękniejszych wierszy z cyklu *Italia* —

Wodząc lekką dłońią po etruskiej wazie
Uczył się jej okrągłość zamykać w wyrazie,

tak Konopnicka wśród cudów przyrody i arcydzieł klasycznych nabrała plastyki i jedności obrazów, nabrała bogactwa tonów i harmonii; stary zaś testament dał jej majestatyczny patos i grozę (*Mojżesz, Z mojej biblii*) — jakich w okresie niespokojnego szarpania się i zapasów retorycznych nie posiadała.

Te walki o język nie są sprawą formy, lecz całej jej organizacji poetyckiej. Obdarzona ogromną wrażliwością intelektualną — z początku jednostronną okazywała wrażliwość artystyczną. Talent jej wydawał się więcej akustycznym, niż optycznym: nie widziały tych barw i kształtów, którymi operowała, lecz dawała się porywać fali słów muzycznych, choć niezawsze trafnych, niezawsze potrzebnych; jeden dźwięk pociągał za sobą drugi, wpadając ostatecznie w grzmiącą lub rozpląkaną a zawsze obfitą retorykę.

Z czasem wtopienie się w duszę ludu, przejście groźną powagą starożytności do czasu, do piękna przyrody i sztuki Italii wzmogły jej dar bezpośredniego, żywego odczuwania, i rozszerzając duszę — dały jej zarazem dwa najcenniejsze dary artystyczne: prostotę i plastykę. Poetka nie posługuje się już doktrynerską rozprawą, lecz krótkimi obrazami, mającymi silniejszą wymowę niż najgłośniejsze wybuchy retoryczne:

Świat zawojował wielki król
I pchnął go stopą w pysze,

A imię jego sławy dłoń
Na czole gwiazdy pisze.
.....
Lecz przyszedł Łazarz: ten miał kość
Wydartą psu do jada,
I palcem wskazał imię to,
I gwiazda z nieba spadła.

Nie zamilkły pełne czaru muzycznego dźwięki — nabrały tylko mocy spżowej i jak spż wypukłymi rysują się przed nami obrazami. Mieniają się w *Italii* ogromną gamą wrażeń, myśli, uczuć, najpełniejsze znajdujących wcielenie w formę; »dech potęgi nadświatowej«, bijący z fresków Michała Anioła i harmonia klasyczna, owiewająca w willi Cycerona; swawolny, rozkoszą wabiący fryz pompejański: *prace Amora*, i roziskrzony tęczami zachód w Fiesole — wszystkie te najróżnorodniejsze przejawy piękna nieśmiertelnego znalazły doskonały, szlachetny, najściślej z treścią zlewający się wyraz. A i tutaj wśród blasków, rzucających się na duszę luną słoneczną, poetka nie zapomina, że

z krajów idę, kędy na dnie progu
Świt we łzach cały wyprasza się Bogu...

Opanowawszy po mistrzowsku formę, wchłonałszy w siebie wprzódy duszę swego ludu — wyższa nad tendencje chwili a pełna bólu z powodu jego doli — niedoli, przystąpiła Konopnicka do pracy nad głównym dziełem żywota swego, jakim jest *Pan Balcer w Brazylii*.

Szkoda tylko, po stokroć szkoda, że postanowiwszy napisać epopeję ludu polskiego, wyrwała go z jego naturalnego środowiska — z ziemi polskiej. Traci jej dzieło cały ten bezmiar uroków, chwytających za serce, podbijających na zawsze, które idą z ziemi rodzinnej, traci monumentalność i typowość, jaką miałoby, uchwyciwszy lud w stosunku do macierzy jego i głównej namiętności, do zagonu czarnego.

Mniejsza o teoretyczne wymagania »klasycznej« epopei — literatura światowa zna epopeje,¹ rozgrywające się nie na ziemi rodzzonej bohaterów. Ale Tasso, lub Kamoëns malując nam swoje przygody na tle obcem, czy egzotycznym, są zgodni z historją i oddają prawdę typową. Żywot zaś i duch ludu polskiego, jak dziecięcia nienarodzonego, najściślej jest związany z łonem tem bolesnem, jakim jest jego rola...

Oderwała go stąd Konopnicka — czyżby korząc się przed tymi nieprześcignionymi obrazami, jakimi przepoił swoją epopeję Mickiewicz? Ależ tu właśnie chodziło o przeciwstawienie jej — ludowej...

Stało się — i trzeba być wdzięcznym duchowi twórczemu za to, co w *Panu Balcerze* dał, tembardziej, że pokąd całość nieukończona, nie można wiedzieć, żali się z jej bohaterami nie spotkamy jeszcze w kraju rodzinnym, i że to, co już dała, wznosi się do najwyższych natchnień sztuki.

Dała więc — przedewszystkiem obraz wspaniałej w swem bogactwie duszy poetki. Z dwóch strun złożona w chwili pierwszych występów, obecnie dźwięczy wszystkimi tonami, jakie z harf wydobywają wielcy mistrzowie. Płynie z niej łza i śmiech, płynie siła, zaklinająca ziemię i morza, ludzi i ludy w obrazy plastyczne, i muzyka, przenosząca duszę w zaświaty wieczystej tęsknoty...

Od chwili, gdy pan Balcer »na pewnych nogach i szeroko w kroku« staje wraz z tłumem podlasiaków i innych swojaków na podkładzie okrętu, pełen otuchy i wiary w ziemię obiecaną — do chwili, gdy gromada ta zdzięsiątkowana, wyniszczona głodem, chorobą, męką, rozpaczą, przebija się przez Kordyliery napowrót do domu, jesteśmy świadkami jednego wielkiego aktu martyrologii. Ciało i dusza wychodźców — i nasze, jednakowo rozpięte na torturach. A tortury te mają za tło morze — i upalną, duszącą swym przepychem ziemię egzotyczną, i tęsknotę niewymowną za tem, co się straciło...

Wystarczy porównać pierwsze pieśni poematu Konopnickiej z prześlicznym opowiadaniem Amicisa: *Na oceanie*, by odrazu pochwycić różnicę między arcydziełem narratorskim Włocha a epopeją polską. Przedewszystkiem budowa. Oktawy, w których Konopnicka poemat napisała, to królewska dla treści oprawa; wspaniałe a szerokie, dźwięczne a majestatyczne, zwykle w dwóch wierszach kondensujące myśl sześciu poprzednich — wiersze w jej rękach stały się najpowolniejszym narzędziem. I wyśpiewuje ona na niem nędze i cuda obcych światów, ale gdy Amicis jest nawskróś Włochem, to poemat Konopnickiej jest w każdym calu polskim.

Zdobyła się autorka na plastykę, mającą stanąć obok najprzedniejszych opisów literatury świata (burza, połów rekina, las dziewiczy), na tragedye, które swą siłą i zwięzłością (śmierć Hanki) niezatarte sprawiają wrażenie; galeryja jej postaci odślania nam dusze przedstawicieli ludu polskiego do dna: bawi się on, kłóci, umiera i chrzci — zawsze po swojemu: jaką barwność i żywość wydobywa poetka z obrazu bitwy, którą on stacza z murzynami, jak wiernie a wspaniale maluje jego naturę, gdy wzruszonym, zropaczonym, zwyciężkim chłopom każe pędzić z żagwią zemsty w oczach na miasto kolonizatorów-tupieżców i tam nagle paść! w proch przed wychodzącym naprzeciw procesjonalnie księdzem; ile łez wyciska obrazami strasznej pielgrzymki wychodźców — jaką podniosłość wlewa w śmierć Nestora gromady — Horodzieja...

Pierwszorzędnej, to — niezapomnianej piękności szczegóły, które same już wystarczą do zapewnienia dziełu trwałego stanowiska w literaturze. Oderwana od ziemi, nie wielkie odślaniając dusze — epopeja ta staje w po-

środku dwóch pokoleń: między tym ludem, który umiał cierpieć, wierzyć, zaś ślepy instynktem iść w świat i ginąć, a tym ludem uświadomionym, czerpiącym od narodu i światła moc i misję dziejową, jaki się obecnie wytwarza. Genialnym piórem odtworzyła pierwszy, ginący, i może lepiej, że go przeniosła na obczyznę; widok jego konania w domu byłby zbyt rozzdzierający. Wzbogaciła naród pomnikiem, od którego bije smutek bezbrzeżny, ale i piękno; dzieło, w którym go dokończy, będzie dla literatury świętem.

ROZDZIAŁ VI.

SZTUKA W ŻYCIU CODZIENNEM. TEATR.

Literatura życia codziennego, jako surogat sztuki. Warstwy, obce wielkiej sztuce. Surogat ten na scenie. Teatr w r. 1880 w Warszawie, Krakowie i Lwowie. W Warszawie wielcy artyści bez wielkiego repertuaru. Teatr w Krakowie za dyrekcji Koźmiana. Niższość kultury teatralnej we Lwowie. — Upadek poezji na scenie. Twórczość Fel. Faleńskiego. *Althea* Faleńskiego a *Meleager* Wyspiańskiego. — W. Rapacki, siła temperamentu w parze z teatralnością. — Jul. Łętowski.

Górowanie sztuk lekkich: operetki i farsy za wzorem francuskim. Fredro-syn, Abrahamowicz, Bałucki. Komedia salonowa. Mellerowa, Koziebrodzki.

Prawdziwy charakter sztuki wieku. Zdanie Wł. Bogusławskiego. Komedia społeczno-obyczajowa. Augier, Sardou, Dumas na naszym gruncie. Przeobrażenie się sceny. — Przedstawiciel sztuki szlacheckiej: Józ. Bliżynski. Charakterystyka. Bliżynski, jako stojący między dwiema epokami bytu szlacheckiego. Życie bez złudzeń, sztuka szarej rzeczywistości. Pogłębienie jej plastyką charakterów. Zdrowy śmiech. — Edw. Lubowski: ubóstwo pomysłów, niski poziom uczuć, mętność myśli. — Zyg. Sarniecki. — D. Zgliński. Przeciw zdrożnościom tiers-etatu. — Typowy pisarz okresu: Kaz. Zalewski. Jego popularność i znaczenie. Brak poezji i podniosłości. Teren jego: bilans okresu pozytywistycznego. Postępowo-konserwatywne wyjście z walki tradycyji szlacheckich z demokracją pracy. *Friebe*. Trylogia: *Nasi zięciowie*. Zmienność poglądów. Sprzeczność między zasadami a życiem. Niezdolność Zalewskiego do odtwarzania atmosfery czystej, ludzi czystych, światopoglądu czystego.

Żywoty i dzieła.

Poza sztuką, odbijającą wybitne indywidualności, perspektywy metafizyczne, lub aspiracje czasu, żyła i żyje zawsze sztuka o znacznie skromniejszej sile, swobodna sztuka, jako służebnica życia codziennego, piekąca chleb konieczny dla szerokich warstw publiczności, a jak w ostatnich czasach — fabrykującą ten chleb maszynowo, a także cukierki i paprykarz. Książka stała się dziś nie przywilejem, jak ongi, lecz prawem, potrzebą demokratyzującego się społeczeństwa. Poza jednostkami o wyższym nastroju duchowym, które spotykamy w każdej warstwie społecznej i które żądają dzieł natchnienia, mnożą się czytelnicy o innych zupełnie typowych żądaniach. Ze wzrostem miast wielkich rośnie klasa ludzi o kosmopolitycznych manierach i gustach, ludzi zamożnych lub żyjących na większą stopę, nerwowych, mniej lub więcej wyrafinowanych, skorych do używania i nadużywania, obracających także sztukę, literaturę, a w niej powieść, specjalnie zaś teatr, w narzędzie zabawy, drażnienia wiecznie spragnionych emocyj nerwów, lub przynajmniej — „zabijania czasu“. W tych rodzajach mistrzami od wieków są Francuzi — powieść i scena francuska zachowały też potąd znaczenie międzynarodowego wzoru elegancyi i pikanteryi, *amusement'u*; wraz z fasonami sukien i kapeluszy Paryż dostarcza regularnie lektury i dzieł scenicznych — najczęściej trwałych i wartościowych, jak owe mody krawieckie. Obok tej klasy inteligentów wszelkiego rodzaju mamy w miastach i miasteczkach ludzi pół i ćwierć inteligentnych, którzy mody biorą z drugiej ręki, spóźnione, nie od mistrzów, którzy wyrabiają je z pewnem nabożeństwem i kunsztem artystycznym, lecz od fabrykantów, produkujących towar szybko, lichy, ale tani, hurtowny, mający swoją banalną elegancyę. Dzieł wielkiego artyzmu nie żąda ostatecznie konserwatywna, pragnąca przedewszystkiem tradycyjnej gawędy i facecyi wieś.

I tak z wielu stron dla wielu stron szerzy się sztuka życia codziennego, często sztuczka, często sztukowanie najrozmaitszych pierwiastków — bez indywidualności, bez wzru-

szeń głębszych, bez widnokręgów szerszych, surogat zastępujący w czasie upadku artyzm prawdziwy.

Sztuka ta z początkiem lat ośmdziesiątych, gdy żadna wybitna jednostka ni idea nie panują, dominujące zajmuje stanowisko.

Panuje prawie niepodzielnie w teatrze.

Teatry wielkie w Warszawie, Krakowie, Lwowie rozwijały się w bardzo nierównych warunkach, zaznaczają się też między nimi głębokie różnice indywidualne — dużo jednak rysów mają wspólnych. Dzielą je repertuar, artyści i publiczność. Sceny galicyjskie mają repertuar szerszy, ale bez talentów twórczych; przez długie lata nie powstaje tu ani jeden pisarz, ani jedno dzieło sceniczne prawdziwej wielkości. Warszawa ma publiczność najliczniejszą, najwięcej europejską, wyrafinowaną, Lwów ma publiczność, która długo chodziła do teatru niemieckiego i w znacznej części jest urzędnicza, żydowska i małomieszczańska; krakowska — najmniej jest liczna, lecz ma prawie nieprzerwaną tradycję i kulturę polską. Warszawa jest w teatrze rozkochana, ale nie mając wielkich autorów, choć mogłaby mieć wielkie dzieła, przynosi swą ciekawość, gorączkę, interes cały na kwestye podrzędne, na aktorów, kostyумы, sprawy zakulisowe; Lwów lubuje się w gorącym frazesie i w operetce, Krakowowi losy oszczędziły operetki, tu wielka sztuka na najżyźniejszy jeszcze pada grunt. Zresztą żadne z tych miast nie jest tak wielkie, w żadnym publiczność nie jest na tyle zróżniczkowaną, by mogło istnieć kilka teatrów, uprawiających po jednym rodzaju sztuki; wszędzie musi dyrektor uwzględnić, że — jak mówi Astof z *Odludków* — „ten prawdę, tamten dowcip, ten koziołki lubi“, wszędzie istnieją też obok siebie dramat i farsa, koturnowa tragedia i charakterystyczna sztuka ludowa.

Dzieje się to nawet w Warszawie, gdzie jest kilka teatrów. Wszystkie około r. 1880 niezbyt wesoły przedstawiają widok. Wł. Bogusławski, wyjątkowy znawca i surowy krytyk,

który właśnie ustąpił był z reżyseryi Teatru Wielkiego, pisał o tym teatrze: „Jest coś zbutwiałego w tem państwie“. „Zatył się w zarozumiałości“, porównywując się i porównywany z największemi scenami europejskimi, którym dorównywał pod względem sił aktorskich, stanowiących w owym czasie nienapotykany później firmament gwiazd; nie dorównywał im jednak w treści. Ze sceny niedawno ustąpiła była Modrzejewska, Popiel-Święcka, grywała Bakałowiczowa, Lüdowa, Derynżanka, grywali Królikowski, Rychter, Żółkowski, Tatariewicz, Rapacki, Leszczyński — grywali po największej części w rolach, niegodnych ich talentów. Repertuar najczęściej przystosowywano do kilku wielkich „ról“, i to głównie z dzieł obcych; z wielkich romantyków swojskich jeden tylko *Mazepa* „przez J. S.“ figurował...

Piękne czasy miał wtenczas teatr krakowski, pod dyrekcją St. Koźmiana. Siła jego leżała nie tyle w „gwiazdach“, ile w *ensemble'u* i repertuarze. Repertuar był rozległy, obejmował Arystofanesa i Zabłockiego, Szekspira i Felińskiego, nadto zapisał się wprowadzeniem na scenę dzieł Słowackiego; nie sprzyjał ni czas, ni *Czas* tym utworom Juliusza, które dopiero w dwadzieścia lat później miały entuzjazmować generację, ożywił jednak życiem scenicznem *Balladyne*, *Lillę Wenedę*, *Maryę Stuart*, *Beatrice Cenci*, *Niepoprawnych*, *Horsztyńskiego*, ożywił fragmentarycznych a tak potężnych *Konfederatów* Mickiewicza. Widowiska takie były atoli rzadkością, wielka twórczość w małym czasie nie mogła kwitnąć, prosperowała zato sztuka codzienności...

Tosamo we Lwowie — tylko o kilka skal niżej, tylko wśród większego chaosu, tylko w trwałym sojuszu z operetką i wzniosłą w swej naiwności tyradą pseudo-romantyczną. Od r. 1883—1890 teatr przechodzi jak piłka z ręki do ręki, a tylko w trzechleciu 1883—1886 za dyrekcji Jana Dobrzańskiego ma stałszy kierunek, i to głównie administracyjny, nie artystyczny.

Poza temi różnicami indywidualnemi mają wszystkie teatry

więcej cech wspólnych, charakter ogólny jednolity, nastrój duchowy publiczności, świadczący o panowaniu pewnego kierunku, pewnego prądu duchowego. Udziela on się oczywiście przeważnej części autorów, nie wznoszących się ponad swą publiczność, warunkuje rodzaj produkcji literackiej.

Więc ginie dla sceny wielka poezya. Poezja w romantycznym znaczeniu słowa, poezja, jako fantazja, jako namiętność, jako indywidualność, stojąca ponad dniem, jako mowa wzniosła i rymowana. Smak publiczności od niej się odwrócił. Ma częściowe powodzenie w Krakowie Słowacki, miałyby je w Warszawie, małe ma we Lwowie — jednakowoż zaledwie drobna garstka przeczuwa, czem jest to otchłanne serce, pełne burz i tęsknot, z którego wytrysnęły też najwspanialsze dramaty polskie. Jeżeli na scenach utrzymały się wielkie dzieła romantyczne, to dla „ról“ popisowych, jako tło dla „gwiazd“. O wydobyciu z ukrycia innych dzieł romantycznej poezji dramatycznej nie myślano. Wielcy zmarli byli więc podwójnie zmarłymi, z żyjących niewielu się wznosiło nad polot słuchaczy. Oklaskiwali w Krakowie Szujskiego — przyjaciele, miał we Lwowie chwile tryumfu Brzozowski, ale krótkie, ale dzięki gorącemu kolorystowi i jeszcze gorętszemu frazesowi. Dzieła wielkiej fantazji i uczucia się nie pojawiły. W Warszawie toczył swe dramata Felicyan Faleński, poeta prawdziwy, nie oryginalny, lecz dobrze odczuwający i odtwarzający innych, wpatrzony nie w głąb własnej duszy, lecz w wielkie wzory tragików greckich, Kalderona, Szekspira, Wiktora Hugo, mający wielki ich gest tragiczny, wielkie słowo, choć zazwyczaj mało uczucia. Więcej inteligencją, niż natchnieniem pisał swe dzieła, w których niema ludzi na miarę krawca, są jednak olbrzymi, niema prawdy realnej, są błyski uczuć i myśli wiecznotrwałych, niema poprawnej budowy, są sceny wielkiej piękności, niema języka indywidualnego bohaterów, jest forma poetyczna, najczęściej wytworna, cyzelowana, język pełen melodyj, gromów, obrazów. Faleński pozostał szerszej publiczności nieznanym.

Pt. *Althea* ujął w dramat grecki podanie o Meleagrze — w stylu i przeważnie w duchu tymsamym, w którym później napisał swą tragedję Wyspiański; gdy *Meleager* Wyspiańskiego w czasie sprzyjającym poezji został zaraz po ukazaniu się w wydaniu książkowem rozchwytyany, dzieło Faleńskiego spoczęło w roczniku *Bluszczu*. Utwory dramatyczne Faleńskiego cieszyły się platonicznem uznaniem kilku filologów i znawców — scenie pozostały obcemi.

Powodzenie sceniczne znaczne miał przez pewien czas jeden pisarz o manierze romantyków francuskich — Wincenty Rapacki, umysł szeroki, podejmujący zawsze wielkie idee kulturowe, temperament silny, rozmiłowany w potężnych konfliktach, ale powodzenie to zawdzięczał głównie naczelnj zalecie swojej, która rychło przemieniła się w wadę naczelną: zbytniej teatralności... W latach ośmdziesiątych twórczość jego była już wyczerpaną.

Polot poetycki i siłę uczucia okazał w pierwszym swym występie (1880) Julian Łętowski. Jego *Israel na puszczy* jest przesiąknięty reminiscencyami wszystkich wielkich dramaturgów — ma jednak nerw własny: wielki patos myśli i namiętności. Wśród antytez grozy i idyli, wśród młodzieńczych deklamacyj, huczy tu wielka siła, karząca lud za łączenie się z Moabitkami, druzgocząca uczucia indywidualne, by żyły narodowe.

Początek lat ośmdziesiątych poezji nie hołdował. Zajęte dorobkiem materyalnym i tylko pozytywnymi kwestyami pokolenie, szukało w sztuce poparcia swoich interesów lub przyjemności.

Pozbawieni wielkich aspiracyj, ideałów, ludzie pracy w chwili wythnienienia przedewszystkiem bawią się i używają. Więc kwitnie wesołość, dobry humor, chęć do śmiechu, choćby taniego, choćby trywialnego. W dziedzinie muzyki panoszy się coraz natrętniej operetka, przytłaczając muzykę głębszą, operową; w sztuce dramatycznej — farsa, krotchwila. Prym

wodzą francuzi, niezrównani w kunszcie nawiązania zajmującej intrzygi, w dowcipnym, skrzącym się dyalogu, w nieoczekiwanych, zajmujących sytuacjach; Meilhac i Halevy, Labiche, Bisson celują w tych sztuczках, zachowując jeszcze zdrowy sens, współzawodnicy ich i następcy dla dowcipu, dla awantury zatracają coraz bardziej sens, i — wstyd. Swojscy dostawcy śmiechu rzadko dorównują Francuzom; są więcej przyzwoici a mniej dowcipni, mają sens ale też grubą rubasznosc; zresztą w ostatnich czasach pozbywają się coraz częściej i przyzwoitości i sensu — nie nabywając przez to jeszcze ani dowcipu, ani elegancyi. Dekadencję tę widać w małym synu wielkiego ojca Janie Aleks. Fredrze; szereg jego wierszy i jednoaktówek krążył długo w odpisach, bo i pawian w druku by ich nie ścierpiał; te, które ukazały się na scenie i w wydaniach książkowych, mają w miejsce dawnego dowcipu, pachnącego jeszcze salonami z XVIII wieku, tudzież humoru rdzennie szlacheckiego — dowcip koszarowy, huzarski, humor lwowski, z kasyn i „bajzłów“; zawsze przytem naciągane sytuacje, płytkie uczucia, zupełną bezmyślność. Autor pragnął dwa razy zabawić się także w moralizatora, obrońcę swojej pocziwości przed *obcymi żywiołami*, ale tu jak i w pseudo-komedyi ideowej: *Wielkie bractwo* okazał się naiwnym i nudnym. W ślady jego idzie coraz więcej pisarzy. Dowcipny, ale nieudolny technik Adolf Abrahamowicz łączy się z aktorami, nasamprzód z Lucyanem Kwiecińskim, potem z Ryszardem Ruszkowskim; ostatni zaczyna niebawem pisać na własną rękę, rzuca szereg jednoaktówek, kilkoaktówek, wesołych w pomyśle, żywych, skaczących w sytuacjach, bez krzty prawdy, tem łatwiejszych do strawienia; budzą śmiech, zapełniają szczególnie we Lwowie szczelniej i częściej teatr, niż arcydzieła.

Śmiech huczny, zawsze rubasznym budzi swemi sztukami Bałucki.

Najsłabiej rozwija się komedia salonowa. Do niej po-

trzeba przedewszystkiem salonów, kultury, wytwornego towarzystwa, mieszczaństwa bogatego, ogładzonego — a ta sfera jest u nas młoda, bardzo niewyrobiona, bardzo mięszana. W salonach, ale też i w pałacach i dworach ma swój świat Zofia Mellerowa, która po kilku sztukach mało zajmujących w *Fałszywych blaskach* zdobyła się — obok morałów — na akcję sprężystą, na dowcip żywy, na sytuacje nie nowe, ale dobrze wyzyskane, a w *Straduję* na jeszcze jedną, ale piękną i słuszną apoteozę złotego serca szlacheckiego; tak samo obraca się w salonach Wł. Koziebrodzki, biorąc z nich treść do wesołych jednoaktówek, o błahym pomysle a żywym, lekkim dowcipie, który umie być też rubasznym i karykaturalnym; talent salonowy, dobry dla teatryków amatorskich, spróbowałszy sił w sztuce poważnej (*Nauczycielka*), okazał się niezdolnym do pogłębienia charakterów i akcji prawdziwie dramatycznej,

Dorobek nieduży, mniejszy niż popyt, niż potrzeba; sceny żywią się też głównie tłumaczeniami. A co robi większość scenicznych autorów swojskich?

Trafnie charakteryzuje scenę ówczesną Wł. Bogusławski, pisząc:

„W czasach panowania przeciętności z natury rzeczy wytwarza się i w teatrze przeciętny repertuar, oparty nie na harmonijnej kombinacji różnorodnych form twórczości dramatycznej, ale na przetopieniu ich w jedną formę, odpowiednią smakowi średnio rozwiniętego widza. Tą formą jest komedia społeczna. Panująca w sztuce filozofia realno-uitylitarna wyrobiła jej prawo obywatelstwa, wskazując scenie, jako cel główny kopiowanie życia. Kopiuje więc życie komedia społeczna, w której, jak w życiu wszystkiego znajdzie się potroszę: i śmiechu i łez — i dramatu i farsy. Publiczność zaś nie potrzebuje się nastrajać do tragicznego patosu, ani sromać się swawolnej wesołości, znajdując na scenie odbicie tej przyzwoitej rzeczywistości, która stanowi tło życia średnich warstw

towarzyskich, dostarczających prawie wyłącznie bohaterów nowoczesnej literaturze dramatycznej“.

Charakterystyczną dla lat osmdziesiątych formą sztuki teatralnej jest komedia społeczna z „filozofią“ realno-uitylitarną.

Idziemy w ślad za całym zachodem, szczególnie za przodującą mu Francją. Augier, Dumas-syn, Sardou usunęli byli starych romantyków i komedię salonową Scibe'a i wywalczyli teatrowi prawo do realizmu — nieprzekraczającego jednakowoż sfer „dobrego towarzystwa“, no, i półświatka! — oraz prawo do tezy, przejętej głęboką powagą społeczną u Augiera, moralizatorską, szczególnie na punkcie rehabilitacji odtrąconych od społeczeństwa jednostek u Dumasa, pamfleciarską, kabotyńską u Sardoua. Komedia-to społeczna, której i u nas podkładem życiowym — wytworzenie się nowej klasy. Najważniejszymi dla niej kwestyami: pieniądź, dorobek, geszeft; potem moralna strona: korzystanie z tych pieniędzy, nadużycia; potem społeczna: stosunek nowej klasy, mieszczańskiej do starej arystokracji rodowej i szlachty, walka o stanowisko; nareszcie komplikacja tych stosunków przez istniejące na naszym gruncie antagonizmy narodowe i religijne...

Scena przybiera też nowy charakter. Przemienia się w izbę giełdową, w kantor kupiecki, w kancelaryę adwokacką; piękne panie szepcą słowa miłosne, ale także cyfry, wyrazy ze słownika technicznego, prawniczego, politycznego, i jeszcze raz cyfry; mężczyźni rzadko walczą na serca, na dowcipy, na galanteryę, akcja ich życia toczy się około spadków, bilansów, wyborów do ciał politycznych, do dyrekcji finansowych, do rad nadzorczych; fatum nie przedstawia się w postaci „winy“ — lecz długu, bliskiego lub przebytego bankructwa, udałej lub nieudanej spekulacji, nareszcie w postaci nosa semickiego, herbu szlacheckiego, tradycyi senatorskiej i beztradycyjności. Jesteśmy w świecie bez bohaterów w dawnym znaczeniu słowa, w świecie trochę brudnym, trochę kosmopolitycznym, którego poezją pieniądź, ideałem — stanowisko, rozkoszą — używanie

per fas et nefas, duszą — interes, w świecie plutokratyczno-talmi-arystokratycznym powstającej burżuazji.

Opierał się temu światu, jak mógł Józef Bliziński. Około r. 1850 byby pisał wspaniałe sztuki kontuszowe — obecnie nawet on, najbardziej szlachecki ze wszystkich ówczesnych naszych pisarzy, żadnego kontusza na scenę nie wprowadza. Dawniej byby gawędził, jak Sopllica, może apoteozował szlachtę, skorą do wypitki i wybitki, w smutnym czasie wyrzeka się wszelkiej dalej sięgającej idei, poddaje się szarej doli przeciętności, staje się wybornym pisarzem scenicznym; ale właśnie przez ów brak wielkiej idei, z ciasną koncepcją świata i człowieka nie może być zaliczony do wielkich.

Dziecię dworu wiejskiego, wychowaniem, zwyczajami, sposobem myślenia należące do dawniejszego pokolenia szlacheckiego, Bliziński zachował wszystkie typowe znamiona swej klasy, między innymi — dobry zmysł spostrzegawczy, owe oko człowieka, przyzwyczajonego obejmować bystrem spojrzeniem duży szmat ziemi, snujących się po nim ludzi, wiszące nad nim niebo. W życiu swoim widział ewolucję, jaka się w naszych stosunkach społecznych dokonała: ciężkie położenie szlachty, wtargnięcie na wieś przeróżnych dorobkiewiczów, walkę ekonomiczną, w której paczą się charaktery, wychodzą na jaw ohydne instynkty, najlepsi nie mogą się oprzeć pokusie, a pracując w pocie czoła, zaniedbują wszystkie pierwiastki idealne, najgorsi zaś i najbrutalniejsi zwyciężają. Przeżył to Bliziński, odczuł — odtwarza... Nie obejmuje więc widnokręgów rozległych, nie sięga w głąb dusz zbyt złożonych, subtelnych, bohaterskich, niema w sobie krzty romantyzmu — bierze to życie zwyczajne, na które patrzył własnymi oczyma i odtwarza je z surową prawdą, bez upiększeń i bez morałów. Raz jeden tylko wlał w swój utwór tchnienie poezyi, raz tylko jeden próbował rzucić na ludzi także nie purpurę bohaterstwa, lecz srebrzysty brask wspomnień idealnych (*Dzika różyczka*) — zwyczajna jego galerya to hreczkosieje w rozlicznych swych

odmianach: więc poczciwy i uczciwy do szpiku kości a dość przytem ograniczony *Damazy*; jak zwier kierowany instynktem, niezgorszy przytem *Marcowy kawaler*, rejenci i oberżyści, literaci i pańskie dziady, lamparty wielkowiejskie i zgniłki arystokratyczne, kobiety-baby, kobiety-samice, kobiety-sekutnice, poczciwe i ścierki, postacie pozbawione podniosłości w dobrem, demoniczności w złem — ot, z życia naszego codziennego. A nie znajdują się one nigdy w sytuacjach zbyt napinających fantazyę, tchnących potęgą myśli, żarem uczucia — obracają się w sferze interesów pieniężnych, testamentów i weskli, kart i pijatyk, nietyle poetycznych miłości, ile prozaicznych swatów, przygotowań do ożenku, planowanych i zrywanych małżeństw — powszednie nasze życie. O intrygę kunsztowną Błiziński dbał mało; trudno o prostsze pomysły, jak *Kawaler Marcowy*, *Mąż od biedy* etc., nie dbał też o „ostatnie słowo“ związanych intryg, dawał wykrawki z życia.

Realizm to prawdziwy — wynik zupełnie realistycznego poglądu na świat. Szlachcic-hreczkosiej był pozbawiony zupełnie zmysłu spekulatywnego a jego filozofia da się sprowadzić do kilku ogólników, popularnych w sferze, z której wyszedł: pracuj a Bóg ci dopomoże, jakoś to będzie, choć bieda to hoc i t. d. Życie — to walka nie szerokich interesów, lecz geszeftów, nie potężnych namiętności, lecz zwierzęcych zachcianek i instynktów, nie idei nieśmiertelnych, lecz ambicij, próżności, głupoty i głupstw. Wyjątki — bardzo rzadkie. Pogląd ten Błizińskiego bardzo w gruncie rzeczy smutny, jak wogóle smutną — z małymi wyjątkami — jest galerya postaci, której szlachta Błizińskiemu dostarczyła. Żaden może pisarz nie wprowadził do literatury tyle okazów zgnilizny, podłości, głupoty szlacheckiej, co ów dobry i niewiele rozumujący szlachcic; ale chociaż to życie idzie po grudzie, i gorzej, on już świata nie zmienia; z siłą zdrowej natury wyrывa się uczuciu narzucającego się smutku i wybucha śmiechem... Naturalista à la

Zola, Becque, lub idealista, przedstawiliby takiego *Marcowego kawalera*, jako bydlę, rejenta z *Damazego*, jako czarny charakter, Szynalską, jako panią Bovary etc., on z nich tylko się śmieje. Bierze życie, „jakim jest“ i wydobywa z niego co może najlepszego: śmiech...

A że czyni to z intuicyjną znajomością natury ludzkiej i pogłębieniem tak gruntownem charakterów, że każdy z nich do dna przed nami jest odsłonięty, a że istotnie jego śmiech jest dobry i zdrowy — uspakaja słabe nerwy: — przeto Bliźnińskiemu bezwarunkowo należy się tytuł klasycznego realisty w komedyi.

Gdy on do dusznej atmosfery idealistycznego świata wpuszcza jeszcze trochę woni z pól i lasów, trochę pogody dobroduszości, gdy przytem od stóp do czuba jest polskim — rozwijają inni współcześni mu pisarze sceniczni konsekwentnie komedję społeczną Francuzów.

Najzdolniejszym był zmarły przedwcześnie Narzymski. W tym kierunku poszedł Edward Lubowski, pisarz o małej fantazyi, jeszcze mniejszym zasobie poezyi, o chwiejnych pod każdym względem ideałach — za to z dużym kapitałem rutyny i darem naśladowczym, nie cofającym się przed częstem naśladowaniem — samego siebie. Stworzywszy po wielu nieudanych próbach scenicznych galeryę *Nietoperzy*, w założeniu nie w sile przypominającą sławną sztukę Sheridana, wraca kilka razy do tego pomysłu i smaga plotkarzy, intrygantów, kalumniatorów, dybiących na cześć i stanowisko bliźniego. W *Żydzie, Frzesądach* poruszał tak ważny w owym okresie stosunek dorabiających się warstw społecznych do rodów historycznych; sam oczywiście jest zwolennikiem „postępu“, wysuwającego na pierwszy plan społeczny nowych ludzi, ale smaga ich chęć wzbogacenia się, wyzyskiwania entuzjazmu ludzi dobrej woli dla celów egoistycznych, niskie namiętności. Ideałem Lubowskiego klasycznym jest Jerzy w *Pogodzonych z losem* (1878). Do atmosfery, pełnej przewrotności i brudu

(Kazimierz Łaniecki wyłudza od stryjecznego brata prawo do spadku, którego kuratorem jest książę — tu sposobność do filipiki przeciw serwilizmowi wobec księcia etc.) — do tej atmosfery Jerzy wpada i dowiedziawszy się przy pomocy czarnego charakteru, (którym jest „dziecko ludu“) o zbrodni Kazimierza, uczy go moralności i wiedzie na drogę poprawy i cnoty — przebaczeniem. Cechy charakterystyczne Jerzego: „siłacz“, „kutwa“ i wygłaszanie za każdym ukazaniem się na scenie: Niech będzie pochwalony! Sztuczna ta dewocja idzie w parze z sztuczną robotą sceniczną, ratującą się w ostatnich czasach sztukowaniem eklektycznego płaszcza swej muzy skrawkami z sztandarów dramaturgii skandynawskiej — nadaremnie. Nie zaślania — próżni.

Konsekwentnie za Augierem szedł Zygmunt Sarnecki. Stając wobec nowych formacyj społecznych, których duszą jest pieniądz, zwraca do niego z nowym sensem stare pytanie: kto go rodzi; sobkowskim aferzystom wytyka nietylko ich niecnoty prywatne, lecz także stosunek do pracujących. Sztuki jego ciężkie są trochę w ruchach, a nie ożywia ich dialog, zamało indywidualny, zamało charakterystyczny, lubo gęsto przeplatany francuszczyzną.

W kole idei powstającego *tiers etatu* przebywa też Daniel Zgliński. Walczy z przesądami, spekulacją i świętoszkostwem, które odtrącają żyda, chcącego zasiadać *u wspólnego stołu*; w losach ludzkich umie uwydatnić większą linię tragiczną, która graniczy o monumentalność w *Jakóbie Warce*. Bohater tej sztuki, to bandyta ekonomiczny w wielkim stylu, połączony i niemiłosierny wódz wyzyskiwaczy — nareszcie mści się i na nim Nemezis, przyprawiając o obłąd syna, rozkochanego w córce jego antagonisty. Nie wznosząc się nad poziom tej sfery społecznie, autor stoi ponad nią moralnie; przemawia charakterami śmiało nakreślonymi, choć jednoliniowymi, daje sytuacje dramatyczne, język barwny, pełen siły.

„Miarodajnym“ pisarzem scenicznym okresu, głośniejszym

szym od wszystkich, grywanym z powodzeniem szalonym tam, gdzie nie miał popularności Słowacki, zaniedbany był Korzeniowski, Chęciński, Narzymski, nieznanym był Okoński, najbardziej wpływowym — Kazimierz Zalewski. Skupia w sobie wszystkie cechy charakterystyczne okresu, ciekawszy też jest, jako dokument — smutny, niż jako artysta. Wartość artystyczna jego utworów dzisiaj już prawie żadna; dobry obserwator szczegółów i szczegółików zewnętrznych — nie jest zdolny do wzniesienia się nad trywialną rzeczywistość; śmiały w poruszaniu drażliwych kwestyj — traktuje je, jako dziennikarz, spekulujący też nieraz na sensację, bez zrozumienia dla kąta widzenia *sub aeterni*; ma dowcipy — nie dowcip, morały — nie pogląd na świat, cały katalog figur, które na scenie ruszają się, mówią — ani jednej duszy ludzkiej, ani jednej postaci, któraby narzuciła się naszej wyobraźni i w literaturze pozostała.

Przez lat kilkanaście próbował Zalewski sił swych w rozmaitych kierunkach dramatycznych. Deklamował tyrady pseudo-postępowe z nieodzowną wówczas apoteozą inżyniera, sięgał po tragizm aż do Rady dziesięciu Wenecji, trafiając swoim zwyczajem — jak wyraził się Chmielowski — do alkowy, pisał komedię historyczną, w której nie było ni komedyi ni historii, i sztuki współczesne — „bomby“, w najlepszym razie mające pomysł ładny (*Przed ślubem*). Dopiero w latach osmdziesiątych dojrzały u nas, specjalnie w Warszawie, stosunki, przygotowane przez posiew pozytywistyczno-organiczny, nadszedł czas zniw i — bilansu.

Zalewski postanowił tedy być polskim Sardou.

Bilans przez niego zrobiony powinien nosić tytuł: *Nasi zięciowie*. Jesteśmy już w drugiej generacji rozwoju okresu. Starzy dorobkiewiczze, zasymilowani niemcy, kupują sobie zięciów-szlachciców, rujnujących majątki, otwierających wrota innym niemcom, do których zasymilowania nie będą już zdolni;

dorobkiewiczze-żydzi kupują sobie zięciów — arystokratów, z rezultatem równie ujemnym. Pod tą błyszczącą a zgniłą powierzchni roi się tłum czarny, kipiący pracą — dla tych paśóżyków, wytwarzający bogactwo — dla ich wyuzdania.

Zalewski-moralista wobec tego stanu rzeczy wygłasza tyradę na oko bardzo radykalną, Zalewski-artysta okazuje się do ujęcia tych zjawisk niezdolnym.

Radca szlachecki Żarski prowadzi z demokratą Dobkiem taką rozmowę:

Dobek: Arystokracja, to kasta uprzywilejowana, demokracja to równe prawo, równy obowiązek, równość i wolność.

Żarski: Równość i wolność! Oto dwa pojęcia, w imię których więcej nadużyć popełniano na świecie, niż cały feudalizm średnich wieków i tyrania wszystkich ówczesnych autokratów...

Dobek: Nigdy tyle, ile w imię dziedziczości i przywileju!

Żarski: Winszuję! urządzasz pan falanstery!

Dobek: Ani jedno, ani drugie! Wznowienie praw o zbytku i obowiązek pracy pod rygiorem podatku!

Żarski: A szlachetność, a poświęcenie, a rycerskość?

Dobek: Spotkamy się w walce z wrogiem (*Friebem*).

Na pozór powiedziano tu dużo — w rzeczywistości nic, bo obowiązek pracy „pod rygiorem podatku“ oznacza wykupienie się od pracy podatkiem. Kwestya więc teoretycznie ani postawiona, ani rozwiązana. A artystycznie autor jest dalekim od wcielania jakichkolwiekbądź idei społecznych; tak Dobek, jak i Żarski martwymi są szablonami, z werwą i zamiłowaniem oddani tylko nicponie i hultaje — prawdziwa atmosfera twórczości Zalewskiego.

Podobnie w innych jego sztukach.

Góra Nasi — Nasi zięciowie — Matężństwo Apfel — trylogia sceniczna z kwestyą żydowską, jako tezą, z rozwiązaniem, które w każdej sztuce jest innym, a wszędzie służy prze-

ważnie, jako moralna ciocia do oślaniania rozpasanej swawoli muzy autora... W sztuce pierwszej żydom rzuca się taką tyradę: „Nie powiem, abyście panowie byli gotowi podjąć się antreprzyzy dostarczania głów współrodaków nieprzyjacielowi, jak to mówił Rochefort o bankierach paryskich, ale broni, amunicji, żywności, środków transportu za dobrem wynagrodzeniem dostarczylibyście mu napewno“... W drugiej — kwestya małżeństw mieszanych jest postawiona w sposób taki, że jedyny porządny człowiek, St. Horski, który w tej sferze złota i rozpusty mecheskę nawet pokochał — przed ożenkiem się cofa; w istocie są tutaj zięciowie znacznie gorsi, niż teściowie. W trzeciej — tak nasi zięciowie żydowscy, jak i nasi teściowie żydowscy są prawie bez brudów; stary Apfel ma uczciwość handlową, syn jego — heroiczną.

Tyle — teorye, ani głębokie, ani konsekwentne, bo też są tylko etykietkami dla zamaskowania słabości autora i dla kontrabandy jego siły. „Gdyby człowiek — mówi ktoś w jednej z jego sztuk — u samych porządnym ludzi bywał, to w końcu musiałby zerwać stosunki nawet sam ze sobą“. Mniej więcęj to samo mogłaby powiedzieć o sobie przeważająco więksha część bohaterów Zalewskiego. Rzadkością u niego taka Rozalia (*Friebe*), a najlepsi — to Ernest Apfel: bez godności osobistej, Horski, zawierający znajomość z przedmiotem czystej swej miłości w lupanarze, a nawet najidealniejsza jego para: hrabina i Kuryatowicz (*Górą nasi*) cierpią na pewnego rodzaju *moral insanity*: pierwsza walczy z Pomperem korupcją a spokojnie zagarnia „zarabiane“ przezeń szwindlem pieniądze, drugi — umie zdobyć się tylko na taki czyn, że będąc sercem przy jednej kobiecie — rękę oddaje drugiej... A wszyscy prawie obracają się najswobodniej w domach *felicitatis*, których Zalewski daje całą kolekcję (mieszczkański — w *Górę nasi*, arystokratyczny — w *Nasi zięciowie*, ćwierć-światką — w *Oj męzczyźni, męzczyźni*), wszyscy mają na ustach tyrady nieznośne, wszyscy udawają kreacye wysokiego aryzmu a w żyłach papierowych

mało mają krwi prawdziwej, zaś ani po jednej kropli krwi polskiej; począwszy od uczuć, kończąc na języku — wszystko w nich jest surogatem.

W tym zamęcie pojęć społecznych, etycznych i artystycznych kulminuje teatr codzienny lat ośmdziesiątych — w Zalewskim, stanowiącym już zresztą reakcją „neokonserwatywną“ przeciw pozytywizmowi, w Zalewskim, zagarniającym tryumfy i największe tentyemy, gdy Bliziński znosił nędzę, a Faleński wzbogacał nieczytane foliały gazeciarskie. Społeczeństwo, pozbawione ideałów bohaterstwa, światło widziało w tem próchnie, radość w tym świecie wesołym a tak bezdennie smutnym...

Felicyan Faleński, urodz. w Warszawie 1826 roku. Jeden z pierwszych i najwytworniejszych intelektualistów, pełen smaku i erudycy artystycznej, rozkochany w pięknie wszystkich ludów i wieków, odbijający je też kalejdoskopowo w swoich utworach — ale bez tonu indywidualnego. W piśmiech jego można spotkać prawdziwie angielski *humour* i czysty dramat grecki, gotyk średniowieczny i kwiaty mędrców wschodnich, wiersz godny Horacego, obok szekspirowskiej gwałtowności i rubaszości — znać w tem wszystkim jednak więcej smakosza, niż twórcę, subtelnego, szlachetnego akademika, nie — czerpiącego z duszy własnej i namiętności ludzkich poetę. Daleki też od popularności i szukania jej. Faleński dla małego grona takich, jak on intelektualistów, cyzeluje swe wytworne formy, szuka piękna na wszystkich polach kosmopolitycznej sztuki, pisze studia o rzadkich twórcach. Wydał poezye:

Kwiaty i kolce (1856), *Z ponad mogił* (1870), *Odgłosy z gór* (1871), *Światki Sylena* (1876), *Meandry* (1892 i 1896), *Pieśni spóźnione* (1893); dramaty: *Syn gwiazdy* (1871), *Althea* (1875), *Florynda* (nagrodz. na konkursie 1884), *Królowa* (1888), *Utwory dramatyczne* (T. I. 1896: *Gród z siedmiu wzgórz w legendzie wieków*, t. II. 1898: *Althea*, *Florynda*, *Francesca z Rimini*); mnóstwo wybornych tłumaczeń: *Przekłady obcych poetów* (1878—1892), *Pieśni Petrarcki* (1881), *Orland szalony* (1901).

Wincenty Rapacki urodził się w Lipnie w Płockiem r. 1840. Po ukończeniu gimnazjum w Płocku w r. 1858 wstąpił do szkoły dramatycznej w Warszawie, a od r. 1879 jest jedną ze znakomitości sceny tamtejszej. Indywidualność o szerokim rozmachu duszy maluje naturę ludzką w świetle bohaterskiem, przywraca wielki polot i śmiałość ludziom wielkim, zmniejszonym

przez umysty poprzednich pisarzy (por. *Stwoza* Rapackiego a Pola, *Kopernika* jego a Szujskiego, jego *Acerna*, z sentymentalnym bohaterem Syrokomli), lubuje się w szerokich, purpurą i złotem kwitnących obrazach, odbijających od zasuszonych kwiatów archeologicznych, wre zapalem do wielkich niepodległych indywidualności i bojowników kultury. Równocześnie aktor w nim goni za efektami scenicznymi, co mu się często udaje, ale ze szkodą dla prawdy historycznej, dla naturalności dyalogów, dla wymagań różnorodności natury ludzkiej, sprowadzonej tutaj do szcuplej skali psychicznej.

Dzieła: — Dramaty: *Wit Stwosz* (1874), *Mik. Kopernik* (1875), *Mazur Czart* (1876), *Maćko Borkowic* (1878), *Acernus* (1879), *Pro honore domus* (1880), *Odsiecz Wiednia* (1883), *Starosta Wilczek* (1883), *Historyjoni* (1892). Komedye: *Bogusławski i jego scena* (1888), *Odbijanego* (1888). Powieści: *Do światła* (1887). *Hanza* (1900). *Trefniś* (1890).

Julian Książek-Łętowski, urodz. w Krakowie 1857 roku, autodydakta, odznaczył się dramatem *Izrael na puszczy* (1880); mniejszą wartość ma naszpikowany tencyjnością *Firduzi* (1884). Z powieści i nowel: *Nowocześni bohaterowie* (1888), *Rywale* (1890), *Na bożym świecie* (1891), *Robakiewicz* (1892), *Stary mąż* (1893), *Rogata dusza* (1894). Poezye: *Ghazele Umar* w Warszawie 1897.

Zofia Mellerowa, w Warszawie, obecnie nic prawie nie pisze. Prace: *Złoto runo* (1867), *Postanowienie*, *Wanda*, *Zyzio zepsuty*, *Falszywe blaski*, *Straduję*, *Kto winniejszy*.

Wi. hr. Koziebrodzki (1839—1893). *Komedye jednoaktowe*. Warszawa 1882. Dramat *Nauczycielka*, odznaczony nagrodą konkursową w Warszawie 1891.

Józef Bliźniński urodz. w Warszawie 10 marca 1827; od 1845 r. gospodarował na wsi w Królestwie, długo nie okazując porywu do pióra. W r. 1860 napisał obrazek sceniczny wierszem *Imieniny*, który wydrukował Kraszewski w redagowanej przez siebie »Gazecie Codziennej«. W dziesięć lat później, w czasie kiedy pisywał dorywczo artykułiki i opowiadania o forsowanym nieco humorze, wydał *Przczorną mamę* (1871) i utwór, który wystawiony w r. 1873 zapewnił mu sławę sceniczną: *Kawaler marcowy*. W znacznych odstępach czasu, bo Bliźniński pracował z długim rozmysłem i trudem, nastąpiły po sobie komedye *Ojczulek* (1874), *Chleb ludzi bodzie* (także pod tytułem *Moškowe swaty* (1875), *Pan Damazy* (1877), *Mąż od biedy* (1878), *Rozbitki* (1881), *Ciotka na wydaniu* (1883), *Szach i mat* (1886), *Lekko-duch* (napisany wraz z Zygmuntem Sarneckim, 1887), *Mąż w drodze* (1887), *Dzika różyczka* (1889), *Chwast* (grane i wydane po śmierci). Zbiorowe wydanie *Komedyj* we Lwowie 1882 i 1890 roku. Humoreski i krotoczwile wydał w dwóch tomach: *Dziwolągi* (1876) i *Humoreski* (1890). Ostatnie lata życia, po niepowodzeniach gospodarczych w Królestwie i Galicyi, spędził Bli-

ziński w Krakowie, w smutku, często w niedostatku, pracując z zamiętaniem nad językoznawstwem; uzupełniał słownik Lindego i w walce o czystość języka wydał *Barbaryzmy i dziwolągi językowe* (1888). Umarł w r. 1893. (Ob. monografię o nim Adama Dobrowolskiego).

Edward Lubowski, ur. 1839 w Krakowie, kształcił się w tamtejszym uniwersytecie i wcześniej zaczął pisywać w czasopismach galicyjskich; od r. 1865 przebywa w Warszawie, pracując w czasopismach zachowawczych prowadząc dział teatralny *Kuryera Codziennego*. Prace jego sceniczne: *Karjery* (1863) *Protęgowani* (1864), *Ubodzy w salonie* (1866), *Żyd* (1867), *Nietoperze* (1875), *Goniwcy* (1876), *Przesady* (1876), *Pogodzeni z loseni* (1878), *Czarnokwit* (1878), *Sąd honorowy* (1878), *Jacuś* (1882), *Osaczony* (1886), *My się kochamy*, *Przyjaciółka żon* (1886), *Bawidelko* (1892), *Wycieczka z przeszkodami* (1895), *Królewicz*, *Światowe rozrywki* (1891). W ostatnich utworach stara się Lubowski przyswoić sobie technikę nowoczesnego dramatu, szczególnie norweskiego, — bezskutecznie. Napisał też szereg powieści: *Cichy Janek i głośny Franek* (1880), *Krok dalej* (1886), *Powiatki niemoralne* (1886), *Kochanek Małgosi* (1890) etc. Mętne w pojęciach, pod względem technicznym okazują tylko rutynę dziennikarską.

Zygmunt Sarnecki urodz. w r. 1837. Już jako uczeń gimnazjalny pisywał w r. 1856 w *Gaz. Codziennej* powiastki i fejetony; w r. 1867 napisał pierwszą komedię: *Zemsta pani hrabiny*, poczem nastąpiły *Febris aurea* (1869), *Dworacy niedoli* (1876), *Słonecznik*, *Uroczę oczy* (1893): Z ostatnich jego utworów powodzenie zasłużone miały *Harde dusze* (1895). uscenizowana powieść *Orzeszkowej: Bene nati*; nieszczyśliwe zaś są jego próby sztuki fantastycznych: *Szklana góra* (1886), *Cud-dziewica* (1897); nie utrzymały się też na scenie sztuka okolicznościowa *Adam i Maryla* (1898), *Evvi-va l'arte* (1899). Wybór *Prac dramatycznych* w Warszawie (1880). Z utworów beletrystycznych: *Różni ludzie*, *Złote serce*, *Owale i profile*, *Nowele*, *Na ruinach*. Życie pełne przejść i walk, zappełnił Sarnecki niezmierną pracą publicystyczną, kierownictwem teatrów raz w Lublinie, raz w Poznaniu; do zasług należy mu policzyć wydawanie w Krakowie (1888—1894) wytworzonego, poświęconego sztuce pisma *Świat*.

Daniel Zgliński urodz. w r. 1847; od młodości czując zamiłowanie do teatru próbował sił swoich jako aktor (*Pamiętniki aktora teatru w Gwronowie*); mieszka w Warszawie. Napisał dobre studyum: *Humor w Panu Tadeuszu*, dla sceny: *Ricardo* (tragedya, 1876), *Tomasz Vale* (1876), *U wspólnego stołu* (komedia, 1884), *Jakób Warka* (1891).

Kazimierz Zalewski, urodził się 5 grudnia 1849 w Płocku. Studya prawnicze odbył w Warszawie, gdzie już stale przebywa i wydaje pismo «ziemiańskie» *Wiek*. Szereg jego utworów scenicznych jest bardzo długi. Wystawiał *Bez posagu* (1869), *Wycieczka za granicę*, *Z postępem*, *Marco*

Foscari, Przed ślubem, Spudłowali i Pani Podkomorzyna, Złe ziarno, Artykuł 264, Dama treflowa, Lis w kurniku, Górę nasi (1883), *Friebe* (1885), *Nasi zięciowie* (1886), *Małżeństwo Apfel* (1887), *Synowie bogów, Oj mężczyźni, mężczyźni, Prawa serca, Jak myślicie, Syn, Łotrzycza, Swaty lichwiarskie, Ogniuwa, Amerykanin*. Nadto tłumaczył Moliera i jako długoletni recenzent teatralny najpoczytniejszego u nas *Kuryera Warszawskiego* wywierał duży wpływ na scenę warszawską, dający się uczuć tak autorom, jak i artystom.

W latach osmdziesiątych najpopularniejszy może pisarz sceniczny, działający z sensacyjnością swych tematów i figur, które przypominały wypadki i postacie z warszawskiego bruku, i sensacyjnością »roboty«. Tę podpatrzył u majstrów francuskich — im też wszystko zawdzięcza. W gruncie rzeczy są jego sztuki, tak operujące hasłem patriotyzmu, zupełnie kosmopolityczne, od toalet do duszy, tak jak operując hasłem moralności są właściwie tylko wariacjami na temat cudzołóstwa. Bez tego nie obejdzie się żadne prawie dzieło Zalewskiego, tylko zbliżając się do tego tematu ma werwę, wynalazczość, dowcip (opowiadanie w *Friebem*, oszukiwanie męża przez Pumperową, małżonkowie Pimbeche). Schematy międzynarodowej galerii teatralnej poza tym komizmem niskim, lecz łechcącym nerwy, ani razu nie przemówią językiem uczucia, nie rozgrzeją tam nawet, gdzie autor chciał (quas-słodka dziewczeczka i jej romantyczny wielbiciel w *Górze nasi!*); kręcą się zresztą, jak manekiny, bez konieczności wewnętrznej, gromadzą się na scenie, wchodzą i wychodzą bez uprawdopodobnienia, najważniejsze tajemnice zdradzają w monologach i »na str.« — jednym słowem, są tylko tworamii pyrotechniki teatralnej, zostawiającej po sobie... czczy dym.

W ostatnich czasach zdołał Zalewski obudzić żywsze zajęcie sztuką: *Jak myślicie* — na temat: czy warto być uczciwym.

Analogiczny temat opracował Echeheray w dramacie *Szaleństwo, czyli świętobliwość* — z takim moralnym patosem, że człowieka, którego za nadmiar uczciwości drapieżcy ludzcy robią szaleńcem, my musimy uważać za świętego. Zło w życiu zwycięża najczęściej, widzą to artyści wszystkich ludów i czasów, ale wywołują w nas takie wstrząśnienia moralne, że musimy stawać przeciw złu, musimy całą duszą stać przy ginącym — i w ten sposób dziedziczyć, kontynuować to, co szlachetne i wielkie, które umierając w czasie, żyje jednak w wieczności. Zalewskiego wstrząśnienia wywołują konkluzję: »Dobrześ zrobił, żeś zniszczył testament«...

Ostatnie utwory Zalewskiego wrażenia już ze sceny nie robią.

ROZDZIAŁ VII.

NA WYŻYNACH LUDZKOŚCI. ALEKS. ŚWIĘTOCHOWSKI.

Charakter twórczości Świętochowskiego — Indywidualizm arystokratyczny, szybujący ponad ziemią, wpatrzony w ludzkość, nie w człowieka. Typ ten indywidualistyczno-racjonalistyczny wy wpływem epoki. Świętochowski, jako bojownik praw rozumu i człowieka. Prawo niezależności w teorii i w praktyce. Stosunek do przeszłości. Rozum, jako moderator praw absolutnych. Poznanie względności, zawodów, stron ujemnych indywidualizmu. Ewolucja światopoglądu w kierunku głosu miłości. Świętochowskiego *Duchy, Galilae vicisti* — w znaczeniu racjonalistycznym.

Zywoť i dzieła.

W kunsztownym, przez najbystrzejszy dowcip i ogrom wiedzy skonstruowanym balonie wznosimy się wysoko, wysoko ponad ziemię. Tracimy bezpośredni związek z gruntem, na którym mieszkają nasi bracia, tylko kształty widzimy bliżnich, coraz mniejsze, coraz bardziej rozpływające się, potem mamy już tylko abstrakcyjne o nich pojęcia. Powoli otacza nas atmosfera inna, czystsza, niż niższa ziemská, przeźrocza, niezatruta, przepojona ciszą, w której nad słuchujemy serc własnych bicia, rozmowy tajnych naszych myśli, szum jakby skrzydeł wieczności. Ale atmosfera ta staje się zimną, mroźną, całe nasze istnienie staje się sztucznym, jak ten okręt, w którym

żeglujemy. Organizmowi coraz więcej brak tlenu, wszystkie czynniki atmosferyczne ogromnie rozrzedzone, krew stygnie i oddychać trudno. Wracamy na ziemię.

Taką jazdą balonem jest twórczość Świętochowskiego. Nie jest ona skrzydłem ludzkości, zrosniętem z nią organicznie nawet w chwilach wzlotu, lecz oderwanym zupełnie od niej organem. Brak jej więc wspólnej pulsacji krwi. Nie szybuje po ziemi, ani też poza ziemią: Świętochowski nie ma w sobie nic ze spirytualisty — nietylko jako filozof, lecz także jako poeta odrzuca cały świat postaci nadnaturalnych; najwyższe zagadki bytu pozytywizm w nim zupełnie ze sfery twórczości wykluczył, całą duszą należy zawsze do ziemi. Ale spogląda na nią z czółenka, wzniesionego tak wysoko, że ledwie dostrzega kształty, ostatecznie z takiej odległości wszystkie do siebie podobne, potem linie tylko, cienie, a najczęściej odtwarza li swoje idee o nich — siebie. Samotnie też w jego atmosferze, zimno, i gwiazdy złote jedynymi tu towarzyszami...

Śmiałek to nielada i duch górny ten, co rzutem i kunsztem potężnym wzbija się w takie wyżyny; duch górny a dumny i wzniosły. Za ciasno mu i gwarno i brudno na tej niskiej ziemi — a im od niej dalszy, tem bardziej ona maleje, a on większy...

A czy ziemię tę, od której ucieka, której prawie nie zna, kocha? Skoro się widzi tę wzdargę, jaką bezustannie okazuje ludzkiemu mrowisku, tę duszę, przemawiającą nawet innym, niż reszta śmiertelników językiem, ów ton autokratyczny, narzucający bezwzględnie swoją wolę a niemiłosiernie chłuszczący przeciwną, ma się obraz arystokraty, wpatzonego w swoją gwiazdę, zakochanego w sobie i w swym kunszcie aeronauty, dla którego budowa i tajniki jego żaglowca napowietrznego są ważniejsze, niż losy płaczących mu się u stóp gromad ludzkich. Ale to tylko pozór. I pocóż wlatywałyby tak wysoko, pod niebiosą? Aby szturmować — o wstęp dla siebie? Aby chwycić gwiazdę dla siebie? Aby oko w oko spojrzeć królu-

jącej nad światami Opatrzności? Wiara ta, która ludziom dawała cel konkretny, z nim spokój, szczęście i nadzieję wieczystej nagrody, za co ich jeszcze darzono inwentarzem bezinteresownej cnoty, wiara ta nie jest jego wiara.

— I ty wierzysz, że dusze są nieśmiertelne? pyta umiarkujący Ojciec Makary Reginę. — Wierzę — odpowiada — ale jak? „Nie tak, jak sądziłeś i pragnąłeś, ale i ja wierzę w nieśmiertelność dusz. Jeżeli najdrobniejszy atom nie ginie w naturze, choć się od swych związków odrywa i wyzwala, to również ludzkie myśli i uczucia, chociaż bezimienne i z innymi spojone, pozostają na wieki w duchu świata. Co z dusz naszych wyszło, to trwać będzie. Ci wszyscy, po których rozpostarł się nasz wpływ dobroczynny, przedłużą życie nasze za grobem, i podadzą jego nic pokoleniom następnym“... Wiara gorzka, dla jednostek nadludzko silnych, wyzuty z ostatniego atomu pragnienia osobistego szczęścia, jego przedłużenia. Śmiałemu żeglarzowi nic ona nie da, ani jednego błysku oka opatrności, ani jednego cudu, ani jednego odblasku rozkoszy rajskich, które podtrzymywały żeglarzy inaczej wierzących. A może żeglujecie on dla samej rozkoszy bujania w sferach podniebnych? Przeminał czas dumnych farysów, prujących pierś pustyni, rozbijających huragany przeszkód huraganem swojej woli, aby tylko osiągnąć pełne poczucie swej siły i nieokielzanej swobody — i znowu duszę utopić w niebie. Teraz aeronauta pragnie, szuka, przywozi. Pamięć jego zawsze więc przy tej ludzkości, którą tak pogardliwie zostawił; jej to niesie nowiny o duchu świata, o jej to losy idzie pytać gwiazd... Autokrata zdaje się mówić: wszystko dla ludzi — nic z ludźmi. Unosząc się pod obłoki, żeglarz ten zuchwałymi losy jednostek, serc, dusz człowieczych ignoruje. To balast. Dobry jeszcze, gdy okręt szybuje nisko ponad ziemią, w wyższych regionach go się odrzuca. Tam żeglarz jest tylko z myślami swemi. Zamiast żywego człowieka ma przed sobą myśl. Abstrakcja ta człowieka będzie antypodą realnego, pozbawioną krwi cieplej,

serca bijącego, zapachu ziemi, będzie znakiem algebraicznym — do rozmyślań o losach ludzkości może jednak doskonale służyć. A o to głównie chodzi. Widzi on bowiem raczej ludzkość, niż człowieka. Zdarzy się, że przyłoży ucho do serca żywej jednostki, wyciągnie rękę i powie: bracie! (*Klemens Boruta*), jednakowoż nawet do najbliższego sobie idzie zawsze przez ludzkość. Trudno — ten obraz, który ze swojej wyżyny dostrzega, musi być typem uniwersalnym, członkiem nie poszczególnego narodu, czasu, kraju, lecz ludzkości wogóle. Do tego konsekwentnie rozwinięty charakter epoki dojść musiał.

Pozytywizm strącił z ołtarza uczucie i postawił rozum, czynnik analizy i abstrakcyi, uniwersalny i kosmopolityczny. A Świętochowski jest głównym przedstawicielem pozytywizmu polskiego.

Jakby siłą, rozmyślnie, przerwał wszystkie węzły uczuciowe, łączące go ze społeczeństwem, aby w ich miejsce dać niemniej silne, ale nowe zupełnie, odmienne: rozumowe. Społeczeństwo poprzednie, szlacheckie, mało było zróżniczkowane, narzucało ono cechy typowe, gromadzkie, zespałało solidarnością uczucia: on tej solidarności się wyzbywa, chce być tylko sobą, odrębną, niczem nieskrępowaną indywidualnością. Jakby wolny z pod wpływu dziedziczności, wysoko ponad zasadą naśladownictwa, nie zdradza tych zwyczajów, nie mówi tym językiem, nie wyznaje tych wierzeń, co panujące otoczenie: pisząc z początkiem lat siedmdziesiątych, kiedy warstwa ziemiańska, zwyczaj szlachecki, język Pola były typowemi, przedstawia przedewszystkiem obraz „dobrego, bardzo dobrego europejczyka“. Uzbrojony w dowcip i wiedzę, skonstruował sobie swój balon do żeglugi napowietrznej, zdala od ludzi, bliżej ducha świata... Nigdy zresztą czysty racjonalizm nie miał zmysłu historycznego. Wobec absolutnych praw krytycznego rozumu wszystko, co z nim się nie zgadza, jest absurdem i godnym potępienia. Świętochowski jest też zmysłu dziejowego zupełnie pozbawiony. Grek z czasów Peryklesa

i szlachcic polski z początku XIX wieku, rzymianka z epoki Cezara i bernardyn współczesnego Krakowa, dziki ze społeczeństwa prymitywnego i filozof dzisiejszy, dama najwykwintniejsza i lokaj jej stary — wszyscy oni mają jednaki mechanizm psychiczny, myślą i mówią jednakowo. Wszyscy oni są bowiem tylko odbiciami pojęć autora, odzwierciedleniem jego abstrakcyj życiowych. Jak wszyscy prawdziwi racjoniści posiadają dar dowcipu, błyskotliwego słowa, dyalektyki w stosunku odpowiednim do bogatego uzdolnienia autora. Dalej będą wszyscy skrajnymi indywidualistami; jak uczucie jest czynnikiem społecznym, tak jest rozum wyodrębniającym: uczucie obejmując ludzi kompleksem wspólnych odziedziczonych upodobań, tradycji, zwyczajów, jest czynnikiem gromadczym, konserwatywnym, rozum ze swym charakterem analitycznym, badawczym, jest urodzonym protestantem. W konsekwencji napotyka rozum zawsze na opór w zorganizowanej tradycji gromadzkiej — i staje do walki. Walka ta jest treścią wszystkich utworów Świętochowskiego.

— Jestem dla siebie — mówi Regina niejako imieniem wszystkich jego dodatnich bohaterów — ogniskiem stworzenia. Dla nikogo z musu się nie poświęcę, cnoty w umartwieniu znać nie chcę, obowiązku zapomnienia nie rozumiem. Niech inni przechodzą życie nie zauważywszy siebie — mnie ten nimbus pokory nie wabi. Dla mnie ludzkość nie jest żadnym obłokiem kurzu, którego wszystkie żdźbła biedz muszą za popędem jednego powiewu. Ile ludzi, tyle osobnych światów — ja jednym z nich i wiem o tem. Nie chcę być niedostrzeżalnym ziarnkiem kupy mierzanej masą, nie chcę poruszać się jedynie ruchami gromady, ale przedewszystkiem żyć dla siebie i przez siebie. Wszędzie rozpostrzeć mi wolno moje ludzkie prawa, gdzie one cudzych nie naruszają“.

Tak mówi Regina i symbolizuje niejako ducha niezależności okresu, którego Świętochowski był głównym bojownikiem, ducha niezależności, który w teorii i dla teorii był tak

wspaniałym, ale inaczej w praktyce... Wolność absolutna w sferze myśli dała całą wiedzę współczesną, w sferze czynu — wolną konkurencyę, prawo silniejszego. Dzisiaj to wiemy; przed trzydziestu latu, gdy nowa klasa społeczna, mieszczańska, wstępowała na widownię, mógł Świętochowski z czystym sumieniem i całą wymową bronić prawa wolności — indywidualizmu, hasła praw człowieka. Zresztą jemu nie chodzi o interes mieszczaństwa, świadomie nie służy żadnej klasie — broni tylko postulatów czystego rozumu, wpływu najgłębszej swej istoty. Że one się zlewają z duchem i potrzebą czasu — tem lepiej dla niego i dla idei. Tem skuteczniej służy postępowi ludzkości. Broni więc praw do życia na tej ziemi, której oddają pot swej pracy, istot wzgardzonych, lekceważonych, znienawidzonych, jak Krug, Capenko, Chawa Rubin; broni praw człowieka w księdzu, w niewolniku starożytnym, w poddanym szlachcica polskiego, w wyrobniku umysłowym, zmuszonym swe dzieci kochać „za maską“; we wszystkich strefach, we wszystkich wiekach, u wszystkich narodów szuka go, tego ekstraktu człowieczego, tej treści ludzkiej, z kodeksem „praw człowieka“, godnym Rousseau'a w jednej dłoni, a zbroją stalową dowcipu i erudycji, godną Voltaire'a w drugiej. *Tiers-état* krusząc we Francyi Bastylę, aby na gruzach jej zbudować ołtarz dla bogini Rozumu i Ludzkości nie miał wymowniejszego, ognistszego, fanatyczniejszego rzecznika nad tego demokratę warszawskiego, który stylem najarystokratyczniejszym rozbijał społeczeństwo stanowe, wyrąbywał w niem ulicę dla nowych ludzi, dla człowieka, dla czystego rozumu. Był bojownikiem idei, czasu, a równocześnie swojej indywidualności.

Zapewnienie swobody swemu ja jest dlań myślą najważniejszą, troską zręczą, namiętnością. Jego Jakób Czarski ma pragnienie, aby być „sam w sobie“ człowiekiem, bez wszystkich innych dodatków urzędowych, klasowych, majątkowych, pragnienie dochodzące do manii. „Volapück wyśmiano, a jednak tkwi w nim wielka idea. Język powszechny pozwoliłby

ludziom zataić swe pochodzenie.“ Dla poznania, dla wyzwolenia indywidualności, pogmatwanej, rozprężonej, zagadkowej, założony „klub szachistów.“ Dla zachowania pełni swej osobowości wystawia się Regina na walkę z całym światem, chociaż wie, że „świat mniema, że te tylko kobiety od niego się usuwają, które chcą upaść“, choć pamięta, jak za niepodległość zdania zniestawiono, zabito ojca...

Jak wielkiem jego umiłowanie tej swobody indywidualnej, tak wielką nienawiść wszystkiego, co ją zaprzecza. Stąd nienawiść jego do przeszłości, w której widzi tylko barbarzyństwo, gwałt, szereg systemów niewoli. Ten jeden fakt zaślania mu wszystkie inne strony przeszłości dziejowej. Trudno o cięższe akta oskarżenia nad owe historye *Poddanki* i *Błazna*. Kiedy córka chłopska Kazimiera, przez fantazję dziedziczki wychowana na edukowaną pannę, aby tem boleśniej potem odczuła ból poddaństwa, woła: „Przeklęte niech będą prochy wszystkich przeszłych pokoleń, które dały panu nademną prawo tyrana!“ — czujemy, że to *homo novus* wyładowuje całą nienawiść wieków przeciw ciemnościom, że stoją naprzeciw siebie dwa światy, że pozytywny rozum ogołocił się z wszelkiej czułości, aby bezwzględnie dojść praw swoich. Z pod pióra Sienkiewicza podobny wykrzyk nigdy nie mógłby wypłynąć.

Ale ten, który to „przekleństwo“ rzucił, nie jest bynajmniej Pankracym. Fanatycy rozumu są rzadsi, niż fanatycy uczucia. Pierwszy ma tę wyższość, że nosi w sobie swą granicę, jest panem — działaczem i sługą-kontrolorem własnym. Gdyby Voltaire był dożył rewolucyi, byłby prędko się cofnął przed jej czynami — Rousseau byłby jej dał się porwać. Bezwzględność, z jaką Ochocki feruje swoje wyroki, łamie się i cofa jeszcze w jego młodości. Jak wogóle można być fanatykiem swoich praw, nieubłaganym w wykonywaniu ich wyroków, strzałą zimnych, logicznych premis, gdy ludzie, których ona trafi, są *niewinni!* gdy nie ma „na całym świecie

jednego, coby był winien, nawet pomiędzy tymi, którzy się sami tak nazywają!“ Tensam rozum chłodny, rachujący, który ustanowił dla siebie najwyższe kodeksy i maksymy, poznaje równocześnie ograniczoność woli ludzkiej, podległej silniejszej od siebie konieczności — i uczy się „główniej w etyce Chrystusowej zasady przebaczeń“... Tensam rozum poznaje, że główny jego cel: niepodległość, indywidualność, oznacza właściwie tyle, co ostrze stali. Rzecz główna w tem, jaka nim kieruje dłoń. „Nie wiedziałam — spowiada się gorzko Regina — że swoboda może być także prawem niebezpiecznym“. *Piękna* oddycha swobodą i pełnią swej natury, a jakkolwiek niezepsuta i inteligentna — stacza się aż na brzeg przepaści, w którą zapewne kiedyś wpadnie. Kształcić w ludziach sam rozum? Widzimy, że duszą jego egoizm, językiem — interes, tak w ciasnym zakresie, w stosunku np. do Aurelego Wiszara, którego fabrykanci-konkurenci o śmierć przyprawiają za chęć uszczęśliwienia robotników, jak i na arenie najszerzej, międzynarodowej, np. na wybrzeżach Afryki, gdzie bankrutują najwznioślejsze hasła cywilizacji i miłości bliźniego...

Jesteśmy u końca pięknego snu pozytywistycznego. Racyonalizm i indywidualizm, główne jego osie, chwieją się, trzeszczą — oparty na nich światopogląd okazuje lukę ogromną, ranę bolesną, z której najlepsza jego krew ucieka. Myśliciel, patrzący w ludzkość, jak w zawile zagadnienie rachunku, widzi, że popełnił omyłkę, a głos jej bolesny odbija się o jego nad ziemię wzniesioną łódkę balonową. Nie, same te dwa czynniki nie wystarczą. Niedosć jest uzbroić się w dumę swego ja i w najostrzejszą broń rozumu, jak to czyni Regina, Zofia, i z wyżyny tego tronu rzucać ludziom skarby ukrytego w głębiach, szlachetnego swego serca. Nie dość jest kochać, jak to czyni ks. Makary, i z małodusznych pobudek uczucie to tłumić — póki omal piersi nie rozsadzi jemu i najmiłszym. I nie dość też, dla zadowolenia ukochanej kobiety i abstrakcyjnego

obowiązku założyć ażył uszczęśliwiania bliźnich a pozostać im duszą obcym i dalekim, jak to czyni Aureli Wiszar.

I w najwyższym okresie swej twórczości, zrównoważony mędrzec i człowiek, Świętochowski kreśli abstrakcję swego Arjosa. Wznosi się na szczyty ludzkości, ale serce swe łączy z sercami wszystkim, co żyje, część duszy zostawia przy wszystkim, co cierpi. I pierwsze słowa Arjosa-Zwistuna, który nam uświadamia myśl życia, brzmią modlitwą: „Eljonie, boże jedyny, daj sercu mojemu tyle miłości, ile jest w sercach ludzkich cierpienia!“ A dalsze jego słowa brzmią: „Twój smutek, radość, miłość, nienawiść są pewniejszą prawdą, niż najniezawodniejsze twierdzenia rozumu. Gmachem ludzkiej wiedzy czas ciągle wstrząsać będzie i rozwalać go w gruzy, a najdrobniejszego uczucia serc ludzkich nie wzruszą wieki. Za tysiące lat, gdy wszystkie prawdy wiedzy runą, nie przestanie to być prawdą, żeś cierpiał lub kochał. Więc wołam z woli boga jedynego do was, uczeni mężowie, do wszystkich ludzi, do stworzeń martwych (?) i żywych — kochajcie się!“

Galilae vicisti!

Wykrzyk ów jest od znaczenia, jakie ostatnim słowom Pankracego nadaje Krasiński, tak dalekim, jak tylko odległym jest radykał-pozytywista, choćby miłość sobie wyrozumował od arystokraty klerikalnego, choćby sobie wyrozumował uprawnienie pewnych konieczności nowoczesnego życia. Świętochowski ogołaca Zwistuna ze wszystkich znamion tradycyjnych; Chrystus jest krystalizacją i najwyższą syntezą wszystkich tych duchów miłości, dobra, poświęcenia, które od zarania dziejów pojawiają się na nizinach ludzkości, aby kierować jej skrzydłami, będącemi... krzyżem; wciela się jego duch tylko w wybrańców, będących zawsze też wybrańcami nieszczęścia — nie wciela się w dzieje z winy urzędzeń społecznych, tradycji, powag, uosobionych głównie w najwyższym typie powagi: w stanie kapłańskim. A przedewszystkiem nie uosabia żadnej idei zaświatowej. Ale jedna jest wieczność, jedna jest wiara,

jeden cel, ciągle odkwitający, coraz potężniejszy krwią męzczeników, gorętszy sercami rosnącej liczby wyznawców: Duch. A jedyną jego mową: miłość.

Aleksander Świętochowski urodz. 18 stycznia 1849 w Stoczku. Do gimnazjum uczęszczał w Siedlcach i w Lublinie, od roku 1866—1870 do Szkoły Głównej (potem Uniwersytet) w Warszawie na wydział filozoficzny, sekcję historyczną. Był jednym z pierwszych, którzy uświadomili sobie, że społeczeństwo niemy protestem i bezwładnym konserwatyzmem żyć nie może, i szukając ideału wieku znalazł go w apoteozie rozumu pozytywnego, w pracy kulturalnej »u podstaw« w domu a handlowo-przemysłowej na zewnątrz, w walce z wrogą nauce pozytywnej ciemnotą, fanatyzmem religijnym i społecznym, w krzewieniu hasła ogólnoludzkich. Umieściwszy poprzednio kilka drobnych artykułków w innych czasopismach, zaczął w r. 1870 pisywać stale w *Przeglądzie Tygodniowym* w duchu swoich zasad, i wkrótce stał się tych zasad najzdolniejszym, najgłośniejszym i najbardziej obawianym szermierzem. Walczył artykułami programowymi (*My i wy*, *Przegl. Tyg.* nr. 44 r. 1871, *Absenteizm*, *Młodzi i starzy*, *Trzeźwi i pijani* 72, *Praca u podstaw*, *O średnim wykształceniu kobiet* 73, *O wyższym wykształceniu kobiet*, *Nowe drogi* 74), najdotkliwszą jednak jego bronią były artykuły i krótkie notatki polemiczne („*Echa*“), w których niezrównana jego dyalektyka, ostry świetny dowcip i specjalny dar doprowadzania zdań przeciwników do absurdu niezliczone zadawały rany reprezentantom i prądom konserwatywnym. W r. 1874 udał się do Lipska na studia filozoficzne, które ukończył w r. 1876 z tytułem doktorskim na podstawie pracy: *Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären*. Do *Przeglądu Tygodniowego* przestał pisywać w r. 1878 i objął redakcję dziennika *Nowiny*, z którego jednak rychło ustąpił i w r. 1881 zaczął wydawać tygodnik *Prawda*. We wszystkich tych czasopismach rozsyłał niezliczoną ilość artykułów i rozpraw publicystycznych, wytycznych dla reprezentowanego przez siebie kierunku; fejetony jego (w *Nowinach* pt. *Listy z Paragwaju*, w *Prawdzie*: *Liberum veto*) — to bezustanna walka przedniej straży postępu, nieraz z widziadłem rozgorączkowanej wojną wyobraźni, wreszcie z armią istotnie wrogą światłu, walka przeszło dwudziestoletnia a zadziwiająca sztuką szermierską, niewyczerpanem bogactwem świetnego dowcipu, wiedzy niepospolitej, — w ostatnich zaś czasach: tonów spokojnej podniosłości duchowej. Nie skupił się, nie zebrał Świętochowski swych idei publicystycznych w jednolitą, organiczną całość, co w naszych wa-

runkach byłoby nawet trudnem; niejedna z jego idei się przeżyła, niejedną, nauczony doświadczeniem, sam porzucił; to, co dał i jak dał, czyni go bezsprzecznie największym publicystą polskim.

Poza publicystyką napisał Świętochowski szereg rozpraw filozoficznych, dramatów i nowel. Rozprawę, prócz doktorskiej: *O powstawaniu praw moralnych* (1879), *Dumania pesymisty* (1877), *Wolter* (1878), *O epikureizmie* (1889), *Poeta, jako człowiek pierwotny* (1896). Dramaty i nowele Świętochowskiego były przez długi czas porozrzucane tylko po czasopismach. *Przegl. Tyg., Nowiny, Prawda*; osobno wyszły były tylko dramata: *Niewinni* (1876), *Ojciec Makary* (1876), *Piękna* (1878), *Dramata: (Antea, Na targu, Helvia, Pośdanka, Błazen, Za maską* 1879), *O życie* (nowele: *Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug* 1879) *Klemens Boruta* (1880); niedawno zaczęły wychodzić w zbiorowym wydaniu (1896—1900 tomów VII), które obejmują wszystkie utwory z wyjątkiem *Niewinnych* i części *Duchów* drukowanych w odcinku *Prawdy* za r. 1900.

Indywidualizm arystokratyczny, nie dotykający ziemi, szybujący w sferze abstrakcyj, sygnowanych nazwami ludzi, wycisnął swe ślady tak na formie, jak i na treści utworów artystycznych Świętochowskiego. Pomijając tom *Obrazków powieściowych*, w których autor zdobył się na prawie realistyczne traktowanie postaci jednostek, walczących «o życie», są wszystkie jego dzieła pracami mozaikowemi; złożone z świetnych kamieni, przypominają znane rysy, a pozbawione ciepła, nastroju, wibracji życia wewnętrznego.

Jeżeli celem artysty jest ukazywanie zjawisk *sub specie aeterni*, to Świętochowski napisał kilka utworów, mających w sobie wielkość; jeżeli środkiem jego — odtwarzanie duszy ludzkiej, to Świętochowski zna jedną tylko: swoją własną. Zakochany w swym indywidualizmie filozof z lubością oddaje się dyalektycznym ćwiczeniom mózgowym i święci na tem polu najwyższe tryumfy, graniczące z najwyższą słabością. Wygnanie uczucia ze sfery sztuki mści się strasznie. Logika rozumu jest tylko jedna, wyłącznie logika uczucia stwarza tę różnorodność i barwność, która stanowi powab życia i sztuki. U Świętochowskiego wszyscy ludzie tylko rozumują, rozumują i wyrażają to jednakowo świetnie; gdzie ma przemówić uczucie — słyszymy dyalektykę, zamiast subtelności psychicznej — szematy i paradoksy. Podkładem jego dzieł jest zawsze idea, ale gdy na scenie i w poezji jeden gest, jeden wykrzyk serdeczny więcej przekonywa, niż dyskusya, przeto sztuki Świętochowskiego nigdy nie przekonywują; zostawiają tylko wrażenie niezrównanej dyalektyki oraz garście przepysznych aforyzmów. Autor sądzi, że są one dostatecznymi sprzętami do poruszania dusz ludzkich; w dramatach, w punktach kulminacyjnych, gdy czekamy walki dusz, starcia się namiętności, nakręca on budzik dyalektyczny: Zenon opowiadaniem wstrzymuje Piękną od upadku, Regina — spowiedzią sprowadza zwrot w pojęciach o sobie ks. Makarego, Perykles mową rozwi-

zuje węzeł tragiczny — we wszystkich wypadkach i przesileniach tych dramatów nie czujemy jednak konieczności wewnętrznej, nie widzimy ludzi, walczących z fatum zewnętrznym (jak w dramacie starożytnym), lub wewnętrznym, (jak w dramacie Ibsena); dramata te są też tylko wspaniałymi mozaikami stylu, mozaikami, które w pierwszej chwili olśniewają, ale nagromadzone bez liku zacierają wszelkie wrażenie prawdy, sprawiają monotonię, nużą. Tylko w oderwaniu od dzisiejszego życia, w krótkich scenach, trzymając pod swoim urokiem; najlepszymi utworami Świętochowskiego są też jednoaktówki, Bajki i parable greckie. Nie razi nas tu mozaikowa, zimna robota, nie razi niezajomość życia i społeczeństwa swego, która u tak »trzeźwego« w teorii pisarza dochodzi nieraz do rozmiarów monstualnych (gdy np. w *Pięknej* pozwala, aby młody hrabia prosił Zenona o ułatwienie mu schadzki miłosnej z mężatką, albo, gdy wszyscy nad zmarłą Ireną przechodzą, jak nad deptanym owadem).

Gdzie autor nie naraża nas na konflikt z życiem i naturą ludzką, bawiąc w świecie abstrakcyj, towarzyszymy mu z uczuciem podniosłem, rzadko zamąconem. Najwyższym też jego utworem — *Duchy*. Już sam pomysł tchnie prawdziwą poezją. Aryos i Orla — to duchy miłości, błądzące niejako po obszarze międzyplanetarnym, wcielające się w każdym pokoleniu w dwoje śmiertelników, aby życiem swem, nauką, zgonem, mnożyć zastępy wynawców miłości. Uczucie to bowiem jest najpotężniejszą dźwignią cywilizacji i najczystsze źródłem szczęścia. Widzimy to w szeregu obrazów dziejowych, stanowiących rodzaj *Legandy wieków* W. Hugo, *Tragedyi człowieka* Madacha, oryginalnie jednak pojętych. W koczowniczej hordzie pierwotnej homoŃagów i związków bezładnych, odwzajemniona miłość jednego mężczyzny ku jednej kobiecie stanowi zawiązek kultury. Para ta, zrywająca starodawny zwyczaj gromady musi zginąć. — W drugim obrazie widzimy społeczeństwo na wyższej stopie rozwoju. *Moronowie* — to obraz walki w tonie ludzkości za czasów Mojżesza. Świętochowski uważa, zdaje się, zwycięstwo Mojżesza za fakt antykulturowy, gdyż usłużył teokracji i ciasnym pojęciom o bogu narodowym. Z radością natomiast wita wizję Chrystusa. Rzuca ją na wspaniałe zakreślone tło ówczesnej, rozpustą, okrucieństwem i sofisteryą przegryzionej cywilizacji rzymskiej — i tu znowu ma sposobność do rozszczepienia całego przepychu swego dowcipu i ogromu nienawiści do instytucji niewolnictwa. I Miłość zwycięża, ale jeszcze prawdziwsze zwycięstwo święci katolicyzm. Dalsze obrazy wiodą nas też do zamków i pałaców feudalnych; ucieka z nich wstrętem ku wojnie, obłudzie i nieprawości przejęty Aryos, aby wrócić, wraz z Orlą, dobroczynną panią swoich chłopów — na stos św. Inkwizycji... Lecz idee ich nie zginą. Z każdym pokoleniem ludzkość jest potężniejsza i stawia sobie wyższe zadania. Dokonywa ich wśród walk bezustannych, bo walka — jak nas w bardzo prozaicznym prologu uprzedzają przedstawiciele żywiołów przyrody — jest prawem wszech-

świata; walką powinien też iść naprzód duch człowieczy, walką ze wszystkim, co bierze w kleszcze, łamie, obniża czystą miłość i sprawiedliwość: walką z wcieleniem tego ducha zła: kastą, dążącą po wszystkie czasy u wszystkich ludów do teokracji.

Jeszcze raz zwycięża tu u Świętochowskiego Wolter z tą wieczną pogardą dla wszelkiej metafizyki, z trąbką bojową przeciw hierarchiom wyznaniowym, z *sui generis* klasycyzmem formy.

ROZDZIAŁ VIII.

DALSZA REAKCYA UCZUCIA. TRYLOGIA SIENKIEWICZA.

Budzenie się w narodzie pierwiastku szlacheckiego. Znaczenie jego dodatnie: ożywienie poczucia narodowego. Utylitarny charakter literatury historycznej. Protest przeciw krytykowaniu przeszłości. Znaczenie jego ujemne: zwrot ku tradycjom szlacheckim. — Atmosfera dla indywidualności Sienkiewicza. Szlacheckie jego sympatyje na ławie uniwersyteckiej. Podkład jego uczuciowy i zmysł rzeczywistości. Istota jego natury przytłoczona przez wpływy pozytywistyczne przebija się i walczy w pierwszych utworach, nareszcie zwycięża. — Znaczenie Trylogii. Homerycki jej charakter. — *Ogniem i mieczem*

Pan Tadeusz. Wysoki nastrój i mądrość Mickiewicza. Sienkiewicz i Prus. Sienkiewicz nie stoi ponad światem swoich powieści. Pokrzepienie z nich tylko dla umysłów niekrytycznych. Zasługa Sienkiewicza w rozbudzeniu uczuć narodowych. Słabość — w braku kierowniczej myśli. Świat jego w oświetleniu Zyg. Kaczkowskiego. Sienkiewicz wyobrazicielem przeciętności szlacheckiej. Żywot i dzieła.

Zimno było, acz jasno, w dobie pozytywizmu, zimno i trochę obco. Przeobrażenie typu ziemiańsko-szlacheckiego w przemysłowo-mieszczański dokonywało się mocą nieubłaganej logiki faktów, ale nie bez protestów wewnętrznych. Skutkiem zmian ekonomicznych znaczna część szlachty wiejskiej rzucona na bruk miejski podszywała się w nową skórę, ale pod pokostem niejednego urzędnika i inżyniera tkwił duch onegdajszego szlachcica z całym zasobem tradycji, instynktów,

sympatyj i antypatyj dziedzicznych. A pozostali na roli przetrzymali już byli najgorsze lata, oswoili się z nowym stanem rzeczy i zaczęli możliwie dobrze w nim się urządzać. W Galicyi prędko minęła era rządów adwokatów i mieszczan z pierwszych lat konstytucyjnych — w latach siedmdziesiątych zwyciężył już we wszystkich dziedzinach życia publicznego stan szlachecki, coraz bardziej zrywający z niedawnym rozpędem liberalnym, coraz bardziej wracający do wszystkich nałogów, przekazanych dziedziczością. W Królestwie to samo działo się w sferze życia obywatelskiego i towarzyskiego. Gdy w r. 1870 żadne pismo nie występowało jawnie, jako organ szlachecki, w r. 1880 pozytywistyczna niegdyś *Niwa* nawoływała „Nieobecnych“, aby nie ustępowali wszystkim dostępnym posturków życia *bergom* i *stejnom*. Przytłoczona przez twardą konieczność i rozum pozytywny sfera uczuć, tradycyj, nawyków i pretensyj, sympatyj i antypatyj, zaczęła powoli wracać do życia, szarzyzna mieszczańska zaczęła zabarwiać się karmazynem i herbem rodowym, tem świetniejszym, że wiedza techniczna i administracyjna pozytywistów a pieniądz niejednolitej *stejnówny* dawały mu często tło złote.

Ale i szerszemu ogółowi doktryny czystego pozytywizmu nie wystarczały. Szmat duszy polskiej, z której do niedawna jeszcze aż pod niebo strzelały najwspanialsze porywy entuzjazmu, bohaterstwa — cała sfera uczuć, objęta przez temperament narodowy, leżała teraz odłogiem, albo była zasiana roślinkami bładem i wątlami. Duszom, w których szumiały echa proroców, darmo Asnyk, Orzeszkowa, Konopnicka, Świętochowski śpiewali pieśni o walce na rozumy, o bohaterach wiedzy i męczennikach myśli wolnej; duszom, szamoczącym się wśród szarej, smutnej rzeczywistości, niewielką pociechą były obrazki nędzy, krzywdy i negatywne ideały ludowe, roztażane przez Konopnicką; duszom, czującym mimo wszystko kipiączkę soków żywotnych, płomień narodowego temperamentu, indywidualność odrębną, wiew przeszło-

ści wielkiej a własnej — nie wystarczały hasła ogólnoludzkie i abstrakcje ideowe.

Nie samym tylko krytycyzmem — który jest istotą tej epoki — żyje człowiek, nie samym tylko utylityzmem. Tymczasem niejednen zwracał się jeszcze do przeszłości, ale w celach czysto utylityarnych. O najwybitniejszym pisarzu poprzedniej doby pisze Chmielowski: „W pojęciu charakteru i roli dziejowej osobistości i wypadków pierwszorzędnych, Kraszewski okazał dziwną dążność do kreślenia słabej ich strony, nie zaś ich potęgi, jakby opanowany był myślą wyszukiwania źródeł upadku Rzeczypospolitej już w owych odległych czasach piastowskich“. Niektórzy szli jeszcze dalej, i gdy tak jedni spoglądali na przeszłość, jako na zagadnienie rachunkowe, inni widzieli w niej „jawnogrzesznicę“. A gdy inni widząc negację ideałów ogólnoludzkich, wołali wprost „przeklęta“! — musiało w niejednem sercu zakiepieć, w niejednem musiała wybuchnąć tem większa miłość do przeszłości, do indywidualności narodowej ze wszystkimi jej cnotami a nawet błędami, ze wszystkim co w jej losach było złem i dobrem, bo to swojskie, własne, krew z krwi swojej, kość z kości swojej. A że przeszłość ta historyczna była jedynie szlachecką, nic dziwnego, że kierunek w zasadzie piękny, uzasadniony, zbawienny: powrót do swego *ja* — w praktyce przemienił się w apologię szlachty, w wstecznicwo.

Reakcyja ta uczuciowa tworzy atmosferę, której dla pełnego rozwoju swej indywidualności potrzebował Henryk Sienkiewicz.

— „Wśród bogatego roju młodzieży, dojrzewającej w ulu Szkoły Głównej — opowiada Aleks. Świętochowski — wczesnie wyróżniały się rozmaite gatunki pszczoł: widziałeś leniwe trutnie, widziałeś pracownice, widziałeś matki, które niegdyś (!) królować miały. Rozwój umysłowy biegł szybko, zdolności też zarysowały się wyraźnie. Prawie każda wydatniejsza tam głowa nie zniżyła się później pod średnią miarę. Z ostatniego trzech-

lecia szkoły: Chmielowski, Głowacki (Prus), Ochorowicz, Rajchman, Kotarbiński i inni, którzy w niej przerastali towarzyszków, albo nie zawiedli wróżb dobrych, albo je nawet przekroczyli daleko.

„Był wszakże w szczupłym gronie wydziału historyczno-filozoficznego student, który niczem nie zapowiadał wysokiego talentu i żył zupełnie poza tem wyborowem kołem. Pamiętam tylko, że idąc raz z nim przez ulicę, zdumiałem się nad jego biegłością w rozpoznawaniu herbów na arystokratycznych gmachach i karetach, oraz nad znacznym zasobem wiedzy z historii rodzin szlacheckich. Była to wszakże jedyna niezwykła w nim cecha. Wąty, chorowity, w audytorium rzadko widzialny, w życiu studenckim nie przyjmujący żadnego udziału, przed egzaminami mocno zakłopotany i na uboczu trzymający się, zwracał na siebie tak słabą uwagę kolegów, że gdy po skończeniu uniwersytetu Kotarbiński upewniał nas kilku, że Sienkiewicz napisał piękną powieść *Na marne*, rozśmialiśmy się serdecznie i zapisali tę wiadomość na rachunek złudzeń powiatowej sympatyj jednego podlasiaka dla drugiego.“

Nie uświadomił był sobie jeszcze Sienkiewicz swego powołania na wskrzesiciela przeszłości narodu, a natura, cała jego indywidualność w tym kierunku go parła.

Wychowany wśród tradycyji szlachecko-żołnierskich, przyniósł ze sobą na świat dary, które gwarantują siłę — a zarazem słabość — jego olbrzymiego talentu: przyniósł uczuciowość i zmysł rzeczywistości w stopniu wyższym, niż którykolwiek z pisarzy współczesnych. Samo poczucie rzeczywistości czyniłoby go bezdusznym naturalistą, sama uczuciowość — dałaby mu może skrzydła romantyzmu, przemieniła w metafizyka-mistyka. U niego dwie te władze dziwnie są równomierne. Kierując się instynktem, sympatją, uczuciem, nie rozpromienionem nigdy do rozmiarów słońca, około którego cała ziemia i gwiazdy by się obracały: bierze ludzi i rzeczy, *jakimi są*, stąd niestychana konkretność jego pojęć i obrazów

ale stąd też mała złożoność jego idei. Prosta taka a silna natura weźmie je ze źródła największej prostoty i siły: od żywiołowej tej potęgi, którą jest przeciętność gatunku — przeciętność narodu. Talent filozofowania lub rozpalone, jak u wieszczów naszych uczucie, wskazywałyby mu inny punkt widzenia i widnokrąg inny — Sienkiewicz ze swoją organizacją duchową stał się doskonałym wyobrazicielem przeciętności narodu, historycznej jego reprezentacji: szlachty.

Nie odrazu i nie tak prędko.

Wpływy rodzinne, dziedziczności i wychowania, zostały mocno przygłuszone przez pierwsze doświadczenia życia, zięjącego wówczas ideami demokratyzmu i liberalizmu. Z otoczenia kolegów i ze szpalt „młodej prasy“, z książek najgłośniejszych i potrzeb dnia najpilniejszych płynęły one, wsiąkały w wrażliwy umysł. Wchłaniał je i odtwarzał młody artysta, ale pod tą modną powierzchnią żarzyły się węgle z ołtarzy starych bogów rodzinnych, we krwi huczały porwy i rozpędy bynajmniej nie mieszczańsko-racyonalistyczne. Przez blisko dziesięć lat widać w jego utworach walkę sprzecznych żywiołów, walkę uczuciowo-szlacheckiego serca z pozytywistyczno-demokratyczną głową. Natura pod ciśnieniem odpowiedniego momentu dziejowego nareszcie zwyciężyła.

W pierwszej jego noweli Wilk-Garbowiecki „choć matką jego była Jazłowiecka“, utrzymywał, że wyraz „starszlachecki“ to głupstwo i powtarzał z dumą: *homo sum!* — zawsze jednak „ciągnie“ go do roli. W dalszych swych nowelach wystawił Sienkiewicz pomnik *Staremu studze* za ślepą jego wierność i za echa rycerskie, brzmiące w jego opowiadaniach — i uciekając z bruku miejskiego i młyna dziennikarskiego wyśpiewał przesłiczną sielankę miłosną, pachnącą wszystkimi urokami wsi polskiej pod berłem szlacheckim, dźwięczącą wszystkimi strunami taniego a tak sympatycznego bohaterstwa. Na uboczu, w cieniu zostawia postać studenta-pozytywisty, głębszą i bardziej skomplikowaną, niż figury właściwych bohaterów,

tych zaś stroi w aureole i nimby iście „kawalerskie“. „Mistrz“ — akademik — to epizod, ważnymi w życiu są przygody serc młodych, wśród akompaniamentu piorunów i świstu szabli pojedynkowej, szabli ojców, otrzymanej przez chłopaka z błogostawieństwem: „niech cię prowadzi Bóg ojców twoich“...

Następuje szczęśliwe dla autora i dla literatury zdarzenie: podróż po Ameryce; pogłębia ona jego duszę, ta staje się silną, męską i nieskończenie prostą, odrzuca od siebie resztę tyranii miasta, nerwów, małości, tyranię refleksyi nad zdrowym, nieskrępowanym instynktem — staje się coraz bardziej home-rycką. Obrazy olbrzymie, wspaniałe, dzikie, będą odtąd w niej graniczyły z uczuciami o dziecięcej prostocie i rzewności; cześć dla cudów siły i siły cudów będzie szła w parze z pragnieniem uzupełnienia swego bytu — przeciwieństwem: stworzeniem słodkim, łagodnym i biernym; życie współczesne, o zartanych instynktach a spotężniałym mózgu, o heroizmie tylko w sferze myśli, o purpurze tylko w sferze snów, życie to szare, oschłe, pozytywne, będzie coraz bardziej od siebie odsuwał, by pogrążyć się w innym... Coraz więcej będzie tęsknił do ziemi wielkoludów, o olbrzymich namiętnościach, płomiennych barwach, gwałtownych zdarzeniach, gdy nie opuszczający go zmysł rzeczywistości będzie tę fantazyę utrzymywał w karchach możliwości, czego nie zdołał np. Słowacki; będzie wspomnienia swe świadome i bezwiedne atawizmy, wszystkie przez pokolenia nagromadzone uczucia rycersko-szlacheckie kondensował w głębi duszy, przetwarzał w zakamarkach fantazyi, czekał pory, kiedy on i czas dojrzeją...

Nowele jego noszące ślady owego fermentowania, pasowania się wewnętrznego, owych sympatyj umysłowych dla Rzepy i Rzepowej i strofowania dworu za nich i za *Fanka — muzykanta*, długo też są przyjmowane z mieszanymi bardzo uczuciami. „Postępowcy“ widzą w nim dzielnego towarzysza ideowego, hr. Tarnowski wytyka mu (1881) „skłonność do pesymizmu“, zarzuca mu, że „jest jakoś niezupełnie zdrow,

że jego myśl i dążność niezawsze daje się łatwo uchwycić i jasno pojąć“. On tymczasem szamoce się z sobą o odkrycie wewnętrznej swej istoty, o pole dla swej twórczości; powoli przestaje widzieć w chłopie duszę artystyczną, uczucia głębsze, heroizm uczciwości; jeśli go rysuje — rzuca go na tło płomienne bitwy, gdzie zwierzę rozjuszone w szale wojennym może chwilowo nawet być pięknem; próbuje stawać jako rozjemca między obozem demokratycznym a arystokratycznym, nie zdoławszy wszelako podnieść się do tonu idei, do symbolu, jaki mamy u Krasińskiego, przedstawivszy tylko walkę głodnego młodego wilka (demokracya!) z tworamv szlachetnymi, lecz nieprzystosowanymi do walki o byt (arystokracya!) — a duszy jego coraz ciaśniej w atmosferze laboratoryjnej, gdzie realizm pracuje z mikroskopem... sercu jego coraz ciężej z tą „smutną rolą“ malarza nizin.

Nareszcie w powietrzu zawisła reakcyja przeciw pozytywizmowi. Rozległ się protest przeciw niemu z dołu — rozległ się też z góry. Tłumione uczucie szukało dla siebie wyrazu. I gdy jedni wskazali przed siebie, Sienkiewicz — poeta, malarz, obywatel-szlachcic, ale nie wieszcz, ani filozof, ani mąż ludu, wpatrzył się w przeszłość i wskazał na szlacheckiego Księcia Niezlomnego (*Niewola tatarska* 1880) i na rycerzy, broniących Zbaraża (*Ogniem i mieczem* 1884).

Ze stu tysięcy piersi odpowiedział mu głos zachwytu.

Trylogia Sienkiewicza to nie szereg książek — to czyn wielki. Dusza narodu łaknęła go, wyczekiwała. Pragnęła swojskości — a dawno książka tak nie dyszała, jak ta polskością; pragnęła szerokiego tchu dla przytłoczonych piersi — dawno książka nie była, jak ta, zdolną do budzenia wspomnień, marzeń, entuzyazmu; pragnęła pokrzepienia, a ta robiła na wielu wrażenie owego „węża miedzianego“, w którego Mojżesz kazał się wpatrywać strudzonemu wędrowni, dziesiątkowanemu chorobą Izraelowi na puszczy.

Tak Trylogię przyjęto, takim jest jej znaczenie dla sze-

rokich kół publiczności, dla tych reprezentantów najwyższej inteligencji, jak i dla mas włościańskich i oddalonych od kraju wędrowców, których książka stała się własnością, i niesie im dech oczysty i blask chwały nawet wśród opresyi najsrozszej i szepce słowa o chwale i sile... Trylogia stała się faktycznie tem, czem „Homer“ dla starej Grecyi, księgą rapsodów narodowych, na której kształcili się młodzi i którą krzepili się starzy, która zamykała w sobie treść życia, wyobrażeń, sławy przodków a dawała przykład pokoleniom dorastającym.

I nic dziwnego — pomijając formę, do której dzisiaj nie przywiązujemy wagi, bo poezya nie jest przywiązaną do rymów — dał i dać zamierzył Sienkiewicz dzieło homerowskie.

Homerowskim jest w rytmie języka, dopraszającym się głośniejszej deklamacyi poszczególnych ustępów wzniosłych, to bojowych; homerowskim — w porównaniach i zwrotach typowych, homerowskim w stosunku do swych bohaterów, który z bogów czyni ludzi, a ludzi zbliża do miary bogów, a także w sposobie ich charakteryzowania. A że ten Homer jest szerepolskim, w odczuciu każdej postaci i w traktowaniu każdego faktu, w dowcipie każdym Zagłoby, i w ruchu każdym masy narodu, w trzpiotostwie wdzięcznego Hajduczka i w wzniosłości charakteru Oleńki, w miłosnem wżyciu się w dusze kilku przeszłych pokoleń i w patrzaniu na losy całości — więc nic dziwnego, że zapal i miłość mu towarzyszą.

Porównywano nieraz Trylogię z *Panem Tadeuszem*.

Jest jednak między temi dziełami różnica taka, jak między Mickiewiczem — a Sienkiewiczem.

Nawet w tym swoim utworze najpogodniejszym, najśłodszej i najbardziej z zewnątrz obejmującym życie ze wszystkich, które napisał, Mickiewicz jest olbrzymem. Nie tylko pod względem artystycznym — Sienkiewiczowi daleko do tej harmonii, do tej koncentracji, do tej wszechstronności i pełni życia, którą tchnie wielki poemat — lecz pod względem ducha. Mickiewicz nawet w czysto szlacheckiej eposie nie

przestał być tym, który czuje za miliony, który ukochał cały naród, wszystkie jego przeszłe i przyszłe pokolenia, i walczy o ich jutro. Przy całej więc miłości, którą żywi dla przeszłości opiewanej, stoi p o n a d nią i ponad jej wyobrażeniami, nie tylko humorem, nie tylko mieczem karzącym, lecz z sztandarem idei. I idzie od niego wiew świeży, tchnienie potężne, które bije z toastu Tadeusza za zdrowie wszystkich współobywateli, „wolnych, równych Polaków“ — i staje się duchem łącznym między dawnymi i nowymi laty...

Czy Sienkiewicz stoi ponad opiewaną przez siebie przeszłością — i jej wyobrazicielami? Czy oprócz ech dziejowych przynosi jakieś ziarna przyszłości?

Tego nie można powiedzieć.

„Dla pokrzepienia serc“ — pisał swą Trylogię. Niestety — pokrzepia na bardzo krótko — bardzo niekrytycznie.

Tragizm to najwyższy, druzgoczący oschłym swym faktem wszystkie autora zdolności i tendencje, że trylogia kończy się *Panem Wołodyjowskim*. Więć na nic bohaterski i nawet nie jednorazowy poryw narodu, na nic Zbaraż, na nic Częstochowa, w niwecz fortele Zagłobów, męstwo Skrzetuskich, czystość Podbipiętów, bitność Czarnieckich — Kamieniec poszedł w ręce wroga!... Poszedł — nie wytrwał. Jednostki tylko się znalazły, ocaliły honor i zgasły w desperacji — bezpotomne...

Smutne pokrzepienie. Świetny autor rozogniwszy nam wyobraźnię — w zetknięciu z myślą krytyczną wywołuje reakcję, ból, gorycz. I ma się nieraz ochotę rzucić tę jego książkę, pełną bohaterskiego temperamentu — a ani jednej myśli bohaterskiej, pełną szczęku walki z wrogiem zewnętrznym a bez uwagi na podslawy społeczeństwa wewnętrzne, i wszystkim jej bohaterom ciskać bez końca, bo bez odpowiedzi pytanie

za co życie w życia chwili
z taką pychą roztrwonili —

a gdy Sienkiewicz kończy swój cykl dziejowy wspaniałym transparentem artystycznym i wprowadzając Sobieskiego woła z uniesieniem: *Salvator!* — w nas gorycz i ból wzrasta... Człowiek nowoczesny, np. Prus, pisząc powieść historyczną, pokazuje nam cały mechanizm życia, wszystkie wewnątrz narodu ukryte potęgi, pokazuje, jak od ich należytego ustosunkowania, od sumy światła, sprawiedliwości i prawdy, jaką będą przepojone, wypłynie wielkość, zbawienie. Toteż w *Faraonie* Prusa musimy sobie powiedzieć: *non omnis moriar*... Sienkiewicz nie otworzył przed nami życia społeczeństwa, nie ukazał nam jego potęg wewnętrznych, które własną siłą mogą przynieść zbawienie. Przeciwnie, wszystkie prawdziwe sprężyny ówczesnego życia opłakana jego historyzofia purpurą swego arcyzmu zaślania. Nie obejmuje uściskiem całego narodu, jęcz jedną tylko warstwę; nie okazuje zrozumienia dla fundamentów społecznych i politycznych jego bytu, skoro w *Ogniem i Mieczem* tak jednostronnie przedstawia stosunek kolonizatorów polskich do chłopstwa, łacinników do rusinów; nie okazuje warunków na wychowawcę narodu, skoro w *Potopie* przeocza zupełnie upadek kultury narodowej pod wpływem jezuickim, co pociągnęło za sobą zupełne skartłowacenie ducha, skoro przeocza, w co szlachta obróciła śluby Jana Kazimierza — i czemże rzuca nadzieję na przyszłość, fundamenta bytu, gdzież jego sztandar? Czyż ostatnim toastem Zagłoby: „nie masz takowych terminów, z którychby się *viribus unitis przy boskich auxiliach* podnieść nie można...“?

Niewielkie pokrzepienie...

Niezrównany artysta tworzy ludzi z najwyższą plastyką i konsekwencją artystyczną, a zaniedbuje plastykę i konsekwencję historyczną; wyobraziciel przeciętności narodowej odtwarza w genialny sposób pojęcia i idee przeciętnego szlachcica polskiego¹⁾, miasto stać wyżej i świecić myślą wielką...

¹⁾ Ta uległość dla sądów i przesądów przeciętnych uderza we wszystkie idee historyzoficzne Sienkiewicza, a najwięcej w *Ogniem i Mieczem*,

Z dzieła jego bije też duch, jakoby z piersi tej przeciętności wyrwany, a artyzmem zachwycający bez wyjątku wszystkich, umiejących czuć piękno; z dzieła jego, choć zapełnionego naj-

dziele, obejmującym najszerzy horyzont polityczny i socyalny. Apoteoza Jeremiego Wiśniowieckiego, w pobudkach i celach płynąca z wyobrażeń typowo-szlacheckich, jest kluczem do wszystkich idei Sienkiewicza. Pamiętamy Jaremę z powieści, jako wzór obywatela, męża stanu, rycerza bez skazy... Jakże ideał ten wyglądał w rzeczywistości?

»Podług historii — opowiada Zygmunt Kaczkowski — Wiśniowiecki był jednym z najwybitniejszych typów oligarchy-warchoła swojego czasu, z tą wszakże od innych różnicą, że był bezprzykładnie okrutnym. Toć przecie już w 22 roku swojego życia niebывałemi dotąd okrucieństwami, któremi się odznaczył w swoim pochodzie na Moskwę, zyskał sobie imionisko »Paleja«. Stawną jest również postawiona przezeń zasada, iż tak należy mordować, ażeby umierający czuli, że umierają. Sam Maszkiewicz, bezwzględny jego wielbiciel, przedstawia jego niepoliczzone okrucieństwa w takich kolorach, że włosy stają na głowie. Same opisy tego dworzanina przepęniają nas wstrętem i oburzeniem na tego rzekomego cywilizatora Rusi, który w zdobywanych przez siebie miasteczkach i osadach po kilkadziesiąt wystawiał szubienic, czasem przez kilka dni od rana do nocy pastwił się z zaciekłością dzikiego zwierza nad zabranymi przez siebie jeńcami, niejednokrotnie całą ludność zdobytej osady kazał w swojej obecności wycinać do nogi. Była jakaś zwierzęca a zarazem bajeczna potworność w tym dziwnym człowieku, toż nie bez powodu był on uważany za życia jako zesłaniec jakiejś nadziemskiej potęgi i przeszedł po śmierci w postaci apokaliptycznego potwora w podaniach wiejskiego ludu. U szlachty polskiej był on popularnym, ale tylko dlatego, że był tak nielitościwie okrutnym dla tego ruskiego ludu, który ona chciała podbić koniecznie i każdy ruch jego, każde upomnienie się o prawa nadane a haniebnymi zdradami i nareszcie bezmyślnemi konstytucjami z lat 1589 i 1590 a najfatalniejszą z r. 1638 znów odebrane, uważała za bunt, za które żadna pomsta nie była za nadto sroga. Ale w rzeczywistości na popularność on nie zasłużył, był to człek chciwy, dbający tylko o swoje dobro, nie znający żadnej miary swojej chciwości, gwałtownik nie uznający żadnego prawa i najniepowściągliwszy ze wszystkich, chociaż ich było tak wielu w tym wieku. Wiadomo przecież, że dobra swoim krewnym pograbił i za te grabieże był pod kondemnatą — a los Rzpltej tak mało mu leżał na sercu, iż na krótki czas przed Chmielnickiego powstaniem, obrażony na króla za to, że mu ręki nie podał, wtargnął we cztery tysiące zbrojnego ludu do Warszawy i chciał cały senat wyrąbać. Zrozumienia dla rzeczy publicznych wcale się w nim nie można dopatrzeć. Kiedy Władysław

smutniejszymi epizodami, bije też łuna gorąca, bije *la gloire*, tak miła każdemu narodowi; nie idzie jednak myśl przyszłości. Podnosi ono uczucie narodowe wizjami świetnymi, nieraz wzniosłymi, — to artyzm wspaniały i zasługa wspaniała! ale towarzyszą mu idee małe, historyzozofii jego — błędy oplakane, kwiatom — ziarna jałowe. Wielki artysta jest prorokiem li przeszłości — i to smutnej.

Henryk Sienkiewicz urodz. 4 maja 1846 na Podlasiu we wsi Wola Okrzejska, z ojca Józefa i matki Stefanii z Cieciszowskich. Dziecinne lata spędził częściowo we wsi rodzinnej, częściowo w sąsiednich Grabowcach,

IV powziął myśl wielką wyrugowania tureckiej potęgi raz na zawsze z Europy... to Wiśniowiecki wykonaniu najzarliwiej się sprzeciwił, a kiedy po śmierci Władysława IV cały naród był za Janem Kazimierzem, to on koniecznie chciał osadzić na tron królewicza Karola, a nawet go już w swoim obozie królem obwołał. Jakiegokolwiek myśli twórczej, choćby nawet mizernego talentu organizacyjnego, także trudno w nim dojrzeć... Chciwym był znaczenia i władzy, ale i tej nie potrafił wziąć i utrzymać, chociaż niejednokrotnie sama laża mu w rękę. Po wybuchu Chmielnickiego włóczył się po kraju, gdzieby mógł palić i wieszać z łatwością, ale Polonne wydał na pastwę kozactwa. Z pod Piławiec taksamo uciekł, jak inni, chociaż tam właśnie mógł być pokazać, co może gdyby był miał, wolę i ducha po temu, a kiedy mu we Lwowie oddano władzę hetmańską, to ją wziął wprawdzie, ale wymknął się chyłkiem z obłożonego miasta i poszedł mury w Zamościu naprawiać. Jeden tylko miał przymiot istotny i w bardzo wysokim stopniu, był waleczniejszym od wszystkich swoich współczesnych...»

»Po wszystkie czasy — mówi dalej Kaczkowski — aż do Stempkowskiego, ostatniego ze smutnej stawy następców Jaremy, nie było człowieka, do któregoby Ruś cała tak głęboką pałała nienawiścią, jak do niego; ale nienawiść ta nie zrodziła się tylko z tego powodu, że był on okrutniejszym od innych; miała ona daleko głębsze przyczyny, których w tem szukać potrzeba, że Wiśniowiecki nie był przybyszem, jak Potoccy, Lubomirscy i inni, ale rusinem z rodu, że swój naród opuścił i mścił się tak srodze na tem właśnie plemieniu, którego był członkiem z krwi i kości...«

Tyle najznakomitszy przed Sienkiewiczem powieściopisarz historyczny. Są to indywidualności wybitnej, która życiem i rozmyślaniami wzniosła się do wyżyn uczuć ogólnoludzkich, nie przestając być Polakiem.

częściowo wreszcie w Węzycynie, w Stanisławowskiem, dokąd rodzice jego się przenieśli po dokonaniu działań rodzinnych. Gimnazjum ukończył w Warszawie i tam też zapisał się do kwitnącej wówczas Szkoły Głównej, na wydział filozoficzny. W walce między *Młodymi a starymi* bezpośredniego udziału nie brał, bliskim był jednak *Młodej prasie*, i jak wielu innych drukował swe utwory w *Przeglądzie Tygodniowym* i wpływy pozytywistyczne odbijał w pierwszych swych utworach. W r. 1873 zaczął w *Gazecie Polskiej* (pod pseud. *Litwos*) pisywać fejetony tygodniowe, które, nasamprzód nielitościwie kreślone przez redaktora, po uzyskaniu swobody pióra zwracały na siebie powszechną uwagę poetycznością, dowcipem i trafnymi postępowymi poglądami. W r. 1876 wyjechał z Warszawy. Wedle własnych jego słów »przejechał Niemcy, Francję — całą długość Anglii, przepłynął na wiosnę burzliwy Atlantyk, a następnie jak ptak na skrzydłach, przeleciał niezmierzone przestrzenie wielkiej kolei od Nowego Jorku do San Francisco i strząsnął proch z obuwia swego na brzegach Oceanu Spokojnego.« Z tego okresu burzy życia, wśród natłoku wrażeń pisane datują się *Listy z podróży* i serya nowel, które niebawem uznane za arcydzieła, utrwaliły jego sławę. Powoli dokonywał się zwrot w jego poglądach, odezwała się głębia istotnej jego natury szlacheckiej i estetycznej, zaczął pisywać do zachowawczej *Niwy*, w r. 1882 objął redakcję »neokonserwatywnego« *Słowa*, którą w kilka lat później złożył. Oddany swej twórczości literackiej, która po ogłoszeniu trylogii wyniosła go na czoło powieściopisarzy polskich, przebywa głównie w Warszawie i Zakopanem, często atoli odbywa podróże po kontynencie, a w r. 1891 podróżował także po Afryce, zwiedzając Egipt i Zanzibar. Utwory jego w ostatnich czasach zyskują coraz szerszy rozgłos w świecie, Sienkiewicz dziś jest znakomitością międzynarodową. Jako najbardziej może znany na świecie Polak korzysta ze swego stanowiska, aby w wypadkach wielkiej wagi zabierać głos imieniem Polski — a czyni to z taktem, powagą i siłą, budzącą u obcych szacunek, u swoich — najgłębszą wdzięczność. Otoczony miłością narodu, obchodził z końcem 1900 r. jubileusz twórczości literackiej. Wdzięczny naród ofiarował mu wówczas kawał ziemi w Lubelskiem, wieś Oblęgorek.

Pisma Sienkiewicza wyszły w zbiorowym (niezupełnym) wydaniu w Warszawie w XXXII tomach, osobno (1901) wyszły w 5 tomach *Pisma, nieobjęte wydaniem zbiorowym* powyższem. Co do wartości estetycznej utworów po Trylogię, zdanie powszechnie tak już jest ustalone, że zbyteczna tu się nad nią zastanawiać; rozbiór utworów następnych — w dalszych rozdziałach.

ROZDZIAŁ IX.

REAKCYA UCZUCIA. WALKA IDEI SPOŁECZNYCH.

Poezycy Boł. Czerwieńskiego. Spotęgowanie zwrotu przeciw ideom mieszczańskim i stańczykowski. Nauki społeczne rugują zamiłowanie do przyrodniczych. — Ruch ludowy w Galicyi. *Przegląd społeczny*. Zgłoszenie się konserwatyzmu po spadek pozytywistyczno-liberalny. Wsteczniectwo w Galicyi. Neo-konserwatyzm w Warszawie. Geneza i program neo-konserwatyzmu. — Wzmoczenie się uczuć patriotycznych. Rządy Hurki w Warszawie. Zaslugi Bismarka i jego polityki eksterminacyjnej. Rewizya programów. — *Głos* i ideał ludowy. Walka o ideał i lud. *Hasło* Maryana Bohusza. — Poezycy Jana Kasprowicza. Świeżość, rzeźkość, siła pierwiastku chłopskiego w jego twórczości. Lud, jako dźwignia przyszłości. Programowe *My i wy*. Poezycy wsi. — Rewolucya na gruzach romantyki. Napierski. — Sny młodości. Fr. Nowicki. — A. Niemojewski. Temperament polski. »Rozumni szaleńcy«. — Jeszcze apel do uczucia: *Szkice* Adama Szymańskiego.

Żywoty i dzieła.

Reakcyja uczucia przeciw ideom mieszczańskim podążyła logicznie nasamprzód w kierunku społecznym. Idee jej w Warszawie odbiły się w pierwszych utworach Konopnickiej. W Galicyi padły na grunt polityczny, w serce jednostki o wątłym artyzmie, która jednak chwilami zdobywała się na szczerłość i entuzjazm. A gdzie one przemawiają, jest i poezycy.

Bolesław Czerwieński szedł długo udeptanemi drogami muzy lwowskiej, pisząc utwory w deklamacyjno-krotnym stylu epigonów romantyzmu, lub wiersze humorystyczne, stojące na wyżynie *Szczutka*. Rychło jednak wyeman-

cypował się i zaczął patrzeć na świat własnymi oczyma, schylać się ku nizinom i duszom prostych ludzi, by wyczuwać ich serc bicie. To, co życie mu przyniosło, o całe piekło różni się od konwencyonalnych, religijno-patryotycznych okrucichów retorycznych, zawartych w pierwszej części *Poezji* (1881). W drugiej części tego tomu szuka poeta swych bohaterów *w szynkowni*; wychylają oni kieliszek po kieliszku, niedalecy są brutalstw i wybuchów, ale dlatego, że muszą zalać robaka, aby zapomnieć krzywd indywidualnych, będących wynikiem na krzywdzie opartego ustroju społecznego. Stare dzieje, ojciec proletaryusz, córka przystojna wpada w oko paniczowi — awantura, dla proletaryusza więzienie, dla dziewczyny hańba... I pod względem kulturowym są nędzarze ofiarami. *Rozmowę* prowadzi arystokrata duchowy, a przede wszystkim pieniądze, z biedakiem. Pierwszy zachwyca się czarami natury, drugi woła:

Cóż mię piękność świata obchodzi —
Ja nie mam chleba!

Antyteza ta ciągle się powtarza. Esteta pełen jest zachwytu na wspomnienie dzieł sztuki, podnoszących umysł, uszlachetniających serce — drugi myśli, ile za piękne te obrazy byłoby chleba. Przeciwnieństwo się zaostrza, przedstawiciel stanu posiadającego mówi z entuzjazmem o bohaterach, o chwale narodu, a gdy nędzarcz słuca obojętnie, wybucha oskarżeniem:

Ty drwisz, wyrodny tej ziemi synu!
Ludu, to zdrajca, zdrajcy niech giną!

A proletaryusz odpowiada:

Panowie, moją jedyną winą
że nie mam chleba!

Gorycz poety wzbiera... Przypomina światu Golgotę. I tam słyszemy słowa mędrców, faryzeuszy i bogaczy, zupełnie po-

dobne do doktryn dzisiejszych uczonych oficjalnych i bankierów — a przecie

Błysnęło światło wśród dusznej ciemnicy,
Apostołami byli robotnicy...

Na nich, na ludzie chce opierać kościół przyszłości. Przypomina historię o trzech braciach (1881), z których dwaj byli przez ojca psuci, pieszczeni, uprzywilejowani, otrzymali odeń całe królestwo, trzeci był kopciuszkiem. Wszelako — w ciężkim terminie, gdy ojciec znalazł się w pętach — ów wzgardzony i sponiewierany, jedyny zdobył się na czyn bohaterski. Gorycz poety wzbiera. Lud jego krystalizuje się, jako nowoczesny robotnik, o odrębnej klasowości, dźwigający własny krwawy sztandar...

Tu kończy się poezja pisana — zaczyna się życie, kipi dalej owa walka interesów i kierunków klas i form społecznych, której pierwsze stadya widzieliśmy około r. 1880. W następujących latach reakcja przeciw mieszczaństwu i ideom mieszczańskim w Królestwie, przeciw panującym stosunkom w Galicyi znacznie spotężniała. Coraz większe szmaty ziemi w Królestwie okrywały się dymem kominów fabrycznych, w łono tej ziemi coraz głębiej wżerały się oskardy górników — na powierzchni rosła liczba niezadowolonych. Tryumfy przemysłu krajowego, notującego coraz wspanialsze zdobycze ekonomiczne, mąciły się zgrzytem opozycyjnych haseł — nieraz i czynów krwawych. Myśl, zadowolona z siebie — uczucie zrezygnowane poprzednich pozytywistów, burzyły się coraz głośniejszym protestem. Typ młodego człowieka ulegał dalej głębszemu przemianom. Nastął czas absolutnego prawie panowania nauk społecznych. Przed kilkunastu laty synonimem „postępu“ były nauki przyrodnicze, teraz w kął poszedł Darwin — bogiem stał się Marx, zamiast Büchnera zaczęto gorączkowo tłumaczyć i studyować Lassalla. Z horyzontu znikli Ochorowicz i inni popularyzatorzy nauk przyrodniczo-filozoficznych, nad umysłami

zaczęli panować inni; w *Przeglądzie Tygodniowym*, w *Prawdzie*, *Fortunie* (1885), *Wędrowcu* ukazują się po r. 1880 nieznanne dotychczas nazwiska; St. Krusiński, Edw. Przewóski, J. K. Potocki (Maryan Bohusz), J. L. Popławski, Z. Heryng popularyzują ekonomię, socyologię, etnografię, wszystkie działy nowoczesnych nauk społecznych, niebawem przyłączy się do nich najwykształceńszy i najwytrwalszy z popularyzatorów, Ludwik Krzywicki. Tosamo dzieje się w Galicyi. Tu stosunki życiowe coraz bardziej się pogarszają. Nędza i ciemnota zamiast się zmniejszać, robią przerażające postępy. W r. 1888 ujął je St. Szczepanowski w cyfry — i społeczeństwo się przeraziło. Nędza ta i ciemnota były silniejsze, niż najpiękniejsze frazesy o pracy organicznej staniczyków i wzniosłe marzenia epigonów romantyzmu we Lwowie. Lud kmiący, który miał Polskę dźwignąć swemi plecami, tak mało miał zaufania do starszej braci i ideałów, iż na Wielkanoc 1886 roku zaczął się nagle burzyć; całą zachodnią część kraju przeszła panika, zapanowała obawa powtórzenia się wypadków z r. 1846; po dwudziestu latach autonomii mazur uwierzył, że panowie chcą przywrócić pańszczyznę, że na Rezurekcyę mają wysadzić kościoły ze zgromadzonym ludem w powietrze, że nadchodzi koniec świata etc. Na tem tle maluje się coraz wybitniej między inteligencyą i młodzieżą ruch radykalny; w połowie lat osmdziesiątych budzi się we Lwowie ruch robotniczy; równocześnie ks. Stojałowski z propagatora kółek rolniczych i ultramontanizmu przemienia się w działacza politycznego. Bol. Wystouch zaczyna wydawać (1886) *Przegląd społeczny*, z którego idei i działalności za kilka lat miało się rozwinąć silne stronnictwo ludowe. Silnie wrzał ruch radykalny młodzieży polskiej zagranicą. Różniąc się między sobą co do kierunków i dążeń, jednostki te i grupy miały jeden wspólny łącznik: akceptując — z wyjątkiem Stojałowskiego — w nauce pozytywizm, zrywały z nim radykalnie we wszystkich dziedzinach życia czynnego. Pozytywizm, jako indywidualizm mieszczański lub szlachecki

w polityce, jako „praca organiczna“ w gospodarstwie jest na całej linii przedmiotem namiętnych, gwałtownych ataków. Coraz silniejszy ruch z dołu przeciwstawia mu hasło, najrozmaiciej zresztą rozumiane: lud...

Z drugiej strony występuje specjalnie przeciw „pozytywizmowi“ w warszawskim rozumieniu słowa, przeciw ideom mieszczańskim i wolnomyślnym, coraz śmielsza reakcja wsteczna, konserwatywna. Społeczeństwo doszło poprostu do tego stanu, w którym klasa średnia, opinia umiarkowana, ustępuje coraz częściej prądom skrajnym. Zbyt wieloma interesami złączona z mieszczaństwem, aby przeciw niemu wystąpić, szlachta w kilka lat po proteście „z dołu“ zaczyna także energicznie zwalczać „pozytywizm i jego przedstawicieli.“ Wyłonił się kierunek „neokonserwatywny,“ niedołączna kopia ruchu chrześcijańsko-socjalnego, który po r. 1880 w wielu państwach zachodnich zgłosił się o spadek po liberalizmie i mieszczaństwie, z fiaszeczką „oleju socjalnego“ na rany społeczeństwa — u nas ze specjalnem zabarwieniem szlacheckiem.

Występuje ta reakcja, spekulująca na uczucia, równocześnie na kilku punktach. W r. 1884 jezuici w Krakowie przygotowują wydawnictwo nowego czasopisma: *Przegląd powszechny*, Ludwik Maślowski wydaje we Lwowie *Listy do przyjaciela* i kręci w nich — szczęściem ze słów tylko — stryczek na idee postępowe, których wczoraj był gorącym wyznawcą; w r. 1883 zaczyna w Warszawie wychodzić pierwszy organ antysemitki *Rola*, zakłada się dziennik *Słowo*, który wraz z ex-pozytywistyczną *Niwą* przemienia się w główną kwartę neo-konserwatyizmu. Zyg. Sumiński, Wł. Olędzki, Mściśław Godlewski i najkrzykliwszy, najwięcej na polu literatury czynny T. J. Choiński rozwijają żywą agitację publicystyczną, głównie negatywną, zdążającą do podkopywania przeciwników. W jakim kierunku? co właściwie wnieśli nowego? „W część politycznej — pisze Choiński — postanowiono liczyć się z dokonanyimi faktami, nie bawić się w tz. wielką politykę, praco-

wać na drodze spokojnej, legalnej, nie tracąc jednak poczucia naszej narodowej historycznej i cywilizacyjnej odrębności.

„W dziale polityki wewnętrznej zamierzali młodzi konserwatyści wpłynąć na usunięcie zniechęcenia, jakie zapanowało w kraju po r. 1863 i podawać środki jak najobszerniejszego wyzyskania istniejących warunków.

„Wbrew postępowcom, którzy dążyli w myśl liberalizmu zachodniego do odjęcia szlachcie jej historycznego znaczenia, a postawienie na jej miejsce mieszczaństwa, uznali młodzi konserwatyści zmianę istniejących u nas dotąd warstw społecznych między sobą za niewłaściwą, za przedwczesną“...

Więc lojalizm — praca organiczna — hegemonia szlachecka. Wszystko to oblane frazesami o „bankructwie wiedzy“, o potrzebie „tolerancyi“ wyznaniowej w ogólności a „obrony“ katolicyzmu „gdyby okoliczności... zmusiły,“ o świętościach tradycji, uczuć i ideałów etc. I do obrony takich okopów wywołuje się cienie Skrzetuskich i Kmiciców!

Reakcja więc szlachecka, jako sztandar nosząca nazwisko Sienkiewicza, reakcja wsteczna, chcąca cofnąć bieg dziejów, nie okazująca ani serca, ani myśli dla ideałów narodów i doli milionów ludu pracującego. Reakcja egoistycznie kłócąca się o dywidendę społeczną z bogatym mieszczaństwem, aby się prędzej czy później z niem pogodzić, a istotnie bardziej, niż kierunki ludowe zacieśniona do bram jednej dzielnicy, do interesów jednej kasty, bez tendencji, obejmujących naród, jako całość.

Wkrótce i uczucia patriotyczne zapłonęły jasno.

Dreszcze drobne, które w latach ostatnich przebiegają naród, stają się głębsze, zaczynają wstrząsać całym organizmem narodowym. Obudził się on z odrętwienia — bodaj przez ruch socjalny, uczucia w nim zagrały, wrażliwość zaostrzyła. A życie tymczasem zaczęło w jego duszę godzić ciosami tak ciężkimi, że do reszty musiał się zerwać z uspienia, poczuć swą niewolę, poczuć swą samowiedzę narodową...

W Warszawie rządził od r. 1883 Hurko z małżonką

swą Maryą Andrejewną. Oni na zamku, Jankulio w cenzurze, Apuchtin w szkolnictwie zaczęli — po łagodnym Albedyńskim — nanowo tępić polskość wszystkimi zaostrzonymi środkami przemocy, brudu i barbarzyństwa; jęk dławionej Litwy, gołębi wyraz błagalny męczonogo Podlasia musiały coraz silniej wstrząsać każdym sercem polskiem. Najwięcej jednak przyczynił się do rozbudzenia uczuć wszechpolskich ów szatan dziejowy, który — jak w *Fauście* — pragnąc złego — stwarza dobro: Bismark. W r. 1885 szął jego antypolski dosięgnął zenitu. Z pośród narodu myślicieli i poetów padło hasło: *ausrotten!* ciało parlamentarne rzuciło całemu narodowi w twarz prawa wyjątkowe, uchwaliło olbrzymi fundusz dla wypierania ludności polskiej z odwiecznych jej siedzib — równocześnie zaczęto drogą administracyjną dziesiątki tysięcy ludzi pracy, starców, chorych, kobiety, dzieci, wypędzać z ziemi Piasta zato, że między swymi — swoim mówią językiem. To niestychane w dziejach nowożytnych barbarzyństwo, ta wojna z całym wyrachowaniem i okrucieństwem wydane narodowi — w całym też narodzie wywołała jeden dreszcz i krzyk jeden, po którym znowu wszyscy się poznali, że są braćmi. Odpadać od tego narodu zaczęły przeważnie członki, które dotąd należały do opiekunów jego i starszej braci. A gdy w śmiertelnym tym boju, gdzie każda piędź ziemi jest drogą, coraz gęściej w objęcia komisji kolonizacyjnej zmykała wielka własność szlachecka, żegnana piekielną ironią Bismarka: idźcie do Monaco! a ostawały się tylko harde i niezniszczalne „placówki“ chłopskie, musiał w wielu umysłach stosunek szlachty i inteligencji do ludu stanąć w świetle problemu nie tylko ekonomiczno-socjalnego.

Poruszyła się głąb duszy narodowej. Nie mogły wystarczyć idee Sienkiewicza, wskazujące na bohaterów przeszłości, nie mógł wystarczyć program pozytywistyczny, zamknięty w formule ekonomiczno-kulturalnej, okazała się potrzeba pójścia w głąb i naprzód. W nowozałożonym *Głosie* warszawskim (1886)

J. L. Popławski zaczął rozwijać syntetyczny program, zdążający przedewszystkiem do utrzymania bytu narodowego, co — podług niego — było możliwem tylko przez opieranie losu narodu na barkach niezniszczalnej potęgi ludu; interesy wszystkich warstw społecznych muszą być podporządkowane interesom ludu, inteligencya, kultura narodu powinna wrócić do swego źródła: do duszy ludu, do kultury jego, którą Popławski uważał za odrębną, samodzielną.

Zawrzała pamiętna, gorąca polemika. Przeciw „złudzeniom“ Popławskiego wystąpił najsilniej Ludwik Krzywicki; uzbrojony w całą wiedzę socyologiczną swego czasu dowodził, że program ten, to odnowione chłopomanstwo, ignorancya faktycznych stosunków, wykazujących także wśród „ludu“ przeciwieństwa klasowe i mających tendencję do rozwoju na modłę zachodnio-europejską, która w dziejowym swym pochodzie wysuwa coraz wyższe formy bytowania, coraz większą sumę sprawiedliwości dla jednostek i narodów, wiedzę i kulturę potężną. Umysły się rozogniły — pod tą dyskusją kryła się poraz pierwszy od dawna walka o rozumienie, hasła i cele patriotyzmu, walka o Polskę. Teoretycznie dyskusya nie została rozstrzygnięta, ale w świadomości postępowych warstw społeczeństwa wyrobiła się jedna wiara, jedna nadzieja: lud. Najrozmaiciej rozumiana, znalazła się synteza upragniona, słowo związane a silne, jak znak i rozkaz. Przytłumione przez unikający dalekich planów pozytywizm idee o Polsce tętniły znowu w sercach, słowo: lud znów było na ustach. Prus czyni chłopą jedyną *Placówką* narodową, Orzeszkowa ludowi niebawem poświęci epopeję. Przedmiot współczucia i umiłowania czysto społecznego u Konopnickiej, dość niewyraźny proletaryusz Czerwieńskiego, obecnie występuje jako program polski. Pod wrażeniem zajęć strasznych w Poznańskim, rejterady szlacheckiej i urągającej potopowi duszy chłopskiej, pisze Marjan Bohusz (w programowym numerze *Głosu* 1886):

NASZE HASŁO.

Co judaszowem złotem się splamiło,
Co kainową się zboczyło zdradą,
Na czem złe duchy swoją pieczęć kładą,
Dziś przeminęło już i w grobach zgniło.

A kiedy myśl twą widma te porzucą,
Kiedy ci chmura wspomnień zejdzie z czoła,
I pomkniesz wzrokiem tam, gdzie drzemią siola,
Gdzie bory jęczą i skowronki nuca;

A kiedy ujrzysz, jak na głos śpiewania,
Wychodzą z wiosek ludzie het na pola,
A gdy zobaczysz, jak im czarna rola
Sama się kłosem ciężkim do nóg kłania.

I gdy postyszysz, jakich pieszczot słowo
I jaką miłość mają dla niej oni,
Wtedy skowronek może ci wydzwoni
I nasze hasło, naszą wiarę nową...

Silniej w ten ton uderzył poznańczyk, Jan Kaspro-
wicz.

Poezye jego zaczęły się pojawiać z początkiem lat ośm-
dziesiątych w postępowej prasie warszawskiej i zdawały się
wnosić do literatury pierwiastek świeży, odrębny, wielki, nie-
tylko jako odbicie indywidualności poetyckiej, lecz typu: chłop
zdawał się z nim wchodzić do literatury, nie literat wielko-
miejski o przerosłym mózgu i przeczulonych nerwach, czer-
piący idee z książek, a życie z fantazyi — lecz chłop, chłop
prawdziwy, ciężki i nieokrzesany w ruchach, mimo nauki
i ogłady ze szkół wyniesionej — niezdolny wyrażać się po-
toczyściej i subtelniej, o fantazyi ciężkiej, zbyt przykutej do
ziemi, o inteligencji prostej, pozbawionej wdzięku, wykwintu,
złożoności starej kultury, chłop zato wolny też od słabości, od
zdenerwowania salonowców, od szarżyzny teoretyków, w sze-
rokiej piersi noszący potężny dech matki-ziemi, z którą wszy-
stkie jego nerwy związane...

W rzeczywistości była to natura bardziej skomplikowana, niż się zdawało, nosząca w sobie składniki wszystkich idei, wszystkich światopoglądów, które były w powietrzu, i mocująca się z nimi, aby wyzwolić własną, osobistą i rasową indywidualność. Czuć w nim głębię, w której bezustannie kotłuje, kipi, przewala się — on nie jest panem, by te wrzące kruszce w jednolite szlachetne stopić dzieło. Duch górny i chmurny niedobrze się czuje w okowach ciasnej terażniejszości i nietyle na skrzydłach fantazyi, ile myśli pracującej i dyalektyki podąża, gdzie

za mglistą pozorów zasłoną
Kryje się wielki posąg granitowy....

aby spaść znowu w sam wir życia, w sam środek tłumów, dyszących walką krwawą — walką dnia. Kasprowicz chwytą wtedy chorągiew bojową i unosi ją wysoko — z dumnym wyzwaniem: *My i wy*. Ale i to wyzwanie nie płynie mu prosto z serca, nie jest krzykiem rozbudzonej nagle duszy ludowej, prostym i szczerym — dużo tu mędrkowania, dużo płynącego z charakteru czasu racjonalizmu. Woła więc

O tak, my cenim piękno, lecz z rozsądkiem
Pierścieniem ślubów połączone szczytnych;
Zawsze w ślad idąc za życiowym wątkiem,
Nie rozumiemy kształtów niepochwytnych...

Powoli jednak rozgrzewa się, rozpała go ogień walki:

O tak, my cenim piękno, lecz ze życiem
W nierozzerwalnej będącej harmonii,
Za romantyzmem nie gonimy kwieciami
I egzotycznej nie pragniemy woni,
Nasza poezya — echem cierpień ludów,
Pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni.
Nasza poezya bez wizyj i cudów
Dzisiaj pobudką do czynów i męstwa
A jutro — jutro oddźwiękiem zwycięstwa.

Ta nuta bojowa także dziwne ma tony... Zimno, wymuszonym huczy patosem, gdy idzie na szerokie rozłogi ludzkości, gdy ma śpiewać z duszy Giordana Bruna lub walczących Arymana i Ormuzda — dzwoni zaś szczerością i potęgą, gdy płynie z serca polskiego, z serca ludu, z serca poznańczyka. Poeta rośnie wtedy, skupia w sobie uczucia olbrzymiego odłamu rówieśników, bije z serca tysięcznej braci hymnem wiary:

Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą.
Jak ta w popiele skra ukryta...

W lud ten wierzy, lud polski jest dlań „święty“ — choć bynajmniej nie idealizowany. Wychowanek okresu pozytywnego nie daje się unosić uczuciu, patrzy nań trzeźwo — widzi przed sobą pole ogromne, zachwaszczone dziką roślinnością, nieraz zatrutą, gorzką... Pesymizm targa duszą, dostrzega zbrodnię, upadek, słyszy że Cham i Jafet nie są braćmi, odczuwa niedolę najmitów, spostrzegą rdzę na sercach najbliższych... Ale ukojenie w nie wstępuje, skoro się znajdzie wśród swoich — na wsi...

Tam za wioską — przyjm, Ojczy nasz, dzięki!
Jak pszeniczne kołyszają się łany!
Żyto, jęczmień i owies złotawy
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Na duszę splywa poezja bytu chłopskiego, poezja wsi polskiej; pogrąży się ona w kontemplacją tych drogich widoków — i poezja szczerza z niej też płynie:

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach;
Za chatami krępy sad wiśniowy;
Wierzyby siwe poschyły głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.

Płot się wali, piotun na podwórkach;
Tu rzą konie, ryczą chude krowy;
Tam się wije dziewczek wieniec zdrowy
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy proste, jak wy bez rozkoszy!

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!

.

Ta dusza głęboko-chłopska mało występuje w pierwszych poezjach Kasprowicza; nie był to czas zapuszczania się w tajnie swe wewnętrzne, gdy życie wołało do boju, gdy poeta, jako najsilniej czujący, musiał stawać w przedniej straży z tarczą w rękę i hasłem, lub komendą na ustach. Hasła te i komendy słyszymy też na każdym kroku — wulkan społeczny wyrzuca ze swych głębi grzmoty i ognie.

Wyrasta pokolenie harde, wojownicze, mierzące znowu siły na zamiary a czyni siłą swej poezji.

Napierski — dusza refleksyjna, przerabia ciągle procesy swej świadomości, pragnie wizję jutra złączyć z duchem wielkiej romantyki narodowej. Znać na nim błądność abstrakcyjnego myślenia, brak impulsywności, pasowanie się myśli, z których nareszcie wypada piorun krwawy... Spowiedź jego — to głos młodej ówczesnej Warszawy na gruzach pozytywizmu, lecz także na gruzach gmachu romantyki:

Myśmy rajów nie śnili,
Myśmy wiosny nie znali;
My w kołysce już byli,
Jako starcy zgrzybiali...

Z senliwych tych rozmyślań budzi go zmieszane echo pieśni... Nie pieśni życia, lecz gromkich melodij ludu pol-

skiego, nie bezpośrednie odczucie ziemi, krzywd jej, bólów i szarpnięć, lecz suggestya intelektualna:

I na krwią przesiąkłej roli,
Strasznej — niby też dolina
W kirze nędzy i niewoli
Trójrozdarta, trójjedyna —
Oto z grobu wyszła żywa
Nasza matka boleściwa.

Wstała pokutnica, zmiażdżona winami własnymi, ale zawsze wielka i święta, zawsze matka:

Mój wybraniec, com mu krew mych żył,
Com mu wszystkie dała aureole,
Był grabarzem mego życia — był
Tym kowalem, co kuł mą niewolę!

Drugi syn mój znał jedynie cień
I twarz jego była mi przekłeta,
Lecz zeń wejdzie życie moje — zeń
Wyjdzie zar, co stopi moje pęta!

Niechaj wstanie ten Masławów lud,
Niechaj wstanie legion Bartoszków!
Niechaj zahuczy, jako rozlew wód
Pod czerwoną chorągwią rokoszów!

Inni młodzi — są więcej młodością, temperamentem, życiem. W Galicyi prą się do czynu, do przebicia ściany, dzielącej myśl od jej realizacyi. W roku 1890 wchodzi na arenę w Krakowie całe grono podobnych zapasników, grupując się koło *Ogniska**). Spowite jeszcze w mgławice studenckie, z których potem różne miały powstać krystalizacye życiowe, pa-

*) Ruch ówczesny umysłów i tendencye *Ogniska* prof. Chmielowski niestusznie łączy »z odcieniem kosmopolitycznym« (Zarys najnowszej literatury, wyd. IV, str. 199). Piszący te słowa usiłował ruch ten, ujęty, jako walkę »młodych ze starymi« przedstawić z historyczną prawie wiernością w powieści *Nowi ludzie* (2 t. Kraków, 1895).

łają jedną żądzą, jedną tęsknotą, jedną namiętnością. I skarży się ona ustami Fr. Nowickiego na dołę swoją — na dołę wczorajszą słowami, pełnemi goryczy:

Cóż nam zostało? .. ruiny, zwaliska,
Niewiara w wszystko, a nawet w niewiarę.
Życie bez celu puste, błędne koła
I to szyderstwo, co lodem przyciska
Dwudziestoletnie nasze serca stare,
Dwudziestoletnie zmęczone już czoła.

Dziś młodość ziewa u bramy żywota
Taka rozumna, zgrzybiała, znudzona —
Zgaszono przed nią blask wszystkich gwiazd dawnych...

Lecz amputowane skrzydła odrastają, „zlepione błotem“
zrywają się z „gniazda szaroty“... I

...cóż my winni, że z błota i kału
Wciąż z feniksovym uporem powstajem
Gdy zimny rozum zbyt nam pierś ochłodzi —
I tęskni serca, pędu, wiru, szалу,
Płomiennym nurtom świata nieść się dajem —
Cóżemy winni, że jesteśmy młodzi?

Z wichrową siłą młodości poeta odrywa się od dnia
wczorajszego i leci tam, gdzie także jest młodość żywiołowa,
entuzjastyczna. Nie tam gdzie

Spi Rzym krakowski, spi stu wież stolica
Marami przeszłości ostoniwszy lica...

wzorem *Heraklesa* Asnyka, do Syzyfa porównywa poeta lud
swój — tego „chama wzgardzonego“ tego „praojca dziejów
i kultury“. Z cieniów wywołuje Spartakusa, który z rodu nie-
wolnik — Prometeusz myślą, mieczem wydzwania „koniec nie-

doli wzgardzonego gminu“ z nad krateru Wezuwiusza, z nad krateru, będącego symbolem także dla naszej epoki.

...Bo tym kraterem jest tłum bezimienny,
Tłum nieśmiertelny — odarty i głodny...

i rozumny szaleń, na skrzydłach entuzjazmu, nie znającego zapór i niemożliwości, widzi tryumf młodych nad wszystkim co stare i zgniłe...

Uczucie uspołecznione jest jedynym pryzmatem, przez który Nowicki na świat spogląda. W Tatrach, które opiewał po mistrzowsku, umie widzieć piękno i majestat, ale przede wszystkim widzi tam „swobody ołtarze“. „Olbrzym — lud biedny mej ziemi“ towarzyszy mu we snach i na sali balowej; dzwoni w jego pieśni nuta miłosna, ale gdy tancerka szepce: tyś mój! jego dolatuje głos czerni także wołający: tyś mój!

Tasama młodzieńczość studencka, bujniejszym jeszcze obdarzona temperamentem, młodość górna i chmurna, ale też junacka, pełna fantazyi kawalerskiej, dźwięczy i szumi i tętni w rówieśniku i towarzyszu Nowickiego z *Ogniska* — w poezjach *Andrzeja Niemcewskiego*. On nie stoi ponad ludem, jak Czerwieński, Nowicki, on jest nim, jest częścią rdzenia narodowego, jego temperamentu, skłonności, natury polskiej. Niemojewski od pierwszego swego występu uderza animuszem, rozmachem iście szlacheckim, ale skąpanym w morzu doświadczeń wieku dziewiętnastego, w morzu krzywd narodowych i łez ludowych. Mimo to huczna i buńczuczna fantazyja go nie opuszcza; ze wszystkich społeczników jest on najmniej abstrakcyjnym i teoretyzującym, a najwięcej przemawia — sztuką krzyżową. Pierwsze słowa, które nas witają w pierwszym tomie jego *Poezji* (1880), to

Pójdź, mój kiju, druhu stary
Przemierzmy glob dokoła...

Kryterium nie głębokie, wzięte w polocie niezbyt wysokim, ale pełne impetu-temperamentu...

Z cyrklem w rękę, z chłodem w duszy,
W togach, których nie uznaję,
Przyszli, jeśli mierzyć ziemię
I orzekli, że jest rajem

.....
Do stu gromów, bomb, kartaczy —
Nam wypada coś inaczej —

.....
Bo my mamy głupi narów
Że świat mierzym szczęściem ludów!

I uderzony kłamstwem „pomiarów“ odwraca się ze
wzgardą od hasel i ideałów najbliższej przeszłości:

Choć my tak trzeźwi, a jednak w duszy
Jakiś dysonans harmonię głuszy:
Cóż, że rozsądek hołdować przestał
Głupim przesądom minionych dziei,
Gdy wasze serce jest jak piedestał,
Z którego runął posąg nadziei.

A więc? a więc?

Bądźcie mniej trzeźwi, więcej szaleni!

„Rozumni szalem“!

I oto znowu jesteśmy u źródła, z którego wyszła cała
polska poezja XIX wieku, wróciliśmy do romantyzmu, ale jak
przekształconego! Mickiewicz raz tylko oskarżał srogiego szla-
chcica: nie miałeś litości, panie! obecnie oskarża się całe po-
kolenie, całą reprezentację narodu. Znikł świat fantastyczny,
świat wizyj i cudów — żaden z młodych poetów nie jest
fantastą, żaden nie jest mistykiem; pozytywizm ze swą wiedzą
krytyczną wycisnął na nich piętno niezatarte; nie do sfery
duchów prowadzi nas poezja, lecz do chat chłopskich i nor
piwnicznych; nie do podziemi kordyanowskich — do innych
podziemi prowadzi nas Niemojewski, gdzie nad czarnym dya-
mentem tysiące pochyla się postaci, zgarbionych pracą, ale

i nędzą, oblanych potem, ale i wzdardą, wydobywając węgiel, który im samym płuca także w węgiel przemienia, a innym przemienia się w złoto...

Zmienił się zupełnie charakter pokolenia. Górne i chmurne — gdy poprzednie chodziło tylko po ziemi z zadowoleniem mieszczańskim; posępne i groźne, ale pełne też miłości bezbrzeżnej; nie wierzące w niebo, dalekie od absolutu, wierzące zato silnie i dokumentujące czynami, że — jak śpiewał Nowicki — „młodości serca i ofiar potrzeba“; wznoszące sztandar nieraz krwawy, ale targające też okowy Polski...

Przypadkowo tylko, a jednak jakby na mocy jakiejś logiki wewnętrznej pojawia się także o tej porze książka, która wstrząsa silnie duszami polskimi, otwiera w nich źródła głębokiego rozrzewnienia, dreszcze rozpamiętywań, ogień patryotyczny.

Szkice Adama Szymańskiego (od 1886) robiły wrażenie owych pieśni, śpiewanych przez wygnańców za sprawę oczyszczą nad rzekami Babilonu. Śpiewa w nich żałość bezmierna i tęsknota bez granic. W chwili gdy społeczeństwo zapuszcza wzrok w głąb swoich losów, gdy jedni upajają się śpiewem rycerskim, inni — ludowym, on zaśpiewał pieśń inną — przywołującą na myśl owe pochody Grottgerowskie i Anhellego, pieśń o ziemi dalekiej a przecie tak bliskiej, o świecie tajni bezbrzeżnej, gdzie panuje groza wiecznej zimy i gra „okropna muzyka mrozu“: I myśl poleciała w świat ten obcy, a przecie nieobcy.

...„Gęsta mgła śnieżnych kryształów, jak chmura, zawisła nad ziemią. Z poza mgławicy tej nie wyzierało już słońce; ale chociaż na ulicy żywej duszy nie było, powietrze, niepomiernie od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, to huk rozsadzanych w ścianach domów, grubych bierwion, lub pękającej szerokimi szczelinami ziemi, to podobny do jęku żałosny śpiew jakuta... Zaczynały się owe mrozy jakuckie, wobec których błędną najokropniejszą zimną biegunową, wobec których

strach jakiś niewypowiedziany ogarnia człowieka, a każdy organizm żywy, czując swą niemoc zupełną, choć skupia się w sobie i kurczy, jak pies znędzniały, otoczony zgrają ciętych brytanów, wie dobrze, że to napróżno...“

I ze strasznej tej atmosfery myśl wyrывa się, jak ptak więziony,

do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem.

Duszę polską bierze w swe szpony żrąca bezdenna tęsknota...

Bolesław Czerwieński, urodz. we Lwowie 3 kwietnia 1845. Po studiach filozoficznych brał z końcem lat siedmdziesiątych udział w ruchu robotniczym i napisał a właściwie przerobił z francuskiego jego marsyliankę, *Czerwony sztandar*. Umarł, jako współredaktor *Kurjera lwowskiego* 8 kwietnia 1888 r. *Poezye* (1888) bardzo średniej miary; pierwsza część — frazeologiczno-patriotyczna, druga śpiewa dołę helotów bez wielkiej siły lub oryginalności. Wielkie zalety ma posiadać dramat *Niewolnik* (1882), zakazany przez cenzurę teatralną. Napisał kilka nowel (*Różka*, *Tragedye w koszarach*), poemat deklamatorski *Uczony* i rzecz o *Odzie do młodości*. Gdy w *Dwóch widzeniach* (1887) chciał poetycznie usymbolizować stosunek pracy do kapitału — siła twórcza była już zupełnie wyczerpana.

Maryan Bohusz (J. K. Potocki) jedna z napięniejszych i tragicznych postaci naszego ruchu umysłowego i społecznego lat ostatnich. Urodzony 16 listopada 1854 w Prużanach (Grodzieńskie) po ukończeniu uniw. warsz. był współpracownikiem głównie *Prawdy*, potem wraz z J. L. Popławskim założył i redagował *Głos*. Poezye drukował od r. 1880 w wielu czasopismach; nie odznaczając się oryginalnością twórczą, posiadają jednak silne zacięcie satyryczne i ton podniosły; zasługują na zbiorowe wydanie. W *Prawdzie* i *Głosie* umieścił też bezmiar rozpraw, studyów, fejletonów, przetłumaczył wielotomowy wybór dzieł Spencera itd. Za krzewienie uczuć patriotycznych, ze strony rządu na najtragiczniejsze wystawiony losy, zrujnowany na zdrowiu, za dumny, by żyć bez pracy, a bez możliwości pracowania — usunął się z widowni w jesieni 1889 r. Osobno wyszły próby jego uduchowienia socyologii: *Współzawodnictwo i współdziałanie* (1900), *O energii społecznej* (1900). Optakuje go Żeromski w *Ludziach bezdomnych*, »jako serce najbardziej czułe, serce na miarę niewidzianą i niesłychaną, spalone od uczuć wiecznych«.

Jan KasprówicZ urodz. 12 grudnia 1860 w Szymborku na Kujawach z rodziny chłopskiej. Studya odbywał na uniwersytecie lipskim i wrocławskim, za udział w ruchu ludowym na Śląsku odcierpiał 6 miesięcy więzienia pruskiego, od r. 1888 do 1900 pracował w redakcyi *Kuryera Lwowskiego*. Wydał *Poezye* (1889), *Chrystus* (1891), *Z chłopskiego zagonu* (1891), *Anima Lachrymans* (1894), *Miłość* (1894), *Krzak dzikiej róży* (1898), *Gińcemu światu* (1901); dramaty: *Świat się kończy* (proza: 1891), *Bunt Napierskiego* (1894), *Baśń nocy świętojańskiej* (1900). Przez całą twórczość Kasprówicza przewija się jedna silna nić indywidualności, choć koniec jej zupełnie inny niż u punktu wyjścia. Istotą jej: dusza chłopska, dusza głęboka, przesiąknięta wszystkimi głosami ziemi i natury, do której od wieków była przykuta, o fantazyi ciężkiej, umyśle niezbyt lotnym, uczuciowości spleątanej, przysypanej wszystkimi troskami dnia i godziny, często uśpionej, jak ta rola czarna, lecz w której bezustannie kiełkuje i kłębi się i przewala, w cichości, w mrokach, aby naraz, gdy dojrzeje we wstrząśnieniu, otworzyć się, wybuchnąć.

Bez śladu przeszedł po nim Słowacki, Asnyk, Konopnicka, nic sobie nie przyswoił z ich śpiewności, barw i wytwornej kultury; zamiast prostoty miał częstokroć prostactwo, zamiast harmonii kolorów — krzykliwe plamy (najulubiejszy jego kolor: siny), zamiast siły — brutalność. Formy, które sam stworzył — np. *Z fauny i flory naszej* najeżył kolcami i powygiął tak boleśnie, że każde zdanie jęczy, na torturach. Na każdym kroku czuć dysharmonię formy, która jest także wyrazem braku zharmonizowania w treści wewnętrznej duszy. Oto gdy instykt ciągnie poetę do swoich, do «świętego ludu polskiego», gdy oddając bezpośrednio uczucia tworzy rzeczy przeszliczne (w *Poezyach*, postać uwiedzionej dziewczyny w dramacie: *Świat się kończy*) — racjonalizm, wyływający z prądu chwili, każe mu pogrążyć się w rzeczywistości codziennej, malować lud podług metody naturalistycznej, prowadzącej w konsekwencji do zupełnej prozy, zniechęcenia, pesymizmu, jak wszelkie pogrążanie się w odmętach życia. W miarę oddalania się od pierwszego tomu *Poezyj*, gdzie wzruszają niektóre obrazy niedoli chłopskiej, mamy coraz głębszą galeryę chłopów, wyjętą wprost z *La terre* Zoli (*Z chłopskiego zagonu*).

Za to gdy poeta odnajduje siebie, tych kilka zasadniczych strun, które stanowią ton jego duszy, znajduje też odrazu formę dla siebie, znajduje harmonię. Arcydziełem Kasprówicza z tego czasu jest poemat *Chrystus*. K. jest z natury swej — jak wogóle chłop — religijny, w *Poezyach* głosi religię rozumu, nieszczerze atoli, po deklamatorsku, z uległości dla prądu chwili. Usposobienie jego pozostaje religijne nawet wówczas, gdy rozum nie wierzy — a może wówczas najwięcej. Z zespolenia tego usposobienia z gorącą miłością wszystkiego, co żyje i cierpi, z poczucia kontrastu między ideą Chrystusową a odbiciem jej w życiu — powstał jeden z najpotężniejszych poematów współczesnych. Wspa-

niałemi pisany tercynami, w pierwszych strofach odrazu przejmuje nutą wysokiego nastroju duszy:

W życia przeboju, ach! w życia rozterce
Jakże bezdenną grób przepaścią ziele,
Gdy gaśnie skra po iskierce;

Gdy znikające człek widzi nadzieje,
Kiedy na dążeń promieniste znicze
Noc swój ponury mrok leje..

Są wtedy duchy, co straszne gorycze
Chłoną z spokojem, co z przedziwną ciszą
Patrzą w rozpaczy oblicze...

Lecz są znów duchy, co gdy: nic! usłyszą,
Jęczą jak dęby, gdy dzikie wichury
Ich koronami kołyszą. —

Rwią się w rozpaczy, jak jodły, gdy bury
Grom w nie się wryje, gdy śmiercią szeleści
Las naokoło ponury.

I nieraz w niebo krzyk bluźnierczej treści
I krew rzucają z ropiejącej rany
By znów zamilknąć — w boleści...

Takim krzykiem jest cały poemat. W formie po mistrzowsku opanowanej, przechodzącej od sielanki dzieciństwa do szczytów grozy, słyszymy całą gamę »echa cierpień ludów« Pierwiastek ten uosabia Lucyfer. W wieku walk religijnych przedstawiał on wcielenie potężnego ducha, panującego w krainie zła i walczącego z Bogiem przez uszkodzenie jego tworem, we wieku walk filozoficznych Goethego i Byrona reprezentuje krytyczną lub sofistyczną myśl, wyzwalającą człowieka. W epoce społecznej wciela »pragnienie światła, chleba, wolnej dłoni«. Duch do wątpienia, pełen litości nad ludźmi i wiekami, co płyną »w przyszłość tę smutną, ach! w tę przyszłość bladą« i przyszłość tę stawia ciągle Chrystusowi przed oczy.. Marzącemu na puszczach o królestwie bożem, na ziemi ukazuje »chór fabrykantów i bankierów«, śpiewający: »Mamy Chryste! to królestwo Twoje!« — »Moje królestwo nie z tego świata« — odpowiada Chrystus. W tem Lucyfer ukazuje mu wijący się w bólach »chór najmitów«. Chrystus słowa swoje powtarza, a Lucyfer wybucha »— Zbawco! i dla tych odpowiedź tasama?« I tak głos jego krytyki wtóruje każdemu aktowi, każdej

obietnicy boskiej. Rozdziera najśodsze marzenia, nad duchem widzi zawsze tryumfującą bestyę i woła:

I ty zakończysz i inni zakończą
Milion po Tobie będzie siły łożył
A świat oprawców będzie psiarnią gończą
Bo złe wiecznem, bo złe... Bóg stworzył.

A gdy Ukrzyżowany ginie wśród udręczeń ze straszem na ustach zwątpieniem, Lucyfer wybucha krzykiem, do którego nie posunął się Mickiewicz, wkładający zresztą swe bluźnierstwo w usta dyabłów, do którego nie posunął się Wolter, Goethe, Byron, Mickiewicz. Wielkością negacyi każe mierzyć rozpacz z kontrastu między ideałem a rzeczywistością.

Utwór to wielki w założeniu — miejscami, o ile naturalizm nie przeszkadza w symbolizowaniu uczuć ogólnoludzkich i nie zgrzyta w formie — także w przeprowadzeniu. Jakby nić, łączącą tę dobę twórczości K—a z ostatnią, wysnuwa się z niej myśl, że złe jest wieczne, że złe Bóg stworzył...

Jakby wyczerpany tym wysiłkiem prometeizmu społecznego Kasprowicz występuje z grona bojowników — z latarką puszcza się w głębie własnego ducha; ze społecznika przeobraża się w indywidualistę.

N a p i e r s k i — pseudonim młodego poety, który rozwinąwszy następnie pierwiastki swej duchowości stał się jednym z najwybitniejszych przedstawicieli intelektualizmu. Poezycy drukował w paryskiej *Pobudce* (1888—1889); osobno przedruk: *Pogrobowcom* (1901).

F r a n c i s z e k N o w i c k i, ur. 29 stycznia 1864 w Krakowie. Drukował nowele w *Biesiadzie literackiej* z r. 1882—3, opis Tatr w *Świcie* z r. 1888 i poezycy, które pojawiały się w czasopismach od r. 1885, a w r. 1891 »nakładem autora« wyszły we Lwowie.

Poezycy jego są wyrazem entuzjazmu odłamu pokolenia, które około r. 1890 w Krakowie podjęło walkę za ideały ludowe. Grupowało się około pisma *Ogniska* i w ówczesnej C z y t e l n i a k a d e m i c k i e j, którą Nowicki prowadził. W walce tej »społeczeństwo« zwyciężyło przy pomocy relegacyj z uniwersytetu, sądu karnego etc. Jednostki złamano, idea pozostała. Nowicki prędko wyczerpany walką, objął obowiązki nauczyciela gimnazjalnego. Drukiem nic więcej nie ogłasza.

Poezycy (1890) wskazują na duszę bogatą, pełną młodzieńczego zapału, męskich akcentów (»Nie wolno płakać«) i głębokiego odczucia piękna. Jeden z pierwszych Nowicki malował Tatry, jakby z granitu kując swe sonety — *Obrazy pustyni*. Cykl zaś *Tragedye pustyni* przedstawia mistrzowski szereg wstrząsających żywiołów konfliktów tatrzańskich. A nigdzie nie opuszczają poety dwaj nieodłączni towarzysze — z zewnątrz: widmo ludu, a cień duszy: smutek...

Andrzej Niemojewski urodził się d. 23 stycznia 1864 w Rokitnicy. Po ukończeniu uniwersytetu w Dorpacie pracował przy przedsiębiorstwach górniczych w Sosnowicach, obecnie przebywa w Warszawie. Wydał: *Poezye* (1891), *Poezye prozą* (1891), *Poezye*, serya II (1893), *Majówka* (1895), z cyklu *Polonia Irredenta*: Podziemia, Łuny, Ziemia obiecana, W ciszy wiejskiej, Stolica, Ptaki burzy (1895—1896), *Listopad* (nowelle i impresye, 1896), *Wybór poezyj* (Warszawa, 1899), *Listy człowieka szalonego* (1900), *Prometeusz* (1900), *Bajka* (allegorya dramatyczna, 1900), dramaty: *Familia* (uwieczniona na konkursie *Kurj. Warsz.* 1899 pierwszą nagrodą) *Rokita* (1901); nareszcie *Polonia Irredenta* (wybór, 1901), *Legendy* chrystusowe (1902).

Będąc z natury swojej, nie mózgowo, demokratycznym, tj. najwięcej zbliżonym do duszy demosu polskiego, Niemojewski jest najbardziej między »młodymi« prostym, jasnym, skończonym w sobie. Liryki jego świadczą o ogromnej bezpośredniości i darze mówienia prosto z duszy; do niedawna spojony z łonem matki-ziemi jak lud, czuje żywo jej tchnienie i promienie. Nie ma więc w jego wierszach dreszczów, wstrząśnięć, pychy barw i dziwnych rysunków, przerozowania a nieraz wynaturzenia, jak u innych »modernistów«. Jest zato szczerłość i świeżość, trafiająca do najgłębszych, warstwami cywilizacji miejskiej i mózgowej przytoczonych instynktów. Owa prostolinijność duszy dozwoliła mu zbudować dramaty z życia ludu, silny i prosty, jak dramaty starożytnych; surowym swym nastrojem życiowym i moralnym przypomina potężne kreacje Tolstoja.

Poeta o takiej organizacji psychicznej nie będzie indywidualistą, wpa-trzonym w głębie i labirynty swojego ja; z całą intensywnością na bodźce świata zewnętrznego — jest stworzony na »społecznika«, gdy zaś ta główna tendencja natury stopi się harmonijnie z najgłębszym podkładem duszy własnej — duszy ludu: z temperamentem polskim, wówczas stworzy rzeczy w swoim rodzaju doskonałe. Arcydziełem Niemojewskiego w tym kierunku — jedną z pereł poezji polskiej jest *Branka*. W pieśni tej rekruta chłopskiego śpiewa lud cały, naród cały śpiewa. Cudowna w nastroju, bajeczna jako wyraz temperamentu polskiego, przechodzi powoli z obrazu rozhukanej karczmy w wizję narodu — przeszłości jego, niedoli czarnej jutra: dusza Polski otworzyła się, czujemy wszystkie jej łkania i rozpacz. A ten krótki urywany refren: »Jezus Marya! wódki żydzie — toż to idzie, toż to idzie!« powtarzając się ciągle, nadaje całości tempo gorączkowe, namiętne, wprawia w wir, hypnozę, porywa w coraz głębsze kręgi dantejskie. Najpiękniejszy tu dla siebie wyraz znalazł Niemojewski-społecznik, najczystsza przytem poezję, gdy w innych swych utworach często daje się unosić łatwej swej swadzie i potrzebie reagowania na bodźce wzruszeń i interesów życia zewnętrznego — co wytwarza ton nietyle gorący, ile deklamacyjny, nietyle idee, ile tendencje publicystyczne. Zamiłowania te osłabiają znaczenie cyklu: *Polonia Irredenta*,

gdzie charakter Niemojewskiego, jako śpiewaka walczącego stanu czwartego, występuje najwyraźniej, lubo nie najpoetyczniej. Z wielką plastyką i siłą, odtworzone tu *Podziemia*. Żywił ten — kopalnie węgla, Niemojewski pierwszy do poezji wprowadził — to jego zasługa; gdzie daje przemawiać samym obrazom pracy górników — wstrząsa, zazwyczaj jednak przypina im niepotrzebnie szczydła dydaktyki, by z tej wyżyny wygłaszać mowę agitatorską. Łatwa wymowa psuje też piękne nastrojowe krajobrazy *Listopada*, a w *Listach szalonego* przy sympatycznym entuzjazmie społecznym — każe być niesprawiedliwym dla sztuki i artystów współczesnych. Słusznie pisze Nietzsche, że nietyłe siła, ile trwałość wysokiego nastroju duszy tworzy poetę — Niemojewski z prawdziwie polską zapalnością zbytnio ślizga się po wierzchu zjawisk...

Ten temperament polski, z swym rytmem rozkołysanym, dźwięcznym, ognistym, ze swą skłonnością do szybkich syntez, do myślenia obrazami miast ściślejszych określeń odbija się też w formie. Płynie ona wartko, nie jak rzeka głęboka, lecz jak potok górski, czysty zato, przeźroczysty, z hukiem i szumem; słowa nie są tu wązkie, ani zdobne, a toczą się z muzycznym, nieco skocznym rytmem nawet wówczas, gdy treść ich pełna jest grozy i tragiki (*W dziesiątym pawilonie*). Z natury i życia pełnemi garściami bierze obrazy i porównania, a są one nie objawem stanów duszy, wyrażającej się wizjami barw i przedmiotów, lecz alegoryami, mającemi główną treść wiersza tylko popularyzować.

Las-kościół organem zaszumił przez liść,
Tłum cieniów gromadzi się w dali,
Noc-babka kościelna za chwilę ma przyjść
I gwiazdy na niebie zapali.
Wiatr lasu-zakrystyan omiata z drzew pył
I ołtarz ubiera we wieńce,
Już księżyc-ksiądz proboszcz, staruszek bez sił
Podąża by związać nam ręce.

Każdy obraz — alegorya, nie stan duszy. Czasem udaje się poecie rozpiąć tę alegoryę w wspaniałą obraz, obejmujący losy całej ludzkości. Znakomitym w tym kierunku utworem: *W wagonie*.

W ostatnich czasach twórczość Niemojewskiego zamiast w szerz idzie coraz bardziej w głąb. Rozwój to organiczny — nie uleganie modzie, bo wobec nacisku indywidualizmu Niemojewski pozostał sobą, niestrudzonym bardem ideałów społecznych. Odrywa je jednak od interesów dnia, szuka ich odbicia w tem, co wieczyste i ogólnoludzkie. Krokiem w tym kierunku jest dramat *Rokita*, próhą zwycięską, tryumfem nad niejedną dawną swą słabością,

są *Legнды*. Owiadnął poeta wszystkimi formami sztuki, a duch w nich jeden, wszędzie tensam chrobry i jutrzniany, co w owej wspaniałej, symbolicznej *Kuźnicy*:

Wrą koła w kuźnicy, dym czarny się kłębi
To biegun cyklopi chcą odkuć tam w głębi,
Drgnął w swoich posadach glob stary, nim runie,
Na nowym go oni zawieszą biegunie!

Wrą koła, zgrzytają zębami w pogoni,
Dym czarnym sztandarem olbrzymów twarz sioni.
Drżą ściany. Hej, śmiało, wy ludzkie kolosy,
Brak ognia? Rzucajcie pod kotły swe losy!

Wrą koła, żar pryska, robota szaleje,
Pod kotło rzucono ostatnie nadzieje...
Cyklopy, hej, śmiało! Do ognia z kolei
Rzucajcie swą rozpacz, gdy brakło nadziei!

Adam Szymański urodził się we wsi Hruszowie niedaleko Drohiczyzna w 1852 r. Ukończył wydział prawny w Uniwersyt. Warsz. w 1877 r.; w 1879 za udział w dążeniach do wywołania ruchu narodowego podczas wojny rosyjsko-tureckiej wysłany do Jakucka, przebywał tam, potem w innych miejscowościach Syberii do r. 1885.

Pracę literacką rozpoczął rozprawami i artykułami publicystycznymi, w r. 1882; w czasie pobytu w Syberii drukował w wydawnictwach Ces. Tow. geograficznego rozprawy naukowe, na podstawie których Petersburskie Tow. geograficzne wybrało go członkiem. W r. 1885 rozpoczął w *Kraju* druk *Szkiców*, których tom I. pojawił się 1886, II. — 1891 roku, następnie w kilku wydaniach. Zgnębiony nieszczęściami domowymi, niewiele potem pisał; drobne poezye, które drukował w czasopismach, i nowele pomniejszych (*Pan Antoni* 1894 w *Swiecie* i *N. Ref.*, *Jurdiuk Ustukus* 1900 w *Wiek*u i *Czasie*. *Uroczysta Wigilia* 1900 w *Słowie Polskiem*) świadczą o niesłabnącej sile talentu.

Od napisania przez Sienkiewicza *Latarnika* nikt nie dał tak silnego wyrazu tęsknocie ku tej, która jest »jak zdrowie«, jak Szymański swymi utworami: *Srul z Lubartowa* i *Dwie modlitwy*. Środki jego artystyczne są bardzo proste. Ulubioną jego formą opowiadanie, przeplatane gęsto refleksją, uwagami autora, i opisami o niepospolitej nieraz plastyce (opis ziemi, jęczącej w uścisku mrozu!); przygotowuje nas tym nastrojem i wtenczas — zamiast rozkładać uczucie na liryzm, miast cieniować, jak autor *Latarnika* — rzuca zwrot, obraz pojedynczy, potężny siłą skoncentrowanego

bolu, długo tłumionej, jak krew z otwartej rany buchającej tęsknoty. Tak otwiera przed nami głęb duszy biednego, ordynarnego żydka, w której szamoce się nieświadoma swego istnienia miłość, tak targa naszymi uczuciami obrazem owych sześciu skazańców — ludzi, którzy na swojej ziemi byłiby sobie może na całe życie obcymi, a teraz znaleźli się razem na gruzach całej swej egzystencji w nawpół rozwalonej chacie jakuckiej.

»Porankiewicz wysunął się naprzód i zbliżywszy się do stołu, wziął ostrożnie talerz i prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył i gdy wszyscy z najwyższą ciekawością oczekiwali oracyi, wyrzekł drżącym głosem słów czworo :

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy«...

Obok tej miłości ku ziemi, która serdeczne swe w tych *Szkicach* łączy wypłakuje, bije tu druga jeszcze miłość: ku człowiekowi. Szymański oznacza etap wysokiego rozwoju kultury i idei ogólnoludzkich w narodzie. Na ziemi śmierci Ellenai Polak dotąd widział tylko jedno widmo i jeden ból; Szymański nie tracąc go z oczu — widzi więcej. Cierpienie otwiera przed nim dusze do dna. Niedarmo tyle dusz przed nim się wyspowiadało. Patrzy on w ich głębi, w głębi tych żydów ordynarnych, tego »przewoźnika« opitego, straszego, zniechęconego, w dusze zbrodniarzy i potępieńców — i odkrywa tam treść ludzką, czystą, godną litości, nieraz umiłowania, nieraz uwielbienia... Polak dawniej stał nad katorżnikami, jako zbrodniarz »polityczny«, o całe niebo wyższy dumą bohaterstwa, poświęcenia, okazywał mu pogardę a co najmniej — ignorancję; Szymański okazuje w pospolitym, krwią nieraz powalonym człowieku — brata... Nawiązuje nic do idei Dostojewskiego, maluje postać *Hanusia*, tragiczną a wielką, odświeżającą przepaścią w prostym swym umyśle, uczucia mistyczne, wobec których błędna, maleją, w proch i potępienie padają cywilizacyjne nasze przesady, pojęcia, urzędnictwa... *Hanusia* godna też stać obok najwznioślejszych utworów Lwa Tołstoja.

ROZDZIAŁ X.

IDEALIZM SPOŁECZNY. ELIZA ORZESZKOWA.

Punkt środkowy między utylityzmem a szczerem uczuciem. Znaczenie kulturalne działalności Orzeszkowej. Jej niechęć do typów uczuciowych. Potępienie ruchów skrajnych. Odwrót. Apoteoza uczucia i synteza szlachecko-ludowa w »Nad Niemnem«. — Harmonia dwóch pokoleń w dążeniu do ideału. Żywot i dzieła.

Atmosfera się rozgrzała — stało się cieplej w Polsce. I gdy w gwałtownym naporze reakcyi najmłodszy, „rozumni szaleńcy“, zapragnęli pchnąć bryłę świata na nowe tory, inni zaś chcieli ją ustroić w laury i purpury chwały przeszłości — musiały znaleźć się umysły, szukające syntezy pośrodku, między skrajnymi tymi biegunami.

Zadanie to przypadło Elizie Orzeszkowej.

W latach osmdziesiątych stoi ona na szczycie swego znaczenia, wywierając na umysły wpływ szeroki i dobroczynny.

Wychowana i długo żyjąc w sferze ziemiańskiej, na ziemi, do głębi wstrząśniętej powstaniem, silnie przejęła się skutkami ówczesnego przesilenia ekonomicznego i umysłowo-moralnego. Doświadczenia życiowe i poważne studia naukowe rozszerzyły znacznie jej widnokrąg i niebawem mogła czerpać wiadomość dobrego i złego z *różnych sfer* i nic ludzkiego nie było jej obcem. Przebywała w pałacach pańskich, dworach szlacheckich

i w kurnych chatach chłopskich, w pracowniach uczonych i chajderach żydowskich, w warsztatach rzemieślników i pensjonatach panińskich, w duszach starych rzymian i naszych rodzimych *chamów*; wszędzie, gdzie tętniło serce, biła myśl ludzka, duch jej zatrzymywał się: nie z ciekawością artystki, lecz z sympatią i współczuciem prawdziwej kobiety a troską i natężonym umysłem badawczym człowieka-obywatela. Z uchem u serca swego społeczeństwa, chwyciła każde jego drgnienie i uczucie. Zbiór jej dzieł jest też wierną księgą dziejów szmatu kraju — szczególnie ukończonych jej stron nadniemeńskich — dziejów zarówno położenia ekonomicznego, jak i pojęć i pragnień całego ostatniego czterdziestolecia.

Dzieje te pisze przez blisko dwadzieścia lat twórczości ze stanowiska racjonalizmu i humanitaryzmu.

W czasie powszechnej reakcji przeciw romantyzmowi, ona nie rzuciła kamieniem na uczucie i nie potępiała przeszłości, ale faktycznie ograniczała wpływ jego i rolę do minimum i był jednostek narodu pragnęła opierać na biegunie jego przeciwnym: na rozumie. Gdy w utworach poetów staro- i neoromantycznych ulubionym bohaterem jest z reguły poeta, artysta, człowiek o nadmiernem uczuciu i przebujałej fantazyi, żyjący życiem wewnętrzem, kontemplacyjnem i niezdolny do organicznego złączenia się pracą i myślami z otoczeniem, u Orzeszkowej podobnych bohaterów nie spotkamy. Ciągłe zdaje się powtarzać: nie artystów i poetów nam potrzeba, lecz ludzi czynu, nie bohaterów, lecz użytecznych pracowników. Dewizę: miej serce i patrzaj w serce! przeobraziła w miej rozum i patrzaj także w serce. Jej bohaterzy dodatni nie marzą, rozumują tylko, a jeśli puszcza czasem cugle fantazyi, to zawsze w granicach społecznego utylitaryzmu; namiętności nie znają, prócz namiętnej miłości do ideału utylitaryzmu społecznego. Natomiast stawia nam ona przed oczy bardzo często odstrasające przykłady złamanego życia, spaczonego chara-

kteru, zwichniętego bytu rodzin całych, spowodowanego zbytniem puszczeniem cugli namiętności, z reguły pozbawionej u niej wszystkich ozdób poetycznych. Natomiast używa Orzeszkowa wszystkiej poezyi, na jaką ją stać, całej gorącej wymowy i sugestyi, aby gloryfikować rozum — wiedzę — surowy obowiązek — idee humanitarne. Zna ona właściwie jedną tylko poezję: krajobrazów nadniemeńskich, i drugą: obowiązku, czyli ukochania ziemi i rozumnej pracy. Gwiazdy te wskazuje szlachcie, kobietom, żydom. *Pan Graba* żyje i kończy podle, gdyż wychowanie nie nauczyło go pracować; Wacława zostaje nauczycielką, Emilia zakłada warsztat introligatorski. Rodzina Brochwiczów musi się odrodzić racjonalną gospodarką, Marta ginie dla braku należytego sposobu zarobkowania, Marya poświęca szczęście osobiste dla twardego obowiązku wytrwania przy mężu i pasierbach swoich. Meier Ezołowicz jest męczennikiem garnięcia się do wiedzy i pracy produktywnej. Program pozytywistyczny w klasycznym a zawsze szlachetnym wyrazie.

Ale społeczeństwo zdrowe rozwija się niepowstrzymanie i wytwarza w sobie coraz bardziej zróżniczkowane organy, coraz wyższe formy bytu. Umysł intuicyjny, poetycki, powinien je odgadywać, przeczuwać, wyprzedzać. Orzeszkowa intuicyjonistką nie jest; długo bada, gromadzi obserwacje, rozmyśla — tworzy indukcyjnie. To też gdy nadszedł czas, kiedy ideały pozytywizmu i pracy organicznej przestały wystarczać, a z dołu od młodych wydobywał się nowy, nieznan dotąd ferment, odnosiła się do niego nieufnie, krytycznie, wprost wrogo. Boi się *Widm* i fałszywych proroków, boi się wybuchów uczucia: od podobnych niedawno dom ojczysty stanął w płomieniach; boi się młodzieży fanatycznej, której miłość nieogłędna, niecierpliwa, nie chce iść spokojnym gościńcem organicznego rozwoju kulturowego, lecz pragnie ludzkości przypiąć skrzydła — by może głowę sobie roztrząsała; boi się

eksperymentów, w których widzi obce ręce — nieswojskiego ducha.

Kilka lat upłynęło od *Pierwotnych, Widm, Ławicza*, Orzeszkowa wystąpiła z utworem pomyślanym głębiej, na szersze rozmiary, niż wszystkie dotychczasowe, mającym pod względem formy stanowić epopeję współczesną, co do dążności — kwintesencję duchową autorki. Jest nim *Nad Niemnem*. I, o dziwo! odślania się nam tutaj oblicze zupełnie inne. Wyrazem ideału staje się młody chłopak, student, kipiący uczuciem, rozumny szaleń, romantyk w teorii i czynie, i ten młodzieniaszek staje się mistrzem starszych, dojrzałych, będących żywym wcieleniem „pracy organicznej“.

Ów „stary“, Benedykt Korczyński, miał przecie także młodość górną i chmurną, a gdy zawierucha krajowa ją wczesną siwizną przyprószyła, brata jego rzuciła do mogiły, podał się smutnej konieczności i przemienił w woła roboczego. „Długo we środku mu coś płakało“, nareszcie pozostał tylko jakiś war duszy, rozjątrzenie, niechęć głucha do wszelkiej ideologii i ciężki trud niezasobnego a żyjącego na pańską stopę szlachcica. I ten jest z galeryi szlachty, jaką poznajemy, najlepszy. Inni pędzą życie pasożytów pieczeniarzy, artystów zblazowanych lub błaznujących, kobiety zaś z drobnym wyjątkiem są buszmannkami, które oddałyby połowę życia za ładne utatuowanie lub żyją w sztucznym świecie dziecinnych fantazmagoryj.

To jeden świat — trochę zwyrodniały, grubo podszyty tchórzem, bo trzęsący się na wspomnienie niedawnych tradycji i bliskich powstańczych mogił. A obok żyje drugi: zaścianek Bohatyrowiczów. Bohaterzy — pracą żelazną przemienili ongi las dziewiczy w kraj mlekiem i miodem płynący, dotąd zachowali nadmiar sił i wielkość uczucia, które nie wpadając w czczy sentymentalizm salonów umie jednak dochować wierności grobom; bieda i ciemnota paczy jednak ich charakter, zachwaszcza go pieniactwem, umysł zachwaszcza zabobonami.

Czas, w którym z dworem Korczyńskich wiązał ich jeden sztandar, minął — teraz dwór i zaścianek są sobie wrogami, walczą procesami, nienawiścią.

Między tymi dwoma światami stoi Witold Korczyński z całym fanatyzmem i bezwzględnością zapaleńca. Jakkolwiek wie, że w sporze z zaściankiem Bohatyrowicze nie mają słuszności, nie waha się wołać do ojca: „twoja wina!“ I jak z wezbranego źródła tryska zeń szereg pytań, oskarżeń, gromów:

»Dlaczego oni ciemni, jak w rogu? dla czego chciwością pożerani? dlaczego nieprzyjaźni?... Czy niczyjej winy w tem niema, tylko ich jednych?

»Zapytania te tak uderzyły Benedykta, że umilkł, z ciężkiem westchnieniem rzucił się na fotel i wahającym się głosem przemówił:

»Dla czego? dla czego? Ha! gdybyż to można było wszystkich czarnych mar i ciężkich plag życia zapytywać: skąd? za co? dlaczego?

»My ich zapytujemy! podchwycił Witold. — Tak, mój ojczu, całą siłą umysłów i serc naszych zapytujemy, a one nam odpowiadają! Ta, o której teraz mówimy, odpowiada: »Zrodziły mię omamienia i nienawiści wieków; zagłada moja w *świelle i miłości...*«

»Teraz wszystko, co uzbierał z ksiązek i od ludzi, wszystko, co włożyła w niego natura, a rozjaśniła i potwierdziła nauka, wylewać mu się zaczęło z ust wymownych i drżących. W szerokich zarysach kreślił idee i teorye, od których urzeczywistnienia zdawało mu się zależeć skrzepienie i odrodzenie narodów, jego nadewszystko; w których dostrzegał jedyną podporę dla najwyższych myśli i podbojów, w wiekowej pracy zdobytych przez ludzkość; które wedle niego, przynieść miały ratunek dla krwawych cierpień, lasem rąk, do nieba o pomstę wyciągniętych, wyrastających z gruntu, oranego przez złość i przemoc.«

»Od abstrakcyi, mających dla niego urok tak nieprzeparty, że mówiąc o nich, wyglądał jak człowiek, w niebo zbawienia zapatrzony, niespokojnie przebiegł do powszedniej, palącej go rzeczywistości!«

A gdy Benedykt odpowiada mu z ironią, syn wybucha: »Nie masz prawa, mój ojczu, igrać tak z najświętszemi uczuciami memi! Młody jestem! cóż stąd? Nam dzieciom czarnej nocy, jak żołnierzom w porze wojny, rok za dwa liczyć się powinien! W upale cierpień prędko dojrzemy!«

O, tak! w upale cierpień młode pokolenie prędko dojrzewało! Czyż innemi słowami skarżył się i wypowiadał swe

uczucia Nowicki i... Derszlak (z *Zygmunta Ławicza*) i Julek (z *Widm*)?! Ale od łagodnej natury autorki, zbyt kochającej po kobiecemu i zbyt przesiąkniętej intelektualizmem, dalekim był i jest ów materyalizm, z jakim młodzi określali przyczyny i cele swoich dążeń, ich propapanda zmian materialnych w stosunkach posiadania i stosunkach panowania. Dlatego Orzeszkowa przeciwstawia nie proletaryat, tylko żyjącą na własnej roli, nieraz dostatnio, szlachtę chodaczkową — nie właścicielowi latyfundium lub fabryk, tylko pracującemu w pocie czoła skromnemu dziedzicowi. W ten sposób nie ujmuje kwestyi społecznej, lecz ją omija. A rozwiązanie tych niewielkich, bo niematerialnych a formalnych tylko konfliktów między chatą a dworem: Bardzo łatwe. Panna z dworu, coprawda sierota i bezzasobna, o bujnej, zdrowej krwi i uczciwych instynktach, oddaje swą rękę młodemu, dorodnemu Bohatyrowiczowi — wzgardziwszy szansami brudnej, pokątnej miłostki kuzynka-artysty i pieniędzmi wyniszczzonego morfinisty.

Łączą się „w świetle i miłości“... A jakkolwiek na tysiąc pytań, miotających duszą dzisiejszą, nie dadzą odpowiedzi, dają ją jednak na to najważniejsze, które zawsze jak ogień podziemny spoczywało na dnie wszystkich zadum i czynów Orzeszkowej. Odpowiadają na pytanie o bycie narodowym. A odpowiedź to nietyle w hasle Kraszińskiego: z szlachtą polską polski lud — na to Korczyńscy i Bohatyrowicze zamało traktowani symbolicznie — ile w przemianie sił notorycznych narodu. Orzeszkowa zrywa z pozytywizmem: otwiera nieskończone głębie wewnątrz człowieka i narodu. Kwestye materialne bytu, dawniej wyrażane w formie potrzeby utylityzmu, pracy fachowej, humanitarności, obecnie destylują się niejako, uduchowiają, stapiają w niegasnący żar uczucia. Ogarnia ono człowieka i ziemię, dawne grobowce i świeże kolebki jedną bezbrzeżną miłością, w której giną waśń, krzywda, giną wszelkie „mary i plagi“... Dotąd obce sobie światy i pokolenia, podają

sobie ręce, aby żyć w trudzie i miłości na tej swojej odwiecznej ziemi, którą odczuwają, jakby własnych serc bicie.

Młodzi zwyciężyli, gdy w pragnieniu dobra ogólnoludzkiego rozpięli słonce uczucia i kazali stopnieć zimnemu i rachującemu rozsądkowi; starzy zwyciężyli, gdy dusze w pracy utylitarnej ku ziemi przykute rozplómiłi gorącą a czynną miłością. Rzeczywistość się pomału w sen przemienia ideału...

Eliza Orzeszkowa urodz. w maju 1842 w Mintowszczyźnie pod Grodnem. Rodzice, majątni właściciele owej wsi, byli ludźmi wysokiej kultury umysłowej; ojciec, który ją zresztą wcześniej obumarł, należał umysłowo jeszcze do wieku XVIII, był wolteryaninem i wolnomularzem. Bardzo staranną, pierwszą edukację odebrała w domu rodzicielskim, poczem do piętnastego roku życia była na pensyi w Warszawie. Nie mając 16 lat wyszła za mąż, ale małżeństwo to konwencyjonalne długo nie trwało; w r. 1864 przeniosta się do wsi rodzinnej, potem do Grodna, gdzie dotąd przebywa, rzadko dla poratowania zdrowia wyjeżdżając za granicę. Żelazną pracą samouctwa przyswoiła sobie niezwykły zapas wiedzy humanistycznej, tyleż pracy i serca włożyła w liczny szereg dzieł swoich. Nie wyczerpuje to jej potrzeby pracy duchowej i obywatelskiej — daje jej ujście w czynach. W roku 1880 podjęła w Wilnie — gdzie publikowanie książek polskich jest zupełnie uniemożliwione — wydawnictwo dzieł poważnych, które rząd jednak prędko stłumił; oddana odtąd pod nadzór władz, żyje dla literatury, otacza opieką cierpiących (pomoc dla pogorzalców po ogromnym pożarze Grodna 1884 r.), bada przyrodę nadniemiecką, której jest nie tylko miłośniczką, lecz i doskonałą znawczynią. Krajobrazy z *Nad Niemnem*, obrazy ze świata roślinnego w *Weselu Wiesiołki* są pełną najwyższego odczucia i wdzięku pieśnią natury. W r. 1893 uczcili postępowi pisarze polscy działalność autorską Orzeszkowej, wydając na jej cześć wspólną książkę pamiątkową.

Działalność ta datuje się od r. 1867, w którym Orzeszkowa w *Tygu. Ilustrowanym* wydrukowała *Obrazek z lat głodowych*. Odtąd wydała przeszło 60 tomów powieści, studyów i broszur. W Warszawie pojawiły się dwa ich wybory; jedno u S. Lewentala obejmuje następujące utwory: *Ostatnia miłość*, *Z życia realisty*, *W klatce*, *Na prowincyi*, *Pamiętniki Wacławy*, *Pan Graba*, *Cnotliwi*, *Wesoła teoria i smutna praktyka*, *Na dnie sumienia*, *Marta*, *Eli Makower*, *Rodzina Bruchwiczów*, *Pompalińscy*, *Marya*, *Meir Ezołowicz*, *Sylwek Cmentarnik*, *Zygm. Ławicz*, *Z różnych sfer* (nowele i obrazki) 4 t., *Niziny*, *Dziurdziowie*, *Drobiarzi*, *Stare obrazki*, *O kobiecie*

Kilka słów o kobietach, Patriotyzm i kosmopolityzm, Cham. Są to główne dzieła, pisane do r. 1889; dodać do nich wypada *Widma* (1880), *Mirtale* (1886), *Czciiciel potęgi* (1891), *Nad Niemnem* (1888), *Jędrza* (1891), *Bene nati* (1892), *Dwa bieguny* (1893), *Australczyk* (1895), *Pieśni przerwana* (1896), zbiory nowel: *Melancholicy* (1896), *Iskry* (1898), *Chwile* (1899), *Argonauci* (powieść, 1900). Z rozpraw należy jeszcze zanotować: *O żydach i kwestyi żydowskiej* (1882), *List o Polsce do kobiet niemieckich i francuskich* (1900), *Studyum o Renanie* (w Ateneum 1886). Wybór wybitniejszych utworów wyszedł w 4 t. w taniem wydaniu Wawelberga.

Przebijający się w tych utworach talent Orzeszkowej rozwijał się powoli i samorodnie. Nie ulegał prądom mody, nie łamał się w sobie, od pierwszej chwili do ostatniej wykazuje te same cechy, tylko dojrzsze coraz i do skonałsze. Talent ten w formach swych zlewa się w jednolitą całość z treścią, bo wypływającą z duszy jednolitej, harmonijnej spokojem, siłą i piękną prostotą — podobnie jak ulubione jej pejzaże nadniemeńskie. Spokojnie i prosto płynie też tok jej opowiadań, dramatyczny — bez grozy, łagodnie wzruszający — bez ekscytowania nerwów, podobocznym — lecz nie przebijający niebios a stopami silnie wsparty ziemi; przyświecające jej słońce nie rzuca tych oślepiających efektów świetlnych, które można podziwiać na dalekiej północy czy na gorącym południu, nie pali też żarem potężnym, pod którym dojrzewa przepiękna, egzotyczna roślinność, a równie szybko postępuje rozkład — lecz płonie blaskiem łagodnym, najczęściej melancholijnym, rzadkie dając upały, częste chłody, i długi, pełen poetycznej zadumy zmierzch — jak nad Niemnem.

Przedewszystkiem obywatelka, gorąco przejęta troską o dobro kraju Orzeszkowa zawsze pisze natchniona głosem najpierwszych jego potrzeb. Wypływa stąd charakter publicystyczny, właściwy jej utworom z pierwszego dziesiątka lat twórczości. Tendencya unosi się nad całością, do niej naginały się osoby i dzieje, a gdzie one niedość były wymowne, przychodziła w pomoc ze swoją nieraz bardzo szeroką swadą autorka; zakończenie było zawsze rozwiązaniem jakiejś kwestyi. Tendencyjność ta uderza w utworach społecznych O-wej dzisiaj jeszcze; najwybitniejsze jej dzieło lat ostatnich, *Argonauci* w architektonicznej swej budowie, ustawieniu figur, rozmowach ich, zdradza bardzo często dążność a priori postawioną — znika jednak zupełnie w wielu nowelach i w takich powieściach, jak *Cham*, gdzie przemawia czysta treść duszy ludzkiej. Niewielkie ustępstwa robi Orzeszkowa też na rzecz wymagań językowych naszych czasów; zabarwia ona swoje dyalogi charakterystycznymi cechami indywidualnymi, a gdy potrzeba, to i narzeczem obcym. Ale tylko zabarwia; wszędzie przebija się język jej własny, pozbawiony nerwowości, krótkiego oddechu, migotliwych kolorów i kolorków współczesnych wychowanków miast wielkich, język o długich okresach, majestatyczny, czysty,

jak u najlepszych pisarzy Zygmuntofskich — mowa, jak wogóle cała forma zgodna z treścią: pomnik idealizmu polskiego z końca XIX. wieku.

Idealizm ten wyrażał się długo w propagandzie kultury rozumu i pracy, dopóki Witold Korczyński »poprostu i z krzykiem« nie przywrócił praw zbyt na uboczu pozostawionemu uczuciu, entuzjazmowi, młodości, mierzącej siły na zamiary. Można przypuszczać, że do tego zwrotu na wewnątrz przyczyniły się niemało studia autorki nad ludem wiejskim. Zeszła do niego z latarką wiedzy, aby rozprószyć mroki przesądów, dzięki którym *Dziurdziowie*, uczciwi, dobrzy ludzie, mordują dzielną chłopkę, okrzyczaną za »wiedźmę«; zeszła na *Niziny*, by tępić pasożytów, adwokatów, naganiaczy, wyzyskujących najpodlej dobrodusznosc i ciemnotę i odkryła *Chama*, chłopca z lasów i nad rzek zapomnianych przez cywilizację. Żeni się on z dziewczyną miejską, zepsuta-wyrafinowaną histeryczką, która go oszukuje, rzuca, wraca doń z cudzem dzieckiem, nareszcie go truje... A on, cham, analfabeta, nosi w sobie takie skarby dobroci i hartu żalaznego, że okupuje nimi grzechy jej i zwyrodnienie, wznosi się do najwyższych szczytów bohaterstwa ducha.

Więc wewnątrz nas leży zbawienie, w kulturze serca, w podniosłości duszy, w religii obowiązku. Stąd płynie sankcya etyczna, dająca wiarę i spokój, bez tego — anarchia dusz i społeczeństw...

Prawdy te świecą autorce już z marmurów i postaci świata starożytnego, a przeniesione na grunt teraźniejszości złocą go blaskami, bardzo dalekimi od dawnego uutilitaryzmu społecznego. Uutilitaryzm, chęć osiągnięcia dla swoich maximum dobra, pozostaje, lecz autorka widzi go obecnie w poświęcaniu kultury materialnej dla głębi duchowej, w pogardzie nawet dla tej kultury a bezwzględnem dążeniu do doskonałości, — w wcielaniu najwyższego ideału moralnego. Ostatnie powieści nie rozbrzmiewają już owymi hymnami na cześć wiedzy pozytywnej, którą słyszeliśmy w pierwszych: »więcej jest na świecie uczonych, niż dobrych«, czuć w nich żal, niechęć do cywilizacji, która zawiodła wiele pokładanych w niej nadziei i tęsknot. Powieści *Dwa bieguny*, *Australczyk*, *Bracia* są paralelami, jakie autorka przeprowadza między cywilizacją prawdziwą a fałszywą. W *Dwóch biegunach* przeciwstawia Ksawerkę, anioła opiekuńczego okolicy całej, eleganckiemu, pełnemu szlachetnych instynktów, ale pozbawionemu woli do czynów społecznych dekadentowi; *Bracia* są oddzieleni od siebie prawdziwą przepaścią, jaka — mimo zewnętrznej wspólności — istnieje między świetnym, milionowym członkiem wysokiego świata a poziomego ducha, a głębszą naturą, która poświęciła młodość, aspiracje artystyczne, aby wrócić korzeniami w ziemię i utrzymać ją dla swoich; *Australczyk* rozwija ów problem najszerzej Roman Darnowski bawi w atmosferze kosmopolitycznej, w świecie urzędniczym, przesiąka ideałem wielkiej karyery, »dążnością do pasztetu«. Przed objęciem wysokiej posady przyjeżdża na wieś do stryja Stefana. Świat to obcy mu zupełnie, świat znoju twardego, wiejskich

»antropomorfów«, poświęcenia i miłości czynnej, która każe Stefanowi żyć się z ludem, pracować z nim razem; nad domem jego, jak nad domem Seweryny Zdrojowskiej i Zenona Hornicza »unosí się blask tego słupa gorejącego, który przyświeca drogóm ludzkim a w mowie ludzkiej nosi nazwę ideału. Gdy ten słup pónie, ludzie idą drogą prostą, gdy gaśnie — błędzą i marnieją«. ... Roman Darnowski urokowi tego światła się poddaje ..

Nie przyświeca ów słup ognisty *Argonautom*, którzy wybrali się na drogę życia dla poszukiwania złotego cielca i jego służbie zostali wierni Alojzy Darwid ulepił też temu bóstwu z milionów gmach wspaniałych, ale w serca jego najbliższych nie szedł stąd żaden promień gorętszy, żaden blask ideału. W tym chłódzie serca zwyrodniały, pojęcia dobra i zła znikły, demon używania mści się na swoich czcicielach stępując, niszcząc, wynaturzając ich nerwy — i na świecącym błocie zbudowany gmach Darwida zapada się, druzgocząc jego i wszystkie owoce całego jego życia...

I ostatnie zbiory nowel: *Melancholicy* i *Iskry* potrącają te struny, przynoszą te idee, często w postaci świeżej, silnej, działającej odurzająco, jak kwiat świeżo rozkwity, to znów, jako pełen smętku kwiat zasuszony, budzący tęskne wspomnienia i kontemplacje. A we wszystkich — mamy »światło w ruinach«, miłość czynną i ofiarną, zlanie swego ja z narodowem, zdobyście dla indywidualności w ten sposób stałego punktu oparcia, mocy, nieśmiertelności. .

Bije stąd optymizm, oparty na idealizmie tak wysokim, iż z wyżyny jego giną wszystkie małości świata, ginie ciało i jego sprawy — ze szkodą dla plastyki i prawdy powieści — a duch rośnie, olbrzymieje, łączy się z duszą świata, obejmuje wszechświat jednym wielkiem uczuciem mistycznym. Jest ono ostatniem słowem religii autorki, dalekiej od form i dogmatów oficjalnych, pełnej jednak pierwiastków kojących i wzniosłych.

Gdy pozytywista Wiktor (w *Braciach*) głosi odnośnie do najwyższych zagadnień etyki i bytu ludzkiego »złoty środek«, odpowiada mu Zenon z żywością :

»Czyż doprawdy w ramach, zbitych z trzech deseczek: pracy, honoru i łatwej dobroczynności mieści się rozwiązanie tej zagadki, którą jest przeznaczenie człowieka na ziemi? Dla mnie ta zagadka jest otchłanią. Od początku świata pochylają się nad nią najszlachetniejsze głowy ludzkie i nie mogą one jej dosięgnąć wzrokiem. Musiałeś także zastanawiać się nieraz nad pytaniem: za co i dla jakiego celu człowiek skazany jest na cierpienie i śmierć? Nieuchronność cierpienia i śmierci byłaby przerażającym figlem jakiejś mocy piekielnie okrutnej, gdyby nie posiadała celu, niepojętego dla naszych biednych zmysłów ludzkich! bo biedne zmysły nasze nic o tem powiedzieć nie mogą. Ale cel istnieje niezawodnie. Natura, która nie znosi próżni fizycznej, czyżby znosiła taki bezsens moralny, jak bezużyteczne

dręczenie niezliczonych miliardów istot? Przyszedłem do przekonania, że poza świadomością zmysłów naszych tworzy się w przestrzeni i czasie dzieło jakieś olbrzymie i doskonałe, dla którego potrzebne są jakieś istnienia, cierpienia, umierania, a także, i może nadewszystko, nasza doskonałość. Ale ta doskonałość nie mieści się tylko w pracy, w honorze i w rzucaniu ubogim okruchów z naszego stołu, nam samym niepotrzebnych. Słusznie czy niesłusznie upatruję ją w oczyszczeniu życia i najdrobniejszych chociażby krzywd ludzkich, miłości dla ziemi i ludzi, posuniętej do ofiar, sprawiających cierpienia chociażby najcięższe... Co do mnie przynajmniej, usiłowaniem mojem najsilniej naprężeniem jest to, aby mieć serce jak najczystsze, i oddawać usługi jak największe ziemi i ludziom. Zdaje mi się, że tym tylko sposobem osiągam cel, do którego przyszedłem na świat.

Orzeszkowa do tego celu nas zbliża...

ROZDZIAŁ XI.

ALTRUIZM BOHATERSKI. BOLESŁAW PRUS.

Prus, jako pozytywista przerasta zawsze okres pozytywistyczny. Główny pierwiastek jego indywidualności: silne, męskie uczucie. Stąd rozwój jego talentu po przejściu okresu pozytywistycznego. — *Powracająca fala* i *Placówka* jako syntezy uczuciowe. Synteza ta przeprowadzona negatywnie — w *Lalce*, pozytywnie w *Faraonie*. Wokulski i Ramzes, jako bohaterzy uczucia. — Świat, jako harmonia, wypływająca z świadomej miłości i wymiany usług. Żywot i dzieła.

Wychowankiem okresu pozytywizmu jest także Bol. Prus, ale wychowankiem, który swój czas zawsze przerastał. Na pozytywistę predystynowały go zdolności rozumowe od wczesnej młodości. W czasie studyów szkolnych był fanatykiem matematyki, potem pracował w dziedzinie elektrotechnicznej; ma gruntowne wykształcenie przyrodnicze i lubi zjawiska społeczne ujmować w formuły statystyczne i prawa biologiczne. Cześć swą dla nauki posuwa do granic uwielbienia, pozytywny światopogląd — do utylitaryzmu. Nigdy nie czyni bohaterem swych utworów poety, malarza, człowieka uprawiającego sztukę lub czystą ideę, jak z reguły czynili staro- i neo-romantycy, jak czyni Sienkiewicz; bohaterami jego — kupcy, przemysłowcy, wychowawcy, często uczeni wynalazcy: ludzie czynu. Sztuce i zajęciom artystycznym wyznacza w spo-

łeczeństwie nie wiele miejsca; „gusta estetyczne — mówi — stanowią tylko malutką część potrzeb ludzkich i społecznych i nie wolno delektować się niemi tym, którym chleba brakuje. Kapitał — to nawóz, na którym wyrasta sztuka, moralność, nauka i inne szlachetne kwiaty natury ludzkiej“.

Zdawałoby się, że przy tych swoich danych i ogromnym talencie plastycznym Prus powinien był zajaśnieć twórczością w czasie najwyższego rozkwitu pozytywizmu. Tak tymczasem nie jest. Do obozu pozytywistycznego właściwie nigdy nie należał, od partyjnej barwy i polityki trzymał się zdaleka — nawet redagując pismo codzienne, nie oddawał go na usługi określonego kierunku, lecz pragnął uczynić z niego neutralne „obserwatorium“ społeczne. Natomiast — poza publicystyką — pisywał powiastki i nowele, w których wśród raket humoru i dowcipu przebija się nie tendencya utylitarna, nie jakaś typowa idea pozytywistyczna, lecz czyste, miłujące uczucie. Ale uczucie to jest trzymane na wodzy. Czas mu nie sprzyjał, wszelki jego wyższy polot był krępowany, byłby metafizyką, romantyką, sprzeciwiałby się Prusowi-pozytywiście, obraca się więc ono w kółku ciasnym, gdzie zawsze było i jest uprawnione, gdzie i najtrzeźwiejszy, najzatwardziały racjonalista staje się miękkim, tkliwym, czułym — obraca się około dzieci. Bohaterem jego najlepszych utworów przed r. 1880 jest najczęściej „osoba, która ma trochę więcej niż łokieć wzrostu, około 40 funtów wagi“, albo trochę więcej, jakiś Staś, Anielka, Jaś mały; w opowiadaniu ich przygód może puścić wodze swemu najgłębszemu instynktowi, dawać folgę uczuciu. Te jego nowele są też arcydziełkami; artysta jest w swoim żywiole, nie narażony na konflikt z krytykującym intelektem może stworzyć cuda współczucia, dobroci, altruizmu.

Tak harmonijnych utworów, jak nowele dziecięce, Prus wiele nie pisał: brakowało mu bowiem harmonii wewnętrznej. Nosi w sobie intelekt czysto pozytywistyczny a głębiej, silniejszą może i pierwotniejszą potęgę uczuciowości czysto „ro-

mantyczną“. Pierwszy każe mu uczucie — tego niepoprawnego grzesznika, wiecznego marzyciela, nieobliczalnego i nie liczącego fantastę, trzymać w korbach, drugie burzy się i miota, odrzuca precz mądrość starego bakalarza, jego książki rachunkowe i logikę rozsądną, i buntuje się przeciw uświęconemu porządkowi rzeczy; pierwszy jest racjonalny, trzeźwy, ma na zawołanie statystykę, fizykę, ekonomię, rozmyślanie, doświadczenie, patrzy na świat, jako na zawite „równanie rachunku“, drugie liczy siły na zaniary, przebywa w wymiarze nieprzystępnym zwyczajnej logice, ma skrzydła z zapału, który tworzy cuda. Pierwszy patrzy na ludzi i rzeczy bystro, z nieubłaganim zmysłem obserwacyjnym, ukazującym wszelki kształt i barwę, wszelką śmieszność i ułomność, obejmuje nader szeroki horyzont, widzi najdrobniejsze nerwy jednostek, widzi sprężyny grup, klas, narodów całych, dostrzega wszędzie surową, nagą rzeczywistość — uczucie sięga jednak tam, gdzie wzrok nie sięga, łamie, czego rozum nie łamie, intuicyjnie odgaduje tajemnice i prawdy, wyższe nad rzeczywistość. Stąd dwoistość w naturze i twórczości Prusa, tworząca w jego dziełach dwa równoległe nastroje: pesymizm i optymizm. Pesymizm płynie z pozytywizmu, z intelektu, z pochłaniania i reprodukowania rzeczywistości, uczucie staje jednak nad temi zjawiskami, tworzy sobie świat wyższy, syntezę szerszą, a w niej człowiek i jego koleje stają się czemś małym, przemijającym, podporządkowanym odwiecznemu prawu, którem dla człowieka miłości może być tylko pra-uczucie: wszech-miłość. Pesymizm wypływa z faktów, ale z wyższego porządku rzeczy wypływa optymizm: i dla nieśmiertelnej, do nieznanych, ale coraz wyższych i lepszych szczebli dążącej doskonałości...

Po powiastkach dziecięcych — małe chłopskie. Antek, Michałko. W czasie wszechwładztwa indywidualistycznego liberalizmu Prus zwraca się tylko do jednostek, talentem swym, jak owym płaszczem ewangelicznym, otula maluczkich i cierpiących, śle im promienie miłości, ukazuje ciche cnoty i bohaterstwa. Po-

woli nastrój społeczny zaczyna się zmieniać. Filantropia, drobne nowele — drobne plastry na rany jednostkowe przestają wystarczać. Jednostka wyłania się jako wytwór pewnego kompleksu socjalnego, stosunek jej do klasy pewnej, klas i narodu wzajemnie do siebie staje się przedmiotem dyskusji, twógi, poza kwestyą dorobku występują inne, wyższe. Wtenczas nadeszła chwila dla uczuciowości Prusa. Wchłania w siebie wszystkie tęsknoty i niepokoje czasu i daje im wyraz w szeregu dzieł, odbijających niezwykłą indywidualność artystyczną, lecz także kolejność i siłę powstawania u nas pewnych prądów społecznych i duchowych.

W r. 1880, gdy harmonia między pracą a kapitałem była u nas kwestionowana zaledwie przez garść heretyków, serce Prusa odkryło w tym stosunku bolesną ranę i ozwało się krytyką, protestem, groźbą... „Fala krzywdy wróci!“ wołał do fabrykanta Adlera, tuczącego się krzywdą swych pracowników, by paść brzuch własny i nieokiełznane chucie syna. I wróciła. Co prawda — przypadkiem; nie konieczność wewnętrzna, nie logika ekonomiczna i społeczna mści się na starym Adlerze, lecz *deus ex machina*, traf ślepy, który w pojedynku kładzie trupem syna jego, gdy taksamo mógł powalić przeciwnika. Pojedynek żadnej kwestyi nie rozwiązuje, a najmniej — socjalną — Prus na razie nie znalazł jednak innej formy wyrażenia swego światopoglądu. Rzeczywistość jest posępną, nielitościwą, zawojowaną przez Adlerów, którzy tryumfują — sprawiedliwość znajduje Prus tylko w sferze uczucia. I artysta optymistycznie ją wymierza — choć intelekt tej satysfakcji ideowej nie ukazuje.

Dwoistość ta występuje w dalszych dziełach coraz żywiej. Wpatrzony w ziemię, jej bole i nadzieje, Prus w r. 1880 rozpoczyna, w r. 1884 kończy *Placówkę*. Już nie jednostka, lecz naród cały staje się jego bohaterem, nie filantropia, lecz wielka idea społeczna jego celem. Jesteśmy na ziemi piastowskiej, zagrożonej przez niemiecki *Drang nach Osten*. I gdzież są

jej obrońcy historyczni? Skrzetuski nie broni dziś Zbaraża, lecz siedzi może w Monaco, Wołodyjowski zamiast zakopać się raczej pod gruzami, woli antyszambrować w Berlinie, w jakimś przedpokoju politycznym, Kmicic nie myśli o przewinieniach swych niedawnych i rozhulawszy się z Olenką — między jednym mazurem a drugim sprzedaje ojcowiznę. Pozostał jednak chłop. Bez parceli Ślimaka, na której może stać wiatrak, wieś dla Niemców niema wartości. Powstaje tedy zaciekła walka między chłopem a przybyszami. Sprzysięgła się przeciw niemu cała wyższość kultury niemieckiej, sprzysięgli się swoi, kierowani chciwością, ciemnotą, wszystkimi popędami barbarzyńskimi, sprzysięgły się nawet siły przyrody. Chłop nie ustąpił. Była chwila, kiedy złamany nieszczęściami, chciał się już zgodzić — chwyciła go wtenczas baba, ta personifikacya konserwatyzmu wiejskiego, dzika, gorączką pałająca przedśmiertną i wymogła na nim przyrzeczenie, że zostanie. Niemcy odeszli.

Optymizm ideowy — będący realistycznie znowu pesymizmem. Prus — obserwator i człowiek racjonalny widzi chłopca w najciemniejszych kolorach. Jego Ślimak to chłop setnie głupi, chytry, podejrzliwy, bez serca dla drugich, a najwyższym jego ideałem: by po pracy wypocząć i wydobrzeć w kościach. Dzieli on z Chrzanowskim sławę obrony postęunku, gdy zasługę tę należy przypisać właściwie ich żonom. I cóż Prusa godzi z tym chłopem, że każe w nim widzieć „placówkę”? Uczucie. Ślepe, namiętne, bezgraniczne przywiązanie do ziemi. Niedostępny mędrkowaniu, nieoderwany od gruntu macierzystego przez krytycyzm, kulturę, racjonalizm — instykt dziedziczny, ślepe, bezgraniczne przywiązanie do ziemi, źródło siły żywiołowej, najbawienniejszych natchnień. Uczucie to bierne, nieucywilizowane, konserwatywne — to najlepszy patryotyzm. Nieruchome i proste, jak głaz — a na głazie tym placówki narodowe mogą stać bezpiecznie...

W jego znaku atoli także zguba dla jednostek, odrywa-

jących się od tłumy, pogrążonego zwykle w inercyi i bezmyślności, mającego na dzień powszedni, na życie powszednie wystarczającą broń w pozytywizmie „zdrowego rozsądku“. Kontrast ten, ziejący zawsze między geniuszem a tłumem, spotęgował się w naszych czasach do stopnia walki śmiertelnej na tle zbanalizowania pozytywistycznego społeczeństwa, odpychającego, jako wroga — szczególnie geniusza uczucia. W stanie mniej rozwiniętej i dumnej „cywilizacji“ ludzie żyją więcej instynktem, szczerością, uczuciem bezpośrednim; na tym gruncie szerokim schodzą się jednostki wybrane z masą, są jej wyrazem — przewodnikami. Dzisiaj „ten tylko, kto się wrył w księgę, w metal, w liczbę, w trupie ciało“, albo kto uzbrojony w najgłupsze, bo żadną sankcją nieuświęcone przywileje urodzenia i pieniądze — ten tylko jest panem epoki. I oto Prus, wychowanek okresu materialistycznego, fanatyk matematyki i elektrotechniki, staje się najżarliwszym obrońcą sponiewieranego uczucia.

Stan swego społeczeństwa, ludzkości nawet zacznie rozpatrywać, jako walkę między pełzającym rozsądkiem a geniuszem serca, między poziomym, w skorupie egoizmu i ślimactwa zamkniętym tłumem, a bohaterami altruizmu.

Uczucie, jako idea subiektywna, jako imperatyw etyczny, ale jeszcze bez ucieleśnienia artystycznego, tryumfuje w *Powracającej fali*, w *Placówce* jako instynkt zbiorowy wychodzi zwycięsko z wrogiego potopu, w *Lalce* wciela się w pełną goryczy i bólu skargę na małość społeczeństwa własnego, w *Emancypantkach* przeciwstawia się, jako słodka dziewczeczka o złotem sercu całemu szeregowi oschłych dusz, choć wyrobionych mózgów, nareszcie w *Faraonie* olbrzymieje do rozmiarów symbolu ogólnoludzkiego... Uczucie to, owa miłość bezgraniczna i wszechpotężna „nie na jednym spoczęła człowieku, jak owad na róży kwiecie“. Erotyzm w utworach Prusa najmniejszą odgrywa rolę. Nie czujemy go w *Powracającej fali* i *Placówce*, w *Emancypantkach* widzimy go, ale jako po-

ryw zmysłów, jako podrzędną funkcję, ślepa, niszcząca i imszcząca się na tych, co mu ulegają; w *Lalce* jest upiorem, wysysającym krew i życie z genialnego człowieka, ale jest też czemś więcej. Izabelę można traktować, jako symbol, stosunek do niej Wokulskiego — jako stosunek niezwyklej jednostki, geniusza serca, bohatera altruizmu, do owej płytkości, sobkostwa, życia błyskotkami i samczo-samiczemi procesami ciała, gonitwy za blichtrzem, zabawą, groszem, połechtaniem zmysłowem, które stanowi psychę tłumu w naszych czasach, które w powieści jest zakłete w piękne ciało panny Łąckiej.

Kontrast zupełny. Czem jest Wokulski? Jest-że uczonym? Zapewne dużo umie i myśli, ale dla nauki nic nie zrobił i wątpliwą jest rzeczą, czy cośby potrafił zrobić; jemu na sercu leży uszczęśliwianie ludzi, nie szukanie obiektywnej prawdy. Jest-że znakomitym pracownikiem ekonomicznym, lub działaczem społecznym? Sam dorabia się raz przez ożenek, raz spekulacjami, dostawą, ryzykiem; słyszymy, że zakłada towarzystwo dla handlu z Cesarstwem — ale punkt ten jego działalności poważnie można kwestyonować, jak wogóle wszystkie teorie ekonomiczne, które wygłasza; wiemy, że opiekuje się studentami, robotnikami, upadłymi kobietami — wszystko to jest filantropią, nie w wielkim stylu pomyślaną akcją społeczną. Prus-pozytywista patrzy na życie realne i w sferze pracy organicznej nie wznosi się nad jej poziom. Ale poza tem wszystkim jest w Prusie — Wokulskim inna struna głębsza i potężniejsza nad wszystkie, tasama, która dźwięczy w *Improwizacji*. On cierpiał, kochał, wzrósł w mękach i miłości, staje się wcieleniem ideałów pokoleń całych, pragnie zbawić, uszczęśliwić, cały świat niem zadziwić... *Incipit tragoedia*.

Nikt w nowszych czasach nie dał tak szerokiego obrazu społeczeństwa polskiego, jak Prus w *Lalce*, nikt tak gorzko nie wychłostał okresu pozytywistyczno-organicznego. W postaci Wokulskiego dał epikę, w postaci starego subjekta lirykę,

płynącą wprost z ducha wielkich naszych romantyków. Jeden i drugi nie odpowiada swojemu małemu czasowi, stąd ból i gorycz — pesymizm. A jednak ponad nim stoi wielkie serce i mówi: *non omnis moriar*. Gdy w Wokulskiego uderzają gromy wszystkich nieszczęść a duch pod nimi się kruszy, unosi się nad nim jeszcze „Bóg, ziemia i prosty człowiek“ — wiara w nieskończoność ideału, w obowiązek i w serce ludzkie.

Jak one tryumfują, jak geniusz uczucia walcząc z marnem otoczeniem sieje jasność, dobro, poświęcenie, widzimy w Madzi Brzeskiej, będącej szczęściem dla wszystkich, na których promienie jej serca padają; najszerszej, na arenie dziejów światowych, wśród niestłchanego przepychu artyzmu i błyskawic myśli, ukazał to Prus później w postaci Ramzesa XIII. Młody ten monarcha, przy wszystkich ułomnościach i słabościach ludzkich, jest prawdziwym bohaterem uczucia. Wszystkie jego wady zakrywa płaszcz majestatyczny i gwiazdzisty z wielkodusznych idei i bezbrzeżnej miłości kraju, człowieka, dobra utkany. Są obok niego uczeńsi, mądrzejsi, nawet czystszy, niema żadnego, którego wola do uszczęśliwienia ludzi, genialna intuicja, męstwo w dążeniu do tego celu, mogłyby się z nim mierzyć. Bohater ten pada, lecz posiew geniusza uczucia nie ginie. Reprezentant zimnej, racjonalistycznej teokracji, Herhor, wstępując na tron, musi urzeczywistnić idee i plany nieszczęśliwego poprzednika, który czas swój wyprzedził a na przyszłości wycisnął swe piętno.

I tak nic w naturze nie ginie, żaden wysiłek ducha nie idzie na marne, nawet są szczeblem do coraz wyższej potęgi dobra i doskonałości. Poznanie tej prawdy prowadzi do harmonii, opartej na wzajemnej wymianie usług, na solidarności i myśli wspólnej, a duszą jej — bohaterstwo uczucia. Przez zapoznanie tej prawdy giną fabrykanci Adlerzy, ulegając najgłębszym swym instynktom służy jej *Placówka*, służy jej z całym zaparciem, nieświadoma swej misji i wartości cicha dziewczeczka Madzia, a na wyższych szczeblach rozwoju uświada-

mia się ona w takich jednostkach, jak Wokulski i Ramzes XIII. W świetle tego uczucia pesymizm, wypływający z obserwacji rzeczywistości, blednie, ginie. Najlepsi, wybrani cierpią i giną? Cierpienie, które mrozi krew ludów całych, wytwarzając religie rozpaczliwe i beznadziejne, które Leopardiemu kazało przekłać życie, Schopenhauerowi podyktowało negację woli do życia a Mainlaenderowi podało teorię i broń samobójczą, fakt ten u Prusa także należy do sfery wyższej konieczności i harmonii bytu. Jak młot wydobywa z granitu iskry, tak „cierpienia mają swój cel: powodują rozwój ludzkiego ducha“ (Sen). I w szczyt owego rozwoju, w bohaterów altruizmu wpatrzony, Prus poza nędzą i smutkami dnia widzi słońce. „Trzeba tylko zachować równowagę: nie topić się we własnym wnętrzu, nie rozpraszać w zmysłach, lecz chodząc po ziemi — trzymać głowę w niebie“...

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) urodz. 8 sierpnia 1847 r. w Puławach pod Lublinem. Studiował w warszawskiej Szkole Głównej nauki matematyczne i przyrodnicze, poczem pracował w warsztatach elektrotechnicznych. W ruchu »pozytywistycznym«, którym kierowali koledzy jego z ławy uniwersyteckiej: Świętochowski, Ochorowicz, Chmielowski, stały brał udział, stale oddaje się literaturze od r. 1872. Tłómaczył dzieła naukowe, redagował humorystyczną *Muchę*, pisał w *Opiekunie domowym* (1872) *Listy ze starego obozu*, które kontynuował, jako *Kroniki Tygodniowe* w *Kuryerze* najprzód *Warszawskim*, potem *Codziennym*, zdobywając niemi coraz większy rozgłos i wpływ na liczne koła czytelników. W r. 1879 objął redakcję wydawanego przez Kronenberga dziennika *Nowiny*, którym kierował przez 11 miesięcy, dla przeciętnych czytelników był on zbyt doktrynerski; zbiór artykułów zasadniczych z tego pisma, wydany osobno pt. *Szkic programu*, ma jeszcze dzisiaj duże znaczenie. W osobnym wydaniu książkowym wyszła też część *Kronik* (1875—1878).

Utworki heletrystyczne Prusa pojawiały się w czasopismach warszawskich; osobno wyszły: *Kłopoty babuni* (1873), *To i owo, właściwie zaś ni to, ani owo, czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci* (1874), *Pałac i ruderą* (1875), nowele, pisane między r. 1876—78 pt. *Drobiazgi* (1890), *Omyłka*, powieść (1880), *Placówka* (1886), *Lalka* (3 t. 1890, tanie wyd.

w 2 t. 1896), *Emancypantki* (4 t. 1894), *Faraon* (3 t. 1897); wydania zbiorowe nowel i powieści pomniejszych: *Pisma* (1881), *Szkice i obrazki* (wyd. warsz. Spółki nakładowej w 4 t. 1885), *Pisma* (tanie wydanie jubileuszowe Wawelberga w 4 t. z r. 1897, zawiera też z powieści *Omyłkę* i *Placówkę*).

Tom pt. *Najogólniejsze ideały życiowe* (1901) zawiera wykład jego filozofii; wyrażona ona jednak — dla umiejących czytać — artystycznej w utworach Prusa powieściowych.

Talent Prusa rozwijał się powoli, początkowo wśród ciężkiego łamania się z życiem, ze zbyt rozbieżnymi skłonnościami umysłowymi, z trudnościami formy literackiej, którą w dodatku dla publiczności żądnej przedewszystkiem »humoru«, należało przyodziąć w jaskrawy strój arlekina. W tych warunkach wyrobił się Prus na jedną z najoryginalniejszych, nawszkroś osobistych i niezależnych indywidualności naszej literatury — wszelako ślady owego łamania się ze sobą samym i z wymaganiami zewnętrznymi są w pierwszych utworach tak liczne i znaczne, że nawet z wyboru pomniejszych utworów wydania Wawelberga można jeszcze jedną trzecią wykreślić. Co pozostanie, należy wraz z powieściami do klejnotów piśmiennictwa.

Prus — natura rdzennie polska — posiada spory zasób rubasznego dowcipu, niegardzącego dwuznacznymi conceptami, jakby w prostym spadku pochodzący od Reya, Kochanowskiego, Wacława Potockiego i były echem natury, przejawiającej się nawet w arystokratycznym Zym. Krasieńskim. Takie »trefne figliki« przetykają nawet wysoce dramatyczne momenty *Lalki* i *Emancypantek* a w pierwszych utworach były żywołem nieraz dominującym, który jednak powoli pogłębiał się, oblekał coraz więcej melancholią ludzi nowoczesnych i dziwnie upodobił do *humoru* angielskich humorystów. Jak u Dickensa i Thackeraya, tak mamy w *Anielce*, *Grzechach dzieciństwa*, *Antku*, *Przygodach Stasia*, *Pałacu i ruderze*, śmiech przez łzy, zacięcie karykaturalne w malowaniu sfer wyższych, bezbrzeżne współczucie i litość przy malowaniu dzieci, zwierząt, biednych i upośledzonych, wszystkiego co cierpiące, co zapoznane, co szlachetne. Z biegiem czasu nastrój myśli Prusa podnosił się coraz wyżej, i malując wieczyste strony duszy ludzkiej i wieczyste idee, gdzie niema już miejsca ni na concepta ni na humor, ni na ziemską miarę uczuć i cnót, tworzył takie jakby wykrawki z ewangelii, jak: *Sen*, *Z żywotów świętych*, *Z legendy starego Egiptu*.

Właściwości te artystyczne i myślowe w powieściach olbrzymieją i Prus długo nie mógł ich zharmonizować. W *Omyłce* broni jednostki, zgubionej przez bezlitosną, namiętną i krzywdzącą opinię publiczną, w sposób, czyniący z wyjątku — typ *Placówka* jest już krokiem wyżej. Realizm przechodzi jeszcze nieraz w karykaturalność (młody chłopoman), nie jest wolny od sentymentalizmu Janka muzykanta (Stasiek) i refleksyj filozoficznych nie na swoim miejscu

(idee historyzoficzne Owczarza na widok szlacheckiej maskarady), całość jednak jest malowidłem szerokim i daje naogół galerię typów plastycznych i wiernych. W *Lalce* widnokrąg autora raptownie się rozszerza. tragedia jednostkowa odtworzona na tle lokalnym staje się tragedią ogólnospołeczną, ogólnoludzką. Zdaje się, że rozpoczynając swą powieść, Prus sam nie był świadomy jej znaczenia, znać w niej też mnóstwo nierówności, niekonsekwencji; dwoistość w jego naturze nie pozwala mu przedstawiać Wokulskiego konsekwentnie, jako geniusza uczucia, dziedzica wielkich romantyków narodowych, a przecie tylko z tego punktu widzenia zrozumiemy kontrast między Wokulskim a otoczeniem, zrozumiemy owe tak niepozytywistyczne sympatyie i teorie rasowe, które tu nagle występują, zrozumiemy prof. Geista. Walka między geniuszem uczucia a tłumem, upersonifikowanym w kobiecie, obrzymieje do wizji kosmicznej, w której człowiek, żyjąc kilkadziesiąt lat »tyle pragnął i tyle cierpiał, że martwy świat nie zasnąłby tego przez całą wieczność« i szamoce się z cierpieniem, »na które w ludzkim języku nie ma już nazwiska«. Scena ta usiłowanego samobójstwa Wokulskiego należy do najpotężniejszych w literaturze świata. Czytelnik czuje jak u Goethego: *Der ganzen Menschheit Jammer fasst mich an...*

Lalka Prusa jest stanowczo zamało cenioną w naszej literaturze. Jeżeli w niej idea geniusza uczucia nie jest jeszcze zupełnie skryształizowaną, dojrzała ona w Prusie podczas pisania *Emancypantek*. Staje on tu przed zjawiającymi się poraz pierwszy u kobiet typami oschłego racjonalizmu i mędrkowania. Uspiony przez wieki, obudził się intelekt kobiecy i podejmuje walkę o swoje prawa, na początek — jak zawsze negując naogół wszystko, co było przed nim, więc zalety i cnoty, ucieleśnione w tz. »sercu kobiecem«. »Ludzkości — powiada główna bojowniczką ruchu — nie potrzeba aniołów, tylko kobiet samodzielnych i ceniących swą godność«, lub innym razem: »Zawiele mieliśmy kobiet litościwych, a zamało samodzielnych!«. Wobec takich ekstremów Prus postawił Mądzie, dziewczkę czystą i słodką, dla której »największe właśnie szczęście jest wtedy, kiedy człowiek może robić dobrze«, i która nie grzesząc zbyt rozwiniętym intelektem sieje dokoła dobro i szczęście... W swojej reakcyi przeciw zбочeniom Prus bezwarunkowo posuwa się zadaleko (przedstawicielką emancypacyi nie jest pani Latter ani Wandzia, tylko kilka figur śmiesznych, oraz przewrotna Helena Morska, gdy godny jej, łotrowski braciszek staje się reprezentantem... pozytywizmu) — powieść ta jest też więcej zajmującą, jako dokument czasu i duszy Prusa, niż jako dzieło sztuki. Kompozycja jest tu tak luźną, że każdy prawie tom stanowi odrębną dla siebie całość; pojedyncze ogniwa psychiczne są tu rozciągnięte do rozmiarów, psujących pogląd na całość; humor przechodzi często w karykaturę. Perspektywa społeczna nie jest tu tak śmiało i szeroko zakreślona, jak w *Lalce*, otwiera się tu za to inna perspektywa: w gwałtownej swej reakcyi przeciw jedno-

stronnemu racjonalizmowi, były pozytywista na falach uczucia wznosi się do ostatniej konsekwencji: do mistycyzmu. Znak to czasu, do którego potem wrócimy — jako znak aryzmu jest jego wyraz, prof. Dębicki, niezłączony z całością, dygresyjną artystyczną, figurą zupełnie martwą. Szkodę tę odczuwamy tem silniej, że w chaosie całości zaprzepaszcza się kilka linii cudownie nakreślonych — np. stosunek wzajemny płci do siebie, traktowany, jak zawsze u Prusa, filozoficznie — oraz kilka przepysznych postaci, między którymi geniusz uczucia, owa »głupiutka« Madzia jest jedną z napiętniejszych kreacji literatury polskiej.

Harmonię osiągnął Prus w jednej tylko powieści, w *Faraonie*. Panuje tu architektonika ścisła, umiejętna, czyniąc ją jedną z najlepiej skomponowanych powieści polskich; panuje głębia uczuciowa i myślowa obok niestychanie szerokiej skali twórczej. Z przedziwną intuicyją wciela się autor w dusze odległych wieków, kilkudziesięciu potężnych jednostek, kilku ras; odślania w akcyi, nie w opisie (pomijając wstęp) wszystkie te dusze i wszystkie skomplikowane sprzężyny mechanizmu państwa olbrzymiego, nareszcie stosunki wzajemne klas, warstw, instytucyj i historycznych typowych przewodców narodu. Czyni to Prus nie *ad usum* chwili, lecz *sub specie aeterni*, jego stary Egipt jest typem, odbijającym powtarzającą się wiecznie tragedję dziejową, walkę geniusza twórczego, pełnego ducha człowieczeństwa, porywów płomiennych i najświętszych, stęsknionego przytem szczęścia i dającego szczęście, z inercją masy i ze skostniałą tradycją, uosobioną po wszystkie czasy, u wszystkich ludów w zorganizowanej, silnej uświęconym zwyczajem, wpływem na umysł, szarlatańskiej i trawionej samolubstwem teokracji... Poeta zlewa się tu harmonijnie z wielkim myślicielem. Myśliciel realny czerpie z rzeczywistości dziejowej i natury ogólnoludzkiej obrazy pełne humoru, gorzkiej prawdy, widzi jasno smutne drogi i smutniejszy jeszcze koniec takiej jednostki, jak Ramzes; poeta widzi jednak poza nim większą prawdę: zwycięstwo ideału. Zadania tego Prus sobie hynajmniej nie ułatwia; nie daje on manekinów, poruszających się wedle jego nieumotywowanych zachcianek, nie kreuje wielkości, w które musielibyśmy wierzyć tylko na jego słowo. W całej nowszej literaturze jest Prus może jedynym, który tworzy rzeczywiście wielkie indywidualności; jego Wokulski, Ramzes istotnie imponują, nie frazesem, lecz siłą swego »ja« — a przecie i oni są ludźmi, czujemy, że zaledwie słabem są odbiciem tej idei doskonałości, która przemieszkuje w duszy autora, którą nam sugeruje z całą siłą swego talentu i do której po walkach, zawodach i cierpieniach, ginąc w przestrzeni, aby żyć w czasie, dochodzą bohaterzy uczucia...

Ze zbyt wielu pierwiastków złożony, nawet w małej kropelce pragnący słońca całe odbijać talent Prusa rzadko jest zrównoważony; wyższy żarem serca i duchem, niż Sienkiewiczza, nie posiada jednak jego poczucia harmonii,

towarzyszącego organizacyi ograniczającej się i chłodnej — rzadko tworzy też rzeczy bez zarzutu. Jest przytem pisarzem nawskróś męskim, bez sentymentalizmu i zawsze w odległe, nieraz kosmiczne wizye wpatrzonym; wobec faktu, że u nas o literaturze decydują kobiety, ostatnia okoliczność więcej stoi na przeszkodzie jego popularności, niż pierwsza. Nie ulega jednak wątpliwości, że wielkie powieści Prusa są »wielkie« w najszerszem znaczeniu słowa, i gdy o innych wielkich nie będzie się już pamiętać, te zachowają dla głębszych umysłów potęgę Szekspirowską.

ROZDZIAŁ XII.

SZTUKA W ŻYCIU CODZIENNEM. POWIEŚĆ.

Charakter lektury powieściowej w latach osmdziesiątych. Powieści szlacheckie i wielkemiejskie. — Bykowski Wilczyński. Charakterystyka Jordana, jako piewcy szlachty zamożnej, Klemensa Junoszy, jako piewcy *Syzyfów* i *Pająków*. Filozofia, temperament i humor szlachecki. — Powieści i opowiadania Wołowskiego, Rogosza, Aëra, Rawity-Gawrońskiego.

Siły kobiece. Kościatkowska, Chłędowska, Hajota. Powieść salonowa: Maryan Gawalewicz.

Żywoty i dzieła.

Powieść w tym okresie przeżywa głęboką ewolucję, której etapy znaczą nazwiska Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa.

Obok nich cały szereg autorów o mniej wybitnej indywidualności dostarcza nie dzieł sztuki, lecz lektury.

Głównym dostawcą do r. 1887 pozostaje ciągle jeszcze Kraszewski, pisze dużo Jeż, odezwał się po długoletniem milczeniu, nie budząc jednak żywszego zajęcia, Kaczkowski. W produkcji powieściowej można zauważyć dwa rodzaje, różniące się tak treścią, jak i techniką.

Rodzaj szlachecki kwitnie bujnie i ma specjalny zakres idei, formy własne. Jest konserwatywny. Wszystkie ewolucje ostatnich lat przeszły po nim bez wrażenia. Obok niego krzewi się coraz bujniej powieść i nowela wielkemiejska.

Piszą jeszcze autorzy nietylko z krwi i kości, lecz także z tradycji i zamiłowań szlacheców dopiero przybyłych ze wsi.

Każdy z ich sfery jest wybornym narratorem i facecyonistą. Opowiadanie ich płynie gładko, potoczyście, bez kunsztu stylowego i kompozytorskiego, zawsze jednak żywo, często łąz przeplatane, jeszcze częściej śmiechem, rubasznym, szerokim, jak u ludzi zdrowych.

Takim gawędziarzem-facecyonistą z początkiem lat ośmdziesiątych jest Piotr Jaksza-Bykowski; fejetony czasopism zalewa w tym czasie autor *Kłopotów starego komendanta*, Albert Wilczyński powieściami o niefrasobliwym humorze i niewyszukanej treści, które stają się coraz bardziej wodniste, płytkie, bezmyślne. Inni pisarze szlacheccy przy wszystkich cechach gatunkowych ulegają przymusowi czasu, piszą nietylko gwoli uciechy, lecz chcą uczyć bodaj drogą satyry, służyć tendencyą. Czas bowiem dla szlachty ciężki.

Jordana jest autorem szlachty zamożnej, borykającej się z losem, ale wśród dobrobytu i z szansami zwycięstwa. Kocha on ten stan, który uważa za wybrany a z terażniejszością nie może się pogodzić. Daleki jest od wyłączności kastowej, w zasadzie uznaje dobre strony gospodarzy „napływowych”, wzbogaconych mieszczan, ale gdzie może — w najczarniejszym rysuje ich świetle. Tylko *dla dobra ogółu* poświęca się jego idealny młody człowiek, obejmując posadę dyrektora banku; rozstaje się z nim jednak, bo świat-to brudu i podłości, a bankier jest wcieleniem czarnego charakteru. Natomiast jest zawód rolnika „najpiękniejszym i najużyteczniejszym” — szkoda tylko, że panowie bracia nie stoją na wyżynie swego zadania... Już nazwy ich miejscowości (Kuflewo, Łgarzewo, Sobkowice, Tchórzowice) dają przedsmak satyry Jordana, satyry, przypominającej mocno metodę i styl śp. chirurga filozofii.

Głębszą, bardziej uczuciową naturą jest najlepszy narrator szlachecki tej doby: Klemens Junosza.

Jordan — to piewca szlachty zamożnej, Junosza — zu-bożalej, jednowioskowej, wołów roboczych, którzy żyją *Na zgliszczech* — *Po burzy* — idą *Pod wodę*, a wszelki trud ich, poświęcenie, to prace *Szyzyfa*. Z pism autora wygląda twarz szlachcica o sumiastym wąsie, ogorzała, spocona, zafrasowana, uginająca się pod ciężarem myśli o gospodarstwie, służbie, pożyczkach, procesach, żydach, subhastach; przytem wszystkim gotów jednak każdej chwili wybuchnąć śmiechem, szerokim, wesołym, w rozmowie z żydem, którego będzie naciągał na „majufes“, swoją drogą bawiąc się z nim doskonale, w rozmowie z chłopem, na którego będzie kłął siarczyście, nigdy nie gniewając się nań szczerze. Pytanie wogóle, czy złote to serce szlacheckie kiedykolwiek gniewać się potrafi. Świat mu się przedstawia w niezbyt różowych kolorach, ale ostatecznie... chociaż to życie idzie po grudzie — niezli są przecie ludzie! Szczególnie z pierwszych nowel Junoszy przebija pogoda, prawie optymizm. Życie jest walką, ale niezbyt ciężką, „na zgliszczech“ spotyka się szlachcic z chłopem w rozczulającej zgodzie, jeżeli nie braterskiej, to sąsiedzkiej, chłop ten w ogólności chytry, zaniedbany, ale człowiek przecie, swój, a nie żaden niższy okaz zoologiczny, jak o tej porze opowiadał właśnie Dygasiński. Z czasem kuma-troska coraz bardziej przygniata, świat się staje posępniejszy, sytuacja majątkowa szlachty trudniejsza, szlachcic „automatem został, machiną do robienia dochodów lichwiarzom i ekonomem i parobkiem swoich wierzycieli“ — nareszcie wyczerpany organizm przestał funkcjonować. „Nie dziw. Ten człowiek dużo cierpiał, nieraz w jeden dzień więcej przeboleał, niż inny w przeciągu roku. Od młodości aż do kresu dni swoich dźwigał brzemię nad siły, dźwigał, dźwigał, aż przerwał się i upadł. Biedny Syzyf!“

Takie to ciche dramata zapełniają treść dziesiątek tomów Junoszy, smutne, zrezygnowane, a niewielka w tej treści różnica, gdy ze wsi przenosi się do miasta, do izby rzemieślniczej, do skromnego mieszkania urzędnika. Junosza cierpi wraz

ze swymi bohaterami, nie stoi więc ponad nimi; widnokrąg jego umysłowy za wąski, by obejmować szersze, ogólne, socjalne-polityczne przyczyny tego upadku ekonomicznego drobnej szlachty i proletariatu inteligentnego — jeden tylko widzi i naprowadza ciągle powód: żydów. Ci odgrywają w ostatnich jego pismach rolę pajaków, hyen, cichych, układnych, nieraz śmiesznych bestyj, żyjących krwią ludzką. Junosza zbyt jest szlachcicem, aby być twardym, zasadniczym antysemitą; bez żyda nie może on się obejść, ten służy mu do załatwiania wszystkich interesów a przede wszystkim do wywołania śmiechu, dobroduszej, rubaszej prawdziwie szlacheckiej wesołości. Nad żydkiem biednym, wygłodzonym, zapracowującym się, by wyżywić rodzinę, dobre serce szlacheckie zadrga litością, pośpieszy z pomocą (*Łaciarz, Froim*), nie maluje on jednak ani jednej postaci żydowskiej nowoczesnej, stojącej na poziomie dzisiejszej kultury, etyki, obowiązków obywatelskich. Prawdziwie po szlachecku ma sympatyje do żydów starego autoramentu, z rozczuleniem przedstawia „starego Manelesa“, nie lubi zaś „nowomodnych“ żydów; „jedna jest tylko mowa, którą oni rozumieją — pieniądz“. *Czarne błoto, Pajaki* — oto ich symbole.

Jednakowoż nawet w ciężkich terminach, jakkolwiek się dzieje, nie traci Junosza nadziei. Lekarstwem najlepszym jest praca, byle bez zbytecznego rozmarzenia, bez patrzenia na świat, wieś, chłopa *Przez różowe szkielka*, byle bez popadnięcia w drugą ostateczność: w bałwochwalstwo rozumu.

Wśród takich to pocziwych idei z dworka starego, a przede wszystkim wśród ciepła serdecznego, które w nim zawsze promieniuje, i przy humorze szczerym, swojskim, lubo pozbawionym już dawnego, waryackiego animuszu, da Bóg — jakoś to będzie...

Taką jest literatura, wyjęta z duszy wielkiej części społeczeństwa, bardzo pocziwa, bardzo swojska, bardzo przyziemna, a obok niej krzewi się druga, którą można nazwać

wielkomięską; mieszczańską, więcej kosmopolityczną, karm fejtetonów, z konieczności płytka, bo przeznaczona do osłodzenia czarnej kawy, zajmująca — dla ciągłości prenumeraty, moralna — bo abonowana przez „familie“, w duchu więc nielitościwej przeciętności, bez ostrza w jakimkolwiek bądź kierunku. Fejteton panoszy się, wytwarza własną technikę, mieszanię sensacji i dobrych obyczajów, sentymentu i pikanteryi. Piszą dla fejtetonu wszyscy, wielu zatapia w nich resztki znacznego niegdys talentu. Tak n. p. młody Skiba, tak Wińczyński, takim jest Michał Wołowski, który przez pewien czas mówił za innymi o wielkich sprawach, świętych uczuciach, potem mówił już o sprawach życia codziennego, nareszcie tylko o uczuciach banalnych, w sposób banalny, rażąco niepoprawny. W Galicyi głównym dostawcą lektury fejtetonistycznej jest Józef Rogosz, pełen temperamentu dziennikarz, wnoszący do powieści wszystkie kwestye dnia w przeróżnych oświetleniach, więc nasamprzód: w liberalnym, anti-klerykalnym, masonińskim (jako *Ajo*), potem — w szlachecko-demokratycznym, antiliberalnym, słowianofilskim, nareszcie — w demagogicznym, antysemitycznym, religijnym. Raz odkrywwszy kopalnię popularnych motywów w dziejach galicyjskich tuż przed 1848 rokiem, wynsnuł z nich jedną tendencyjną, żywo kreśloną powieść *Marzycciele* i kilka gorszych powtórzeń; słowianofilskiej swej idei poświęcił długą, nudną powieść historyczną z czasów husyckich, i jedną, żywszą, z współczesnej Galicyi: *Zdrajca*; w końcu wydawał przez lata długie opowieści często tesame pod zmienionym tytułem o małych miasteczkach, wielkich politykach, wielkich błagach, wielkich szwindlach galicyjskich, opowieści skłcone bylejaką, powiązane parafiańską erotyką, pisane niechlujną polszczyzną.

Strawę fejtetonistyczną urozmaicał oryginalnemi opowiadaniem A ě r - R z a ż e w s k i. Człowiek najlepszych chęci, lecz miernych zdolności, obrał był sobie za specjalność: osnuwanie powiastek na tle życia wielkich ludzi z naszej przeszłości.

Aby przemówić głosem duszy wybitnych indywidualności, które się przedstawia, trzeba w sobie coś z tych dusz posiadać, ażer nie miał w sobie atoli nietylko nic z Słowackiego, lecz nawet z Książnina...

Działalność powieściopisarską, która się miała stać bardzo płodną kosztem pogłębienia i artyzmu, rozpoczął w tym czasie Fr. Rawita. Rozpoczął ją pod znakiem pracy organicznej, uderzając na wszystkie przeciwne kierunki, więc na marzycielstwo polityczne, które popychało naród do bezowocnych wysiłków i nieszczęść, tudzież na marzycielstwo najmłodszych, którzy, jak ćmy w ogień, idą na lep hasłom czerwonym, emancypacyjnym. W dziejach szlacheckiego Jana Szeligi i syna chłopskiego Pawła Bułby (*Dwie drogi*) dał dwa typy tendencyjne: pierwszy wierzy we wszystkie utopie, któremi nas od tak dawna karmiła własna fantazyja i obcych niesumienność, przelewa więc swą krew na kilku pobojuwiskach, aż doznawszy ostatniego zawodu na wojnie francusko-niemieckiej wraca z krzyżem legii honorowej na piersiach, a zrozpaczony, złamany na duchu; drugi chłodny, trzeźwy, idzie za głosem obowiązku, potem goi rany własne i ogółu pracą sumienną na roli i w przemyśle; autor niema dosyć sadzy, aby malować nią postać agitatora Prokopa, który działa wśród młodzieży kijowskiej — łotr to nad łotrami. Taksamo *Błędnyimi ognikami* są u niego hasła emancypacji kobiet, uprzystępnienia dla nich studyów, działalności dla wyzwolenia klas pracujących. Główni przedstawiciele tych kierunków, Świderek i Niunia, to osobniki, u których niewiadomo, co przeważa: śmieszność, czy deprawacyja; korzyści z tego ruchu ciągnie tylko *Derdidas* i inne niemcy. Satyra autora przechodzi w karykaturę; potępiając objawy ujemne — nie umie dodatnich przedstawić w postaci ludzi artystycznie żywych i zajmujących; widząc przesady, zбочzenia, od wszystkich początków fermentacyjnych nieodłączne, nie chce dostrzegać pod niemi praw serca, praw konieczności rozwojowej i warunków żywotnych. Nie w serce bo ludzkie

patrzy, lecz w doktryny; tendencja jego zawsze więc pozostaje sporną, a artyzm — małym.

Talentem narratorskim, właściwie konwersacyjno-salonym odznaczają się prawie wszystkie kobiety piszące, które z początkiem lat osmdziesiątych coraz bardziej zawojowują fejeleton. Są między nimi jednostki o wybitnej inteligencji i wielkim smaku, jak Wila Zyndram-Kościółkowska, przypominająca pióro raz Orzeszkowej, raz Dygasińskiego, własny mająca sąd i styl jako autorka studyów i szkiców literackich; jak młodo zgasła *Stefania Chłędowska*, dusza artystyczna, prawie chorobliwie wrażliwa, pisząca nietyle z obserwacji, ile z reminiscencji literackich wiotkie, salonowe temata, subtelna w ocenianiu nowszych zjawisk literatury francuskiej i włoskiej. Dla większości młodych kobiet piszących typową jest *Hajota*, dziergająca szydełkiem salonowe roboty, zgrabnie, składnie, bez indywidualności własnej w żadnym kierunku, bez podkładu poważniejszego, podług wzorów znanych i uznanych: o dwojgu serc, szukających się przez całe życie, część życia, jedną chwilę, chylących się ku sobie w pocałunku, odskakujących od siebie ze wstrętem, rozdzielonych przez los, przypadek, świat okrutny. W większej powieści okazała Hajota talent budzenia sensacji romansowemi przygodami nawzór powieści angielskich, talent w ostatnich czasach przemawiający psirem tłem egzotycznym, językiem szkaradnym, zaturą wszelkich cech literackich.

Blade, zgrabne, dowcipne utwory salonowe kreślił w tym czasie *Maryan Gawalewicz*, który z biegiem lat miał się stać jednym z najwybitniejszych romansopisarzy fejeletonistycznych. Obok drobnych lekkich wierszyków pisał komedijki, arcydziełka elegancyi, espritu, filigranowej roboty; takie utwory, jak *Barkarola*, *Preludjum Chopina* etc. są cackami nie ustępującemi najlepszym tego rodzaju utworom francuskim; utkane z wdzięku, dowcipu i sentymentu, nieobciążone balastem myślowym, w miarę swobodne, zawsze zakończone moralnie, słusznie zyskały popularność u pięknych amateerek i prawdziwie

salonowych amatorów. Przebijają z nich wysoka kultura towarzyska świata, który się bawi, brak jeszcze kultury głębszej, umysłowo-moralnej. Nie widać jej też w galerii „Milusińskich“, zwanych raz „żonami“, raz „ona“ (*O niej*), gdzie autor nie przestaje być trubadurem we fraku — występuje za to w większych powieściach, odkrywających w gładkiej, potocznej formie coraz głębsze podkłady i sprężyny społeczne. Coprawda autor patrzy na nie długo jeszcze przez szkła salonowe.

Czujemy to w *Filistrach*, czujemy w *Drugim pokoleniu*, gdzie mamy przeciwstawione sobie typy dwóch generacji mieszczańskich: małego i wielkiego kapitalizmu; autor sympatyzuje z pierwszym, skromnym, pełnym cnót patryarchalnych, wierzy, że stary Fast robi majątek, mając tylko głowę i dziesięć zdrowych palców i że przytem zostaje idealnym człowiekiem, tak że gdy bankrutuje syn, uosabiający wielki kapitalizm z jego newrozą, pragnieniem milionowych zysków, szaloną jazdą ku egoistycznym celom — choćby na złamanie karku — robotnicy fabryki ofiarowują nadal pracę za połowę płacy robotczej... Mamy tu typowo-salonowe ujęcie kwestyi, rzucające na otchłań socjalną mostek sentymentalizmu; obsłony mgliste są też rzucone na charaktery i postacie ludzkie: wystarczy zestawić z nimi figury i sceny ze świata kapitalistycznego malowane przez konsekwentnych realistów Prusa, Reymonta... Z czasem i Gawalewicz zdobędzie się na kontur śmielszy i barwę gorącą, na realizm, operujący znacznym bogactwem bezpośrednich obserwacji i silnem, tętniącym życiem. *Mechesy*, szczególnie część pierwsza, to jeden z najprzedniejszych utworów realizmu polskiego. Ujął „realnie“ autor kwestyę: stosunku żydów wychrzczonych do społeczeństwa polskiego; bez mistycyzmu, z jakim traktowałyby gor omantyzm mesyaniczny, bez owego podkładu przyrodniczego, jaki swym dziełom nadaje wsparcie o teorye rasy, dziedziczności etc. naturalizm: stoi na stanowisku bieżącej praktyki życiowej, praktyki warszawskiej. Bohater powieści, Bernard Sandstein, ożeniony z ary-

stokratką Tolą, mówi do rezонера powieści, Kulisza, pełen żalu i goryczy: „Ja jestem meches, przechrzta, żyd, z którego w siedmiu święconych wodach nie zmyją piętna jego pochodzenia“... Na to Kulisz: „A wiesz pan, dlaczego? Dlatego, że sądzić cię będą z twojego otoczenia, z twojej sfery, z tych, którzy przynieśli z sobą wszystkie wady a ani jednej cnoty swojej rasy i przyjęli od nas to, co w nas samych było złem a nie nauczyli się niczego dobrego... Nie dosyć mieć dobrą wolę, jak pan, ale trzeba ją stwierdzić czemś bardziej przekonującym, niż frazes“... To idea — kwestya nią nie załatwiona. Taksamo realnie, w sposób codzienny, ale silnie, śmiało odzwierca autor stronę zewnętrzną: galeryja jego mechesów i mechesek, Sandsteinów i Sammetów, Feingussówek i cieni Voss, wszystkich tych ex-żydów i ex-żydówek, co odpadli od pnia jednego a na drugim przyjąć się nie mogą, co nic nie kochają krom próżności własnej, żadnego nie mają imperatywu duchowego krom nerwów, a troską ich, bolem bólów: by zatrzeć ślady swego pochodzenia — galeryja ta blichtru, spekulacyi, nicości, malowana zapomocą mnóstwa drobnych, świetnie zaobserwowanych rysów. Mniej wyraziście pod względem plastyki — z wyjątkiem starego Zawitowskiego — wypadła galeryja przeciwna, łącząca się z mechesami i uposażona też znaczną ze strony autora sympatją, choć pytanie jeszcze kto więcej zasługuje na pogardę: ten, co swe złoto, czy ten, co błękitną swą krew na targ wystawia...

Albert Wilczyński, urodz. w r. 1829, um. 1900 we Lwowie. Pisma cenniejsze: *Kłopoty starego komendanta*, *Nowe fotografie społeczne Sielanki szlacheckie*, *Wolny robocze*, *Z miasta i ze wsi*; zbiorowe wydanie w 20 tomach w Warszawie 1887.

Jordan-Wieniawski Julian urodził się w Lublinie 5 lutego 1834, Ukończywszy instytut agronomiczny w Marymoncie, brał udział w ruchu 1863 r., poczem przeniósł się do Paryża i Lipska, gdzie odbywał studia prawnicze handlowe. Po powrocie do kraju gospodarował na roli, od r. 1892 jest dy-

rektorem warsz. towarzystwa wzajemnego kredytu. Część pism, ogłaszanych od 1874 r. wyszła zbiorowo w Warszawie (1894, 6 t.). Napisał też kilka krotoczwil scenicznych (*Myszy bez kota, Słomiany człowiek, Polowanko, Dla dobra ogółu, Błaga, etc*) o grubym szarżowanym komizmie, bez większych pretensyj estetycznych.

Klemens Junosza (pseud. Klemensa Szaniawskiego), urodz. 23 listop. 1849 w Lublinie, ukończył w Siedlcach nauki gimnazjalne, po krótkiej karierze urzędniczej gospodarował w wiosce rodzinnej, od r. 1877 przebywał w Warszawie. Uginając się pod ciężarem walki o byt, pracował jako dziennikarz, pisywał wiersze humorystyczne, redagował kalendarze, kleił sztuki ludowe, wydawał po kilka nieraz powieści do roku, wśród obojętności społeczeństwa, które czerpało z jego utworów śmiech i łzy, aż sterany zakończył życie w Otwocku (1898); pochowany w Lublinie. Szereg pism jego jest bardzo długi; najważniejsze: *Z mazurskiej ziemi* (1884) osobno: perła tego zbioru, *Łaciarz; Pan sędzia* (1887), *Przez różowe szkiełka* (1888), *Nasi żydzi w miasteczkach i na wsiach* (1889), *Obrazki szare* (1891), *Z zapadłych kątów* (1891), *Syzyf* (1891), *Z antropologii wiejskiej Z Warszawy, Na bruku, Wnuczek, Żona z jarmarku, Monologi, Stracone szczęście, Pod wodę, Icek podwójny, Muzykanci, Wilki, Oryginał z Piskorzewa, Chłopski necenas* (sztuka ludowa, 1881). Część pism Junoszy wyszło w wydaniu zbiorowym (10 tomów, Warszawa).

Talent nierozległy, ale nawskróś swojski, indywidualny, pełen szczerości i dobrej woli. Zmuszony żyć z pióra, pisywał częstokroć »na kolanie«, jak atoli sumiennie pojmował obowiązki pisarskie, świadczy fakt, że znając doskonale z długoletniej praktyki żydów, nie poprzestał na tem, ale specjalnie nauczył się hebrajskiego abecadła, aby wniknąć w literaturę żargonową; owocem tych studyów — przykład na polskie dwóch utworów najlepszego pisarza żargonowego, Abramowicza: *Donkiszot żydowski i Szkapą*. Junosza jest też najlepszym w naszym piśmiennictwie znawcą żydów, ale wyłącznie tych, z którymi się stykał, jako gospodarz wiejski i jako ofiara »pająków«. Tych znał, wydobywał z nich mocą prawdziwego talentu głębokie rysy psychiczne, a mocą predyspozycyi szlachcica wiejskiego — przedewszystkiem komizm (*Icek podwójny, Muzykanci* etc.). Dar humoru posiadał w wysokim stopniu i tym łagodził ostrze wszystkich swoich sądów; rzadko potępiał, najczęściej ośmieszał. Ten sposób traktowania ludzi i rzeczy czyni go pisarzem wyłącznie rodzajowym; malował wieś szeroko, typowo, rubasznie, jak Wierusz-Kowalski, czasem nawet jak Kostrzewski, serce jego współczujące towarzyszyło jednak wszystkim objawom cierpienia, nędzy, poniewierki, gdziekolwiek je dostrzegał. Kilka stworzonych przezeń figur, kilka jego kartek zasługuje, by w literaturze zostały.

Mich. Wołowski urodz. 1851 w Mławie, studia odbywał w War-

szawie, Krakowie i Monachium. Był współpracownikiem prawie wszystkich pism postępowych polskich, w ostatnich latach życia — dyrektorem teatru w Łodzi. Pisma: Powieści: *Dziwni* (1873), *U swoich na obczyźnie* (1874), *W drodze za chlebem* (1875), *Cyganiatko* (1883), *Był żydem* (1884), *Piekielko* (1886), *Dzieci Warszawy* (1889), *Z dogmatem* (1884), *Ostatni piorun* (1888), *Jasne i ciemne obrazy*; trwalszą wartość mają jego nowele: *Przyszłedł Węgier...* i *Zdrajca*. Sztuka jego kontuszowa: *Towarzysz pancerny*, otrzymała nagrodę konkursową.

Józef Rogosz urodz. 1844 w Baligródzie, umarł 1896 w Maryenbadzie. Rozpoczął poezjami (*Olga, Ciernie* 1863), pracował potem po kolei we wszystkich pismach liberalnych Galicyi, pod koniec życia założył i prowadził antysemicki *Głos Narodu* w Krakowie; prócz przeszło 20 tomów powieści opublikował *Choroby Galicyi* (1876—78) i rozprawę: *Artur Grottger i Jan Matejko* (1875).

Adam Rzażewski (Aër) urodz. 1845 na Podlasiu; po niepowodzeniach na roli w r. 1880 udał się do Paryża, gdzie umarł w r. 1885. Wydał: *Studjum o Kochowskim* (1871), *Pierwszy romantyk* (1883), *Ostatni krzyżowcy*, *Miłość poety*, *Złudzenia* (1885), *Dwa temperamenty*, *Opowiadania i studia* (1885); szereg mało krytycznych monografij o Mickiewiczu.

Franciszek Rawita-Gawroński urodz. 23 paźdz. 1846 r. w Stepaszkach na Ukrainie. Studya gimnazyalne odbywał w Kijowie. Za udział w ruchu 1863 r. przesiedział 1½ r. w więzieniu rosyjskiem, poczem ukończył studya agronomiczne i z tej dziedziny wydał kilka fachowych dzieł. Nie zmiernie pracowity przerzucił się potem na pole twórczości literackiej i naukowo-histerycznej. Pisma naukowe: *Ustrój państwoowo-społeczny Rusi w XI i XII w.*, *Zoryan Dołęga-Chodałowski* (1900), *Mich. Czajkowski* (1900), *Studia historyczne* (1900), *Historja ruchów hajdamackich* (1901), *Rok 1863 na Rusi* (1902). Powieści nawpół-historyczne: *Na krasnym dworze* (z pobytu Bolesława Śmiałego w Kijowie, 1889), *Hetman Mazepa*, *Na kresach* (86), *Charcyczy* (ruch hajdamacki 93), *Złotobrody emir*, *Raclawice*, *Warszawa*, *Z domu niewoli*. We wszystkich tych powieściach porusza przeważnie stosunek Polski do Rosyi; stoi twardo na gruncie polskim, przedstawia upodlenia ugodowości — szkoda tylko, że bez temperamentu i kolorytu artystycznego. Te powody czynią też szaremi — mimo silnej tendencyjności — powieści jego współczesne: *Dwie drogi* (86), *Cmy nocne* (wyd. II pt. *Błędne ogniki*), *Poszukiwacze szczęścia* (90), *Dramat rodziny* (90), *Marzenia* (96), *Dziki człowiek*. Mieszka we Lwowie.

Wilhelmina Zyndram-Kościakowska w Grodnie. Nowele: *W półcieniu* (1884), szkice o Igu. Chodźce, Syrokomli, Bret-Hartem, P. Loti'm, Dickensie.

Stefania Chętdowska 1850—1884. *Pisma* w 4 t. Lwów, 1885

Hajota-Bogucka Helena, obecnie wdowa po podróżniku Szolc-Rogozińskim, urodz. 1862. *Poezye* 1884, *Nowele* 1883, *Co życie dało* 1886. Powieści: *Błędne koło* 1887, *Ich syn* 1893, *Jak cień* 1894.

Maryan Gawalewicz urodził się 21 paźdz. 1852 we Lwowie, studia kończył w Krakowie, gdzie wcześniej zaczął pisać wiersze w duchu pozytywistycznym. Przeniósł się do Warszawy, rozwinął bardzo żywą działalność literacką i publicystyczną. Osobno wydał dwa tomy *Komedyj jednoaktowych i monologów* (1890), mających trwałe powodzenie na scenach amatorskich, głębszej wartości utwory sceniczne: *Dzisiejsi, Stare długi* (1892), tom *Poezycji* (1889) i *Sylwetek i szkiców literackich* (1888), *Legendy o Matce Boskiej* do kartonów Piotra Stachewicza (1893) i długi szereg utworów powieściowych: *Gasnąca dusza* (1887), *Filistry* (1888), *O niej*, nowelle, 2 t. (1888), *Żona* (1888), *Majster do wszystkiego* (1889), *Biedni ludzie* (1890), *Drugie pokolenie* (1891), *Z mego albumu* (1892), *Ćma* (1892), *Mgia* (1893), *Mechesy*, 2 t. (1894), *Dusze w odlocie* (1895), *Bluszcz*, *Od jutra* (1896), *Szubrawcy* (1897), *Cudak* (1898), *Motyl* (nowelle 1898), *Znak zapytania* (1900), *Warszawa* (1901). Przez kilka lat redagował *Tygodnik ilustrowany*, obecnie należy do redakcji *Kurjera Warszawskiego*. Miłośnik i jeden z najlepszych u nas znawców teatru, kierował bezinteresownie przez dwa lata warszawskim teatrem ludowym.

Zbyt liczna produkcja wyciska na większej części tych utworów ślady pośpiechu, niedbałości w wykonaniu (*Cudak*), gonitwy nerwowej za zajmującą, sensacyjną fabułą (*Warszawa*); autor, o ile nie ulega modnym prądom salonowym (neo-katolicyzm: *Legendy*, mistycyzm: *Dusze w odlocie*, *Od jutra*) opowiada w sposób dość jednostajny i szary, w rodzaju jednak powieści salonowej daje więcej elegancyi i myśli, niż zwykle tego rodzaju utwory pisarzy obcych.

Najlepszy utwór Gawalewicza pozostał szerszej publiczności nieznanym. W opowieści *Synowie Laokoona* (druk. w *Ruchu katol.* 1897) z poezją i siłą symbolizuje losy Polski.

ROZDZIAŁ XIII.

Skarga Sygietyńskiego na wybujałość tendencyjności w literaturze i żądanie artystycznych dokumentów ludzkich. Geneza i znaczenie naturalizmu francuskiego. Stendhal, Balzac, Zola, Daudet, Maupassant.

Grunt dla powieści naturalistycznej u nas. *Wędrowiec* i jego grupa. St. Witkiewicz. Atak jego na obóz idealistów. Zwycięstwo konsekwentnego realizmu w malarstwie. Chełmoński. Al. Gieryski.

Naturalizm w powieści. Adolf Dygasiński. Jego stosunek do przyrody polskiej. Mózg uczonego a serce poety. Dygasiński a Kipling. Gabriela Zapolska. Newroza wielkowiejska a temperament autorki. *On i ona*, jako tragedia *Menażeryi ludzkiej*. Niezdolność do wielkiej koncepcji człowieka i świata. Wyszlachtnienie talentu, opuszczenie pola erotyzmu — brak uczuć prawdziwie bohaterских. *Tamten* — a bezwiedny kult siły. — Ant. Sygietyński. Jego obiektywizm i metoda anatomiczna [Powieść-kinematograf bez głębi i ciepła duszy. — Ostoja. Liryzm pod maską przedmiotowości. Smutek zrezygnowany. — Z. Niedźwiecki. Urąganie zwierzęciu ludzkiemu. Jasny promień *U ogniska* robotniczego — na krótko. Konsekwencją wstrętu i mizantropia

Zasługi naturalizmu polskiego. Zdobycie prawa bezwzględnej szczerości. Rozszerzenie sfery powieści polskiej, nałożenie na autorów obowiązku sumienności. Pierwiastki naturalizmu, jako pomost między starą sztuką a nową. Niezdolność naturalizmu do objęcia całej głębi natury ludzkiej i do jej uskrzydlenia.

Zywoty i dzieła.

W r. 1887 Antonì Sygietyński, który niedawno wrócił był z Paryża i pisał entuzjastyczne studia o natura-

lizmie francuskim, skarżył się gorzko na niski stan literatury polskiej. „Z wyjątkiem — pisał — kilku wybitniejszych autorów, z których jedni produkując za wiele, przeżyli się w formie, a drudzy, produkując za mało, nie wywalczyli jeszcze prawa obywatelstwa dla nowej — talentów powieściopisarskich w całym znaczeniu tego słowa, nie mamy. Powieść oparta na tle życia, na dokumentach ścisłej obserwacji, na analizie duszy ludzkiej, leży u nas odłogiem, zostawiając wolne miejsce powieści tendencyjnej, której wartość zewnętrzna w niczem nie przewyższa wartości pierwszego lepszego artykułu wstępnego, napisanego pod wpływem chwili i żyjącego tylko przez chwilę. Taksamo jak w malarstwie, artyzm i prawda życiowa grają tu bardzo małą tylko rolę, albo nie grają jej wcale. *Szlachetne dążności* pokrywają wszystkie niedostatki, panują nad psychologią, nad charakterami, nad językiem, uwalniają od obserwacji, rozgrzeszają z sentymentalizmu, zasłaniają krytyce oczy na brak wszelkiej indywidualności, dają wstęp do wszystkich redakcyj, stanowią jedyną podstawę u nas do sądzenia powieści. Dzieło sztuki nie istnieje wcale“.

W wyzywających tych słowach mamy echa wszystkich haseł, któremi rozbrzmiewała będąca ok. 1884 r. na szczycie powodzenia powieść naturalistyczna francuska. Powieść powinna więc być przede wszystkim dziełem sztuki, powinna opierać się na dokumentach, na obserwacji i analizie — z silnym zaakcentowaniem indywidualności pisarskiej — powinna być wyłącznie dziełem artyzmu.

Słowa takie były na naszym gruncie względnie nowe. Od pierwszych ballad Mickiewicza, Polska rewolucji czysto literackiej nie znała. Odbijały się tu wszystkie prądy artystyczne zagranicą — bez krańcowości i roznamiętnienia. Nie toczyli tu ludzie bitew z powodu płaszczu Hernaniego, nie entuzjastowali się dla formy, jak Gautier i parnasowcy, nie wymyślali dreszczu dla dreszczu, nie wojowali o wyrazy este-

tyczne lub brudne. Pisarz był kapłanem, potem sługą narodu; strzegł jego Znicza, potem jego kasy i zdrowia.

Nawet flegmatyczne Niemcy miały po r. 1880 swoją rewolucję literacką; Zola, Dostojewski wywołali krzykliwych naśladowców, nowy chaos „burzy i naporu“, z którego się miał wyłonić konsekwentny realizm z Gerhartem Hauptmanem. U nas znano nieco prądy nowego piśmiennictwa francuskiego, uosobione w Zoli, bo niektórzy łaknąc skandalu, czytali go w oryginale, niektórzy spotkali się ze streszczeniami jego utworów w *Przeglądzie Tygodniowym*, zaś czytelnicy gazet wiedzieli, że już w r. 1880 zniszczył Zolę i naturalizm odczytem Henryk Sienkiewicz, potem czynili to artykułami i broszurami Gnatowski, Tretiak, Choiński — każdy zresztą „szanujący się“ krytyk, przy sposobności, albo i bez sposobności. Rewolucja literacka, której około r. 1880 na zachodzie punktem wyjścia był naturalizm, długo nas omijała...

Czy zresztą istnieje rewolucja czysto literacka? czy istnieje sztuka dla sztuki? Rzecz bardzo wątpliwa. Literatura to kwiat albo woń kwiatu, którego korzenie tkwią zawsze w ziemi — w całokształcie stosunków społecznych i kulturalnych narodu. Sztuka naturalistyczna to dziecko rozkwitu mieszczaństwa i najlepszego jego wytworu: nauki nowoczesnej. „Powieść eksperymentalna — poświadcza Zola — jest wynikiem i potrzebą naukowej ewolucji naszego stulecia; jest dalszym ciągiem i uzupełnieniem fizjologii, która znowu opiera się na fizyce i chemii; stawia na miejsce człowieka abstrakcyjnego, metafizycznego, istotę organiczną, ulegającą prawom fizycznym i wpływom otoczenia; jest — słowem — literaturą wieku naukowego“. A gdzie przytem — należy zapytać — piękno? Na szczęście siła Zoli nie w eksperymentowaniu leży, nie w formułkach, które nigdy literatury nie stworzyły, lecz w talencie twórczym i poetyckim, tą poezją nowoczesną, smutną i okrutną, fosforyzującą a trzeźwą — poezją miast wielkich; w talencie, który pozwala intuicyjnie przenikać mechanizmy życia dzisiejszego i pod-

nosić je do potężnych symbolów poetyckich, do rodzaju *Fatum*, panującego nad jednostkami i społeczeństwami, w talencie odczuwania i kierowania wielkich mas ludzkich, — nareszcie w tęsknocie bezbrzeżnej za czemś wielkiem i pięknem, stojącym ponad całą zgnilizną społeczeństwa burżuazyjnego.

Te to własności indywidualne czynią Zolę pisarzem wyższym i trwalszym nad naturalizm, który zresztą nim się nie rozpoczyna i na nim się nie kończy. Po Stendhalu i Balzacu, z których ostatni zresztą częstokroć jest subtelnym fantazją i metafizykiem, dał Flaubert arcydzieło naturalizmu, bo zupełnie obiektywne i „eksperymentalne“: *Mme Bovary* jeszcze w r. 1857, *Salambo* w r. 1862; Goncourtowie wydali swoją na najsumienniejszej obserwacji opartą *Germinię Lacer-teux* w r. 1865, gdy Zola pierwszy tom *Rougon-Macquartów* wydał w r. 1871. Do naturalistów zaliczał się również pełen południowego temperamentu i zakapturzonego liryzmu *Alfons Daudet*, i cały szereg „młodych“, którzy skupiali się około Zoli, wydali wraz z nim „Wieczory Meudońskie“, i z pośród których rychło europejską sławę uzyskał nieubłągany w jasnym patrzeniu na ludzi, mistrz w wyszukiwaniu bestyi w człowieku a czuły w stosunku do przyrody *Guy de Maupassant*. Każdy z nich pojmuje sztukę inaczej, inne nadaje jej przeznaczenie; jak dla Balzaca pisarz był „wychowawcą ludzkości“, tak Zola uprawia »*l'art pour l'enseignement*«, gdy Goncourtowie, subtelni arystokraci ducha, z namiętnością przewyciężają naturę, odtwarzając ją z hasłem *l'art pour l'art*. Wśród najróżnorodniejszych formuł, programów i celów, pozostaje tedy jedna nić wspólna dla nich wszystkich: indywidualnie odczuta sztuka, jako dalszy ciąg natury. Tak pojęta powieść — mówi Taine — „stała się obrazem życia, a język zwierciadłem, w którym natura istniejąca, prawdziwa, przegląda się z taką niepokalaną czystością, że tylko dla bardzo wprawnego oka obraz zabarwiony jest prawie niewidocznym promieniem podmiotowego światła, wten-

czas kiedy u Stendhala i Balzaca osobistość autora gra tak wielką jeszcze rolę w powieści, jak świat obserwowany, zewnętrzny. W *Pani Bovary* i *Wychowaniu sentymentalnem* pierwiastki romantyczne zostały usunięte na bok; wyobraźnia ustąpiła miejsca ścisłej obserwacji życia. Autor nie wynajduje już scen, ale bada wypadki, szereguje je i wiąże w artystyczną całość, sam starannie się ukrywając poza naturą i akcją swoich powieściowych osobistości, które poraz pierwszy przestały być bohaterami. Dzieło żyje życiem prawdy, ale nie nadzwyczajnością fantazyi autora, artystycznym obrobieniem całości, ale nie wyskakującymi epizodami szumnej deklamacyi lub naprędce zbudowanymi traktatami filozofii i moralności, zastosowanymi do użytku chwili. Autor, jak Homer — według trącej dzisiaj krótkowidztwem oceny Cycerona — upodobał sobie w znizaniu bogów do warunków ludzkich, zamiast podnosić ludzi do warunków boskich.“

Jakż odesk odskok ogromny od teoryj i dzieł tego rodzaju do literatury naszej powieściowej z połowy lat ośmdziesiątych! Sienkiewicz hypnotyzował właśnie umysły swem *Ogniem i Mieczem* i pisał *Potop*, ale powieść historyczna nie odpowiadała wymaganiom realistów, a Brandes nazwał ją „prawdziwą kawą figową“, która nie jest ani kawą ani figą; Prus nie miał za sobą jeszcze ani jednego z swoich wielkich dzieł, Orzeszkowa odwróciła się była na chwilę od terażniejszości, śniąc o wielkich powieściach historycznych — przeważna zaś część pisarzy tonęła albo w obłokach romantyzmu, za któremi jednak Boga nie było, albo też pomalowanej jaskrawo lub szaro literaturze życia codziennego, braki swoje artystyczne okupującej mniej więcej popularną, mniej więcej pocziwą, liberalno-konserwatywną tendencyą. Naogół biorąc, powieść stała daleko wstecz poza rozwojem ogółu społecznym i naukowym, wydającym w konsekwencyi swej „powieść, opartą na tle życia, na dokumentach ścisłej obserwacyi, na analizie duszy ludzkiej“.

artystyczną, jak każdy musiał pragnąć, naturalistyczną — jak pragnął Sygietyński...

W roku 1885 A. Sygietyński wraz z St. Witkiewiczem i Adolfem Dygasińskim objęli kierownictwo *Wędrowca*, pozostającego wówczas pod redakcją Artura Gruszeckiego i zamienili go w ognisko żywej propagandy, której treścią: dążenie do prawdy. Dygasiński pisał artykuły społeczne, tchnące uczuciem bezwzględnej sprawiedliwości i drukował tu część najlepszych swych nowel; Sygietyński brał „do światła“ starych i młodszych pisarzy i hyper-krytycznym swem piórem dokonywał na nich wiwisekcji; Witkiewicz zaczął rzucać bomby w obóz estetyków.

W grupie *Wędrowca* najwybitniejszą indywidualnością był St. Witkiewicz. Dusza śmiała, ognista, nawskroś artystyczna w połączeniu z rozumem trzeźwym, analitycznym, wysoce uświadomionym i uświadamiającym; umysł nieobdarzony zbyt rozległą fantazyą i intuicyą, o ograniczonej przeto skali twórczości, lecz ścisły, jasno patrzący, rozumowaniem i dyalektyką zdobywający, czego nie odkrywa nagłą błyskawicą ducha; fanatyk prawdy, stąd wrogo z początku usposobiony dla wszystkiego, co niejasne, marzycielskie, transcendentalne, mistyczne, lecz wznoszący się powoli do rozumienia — choć nie odczuwania — wszystkich indywidualizmów, wszystkich głębi i przepaści i mroków natury ludzkiej — Witkiewicz był, jak stworzony, do odnowienia krytyki swego czasu. Jako malarz pisał najwięcej o dziełach malarskich, rozsiewał jednak tyle filozoficznych poglądów o pięknie, poruszał tyle żywotnych kwestyj estetycznych, pierwszorzędnym polemista tak przytem umiał nakazywać sobie posłuch, że wpływ jego działał orzeźwiająco i pedagogicznie na wszystkie pojęcia artystyczne ogółu. Pozostawiając na uboczu krytyków, będących raczej uczonymi historykami, mając przed sobą dwojaki typ krytyka wówczas panującego: reportera, wypisującego brednie z powodu zwyczajnej niesumienności i doktrynera, przejętego formułkami, romantycznej, metafizycznej spekulacji — Witkie-

wicz zachowywał się wobec nich, jako nieubłagany szyderca i pogromca. „Wartość dzieła sztuki — wołał — stanowi nie ta lub owa idea, w imię której zostało ono stworzone, lecz siła talentu jego twórcy“, talent zaś powinien w dziele wyzwalać pełną swą indywidualność, przy pomocy pierwiastków sztuki, „które są stałym, bezwzględnie koniecznym warunkiem jej istnienia“. A tymi pierwiastkami? „Jeżeli chodzi o malarstwo, to harmonia barw i loika światłocienia, który ogarnia całą prawie sprawę doskonałości kształtu; jeżeli o rzeźbę, to tylko ta doskonałość kształtu; jeżeli o literaturę, to loika myślenia i doskonałość mowy, a we wszystkich tych trzech odłamach sztuki, o ile one wyrażają rzeczywistego człowieka i świat rzeczywisty — ścisła prawda w ich przedstawieniu“.

Formuła więc konsekwentnego realizmu, racjonalistyczna, zrywająca ze wszystkimi potęgami *x*, które operowała dawna romantyka i które dzisiaj, bardziej naukowo, znowu wracają do życia. Z satysfakcją podkreśla też Witkiewicz zdanie Kanta, że „sztuka wtedy tylko może być nazywana piękną, kiedy posiadamy świadomość, że ona jest sztuką, a jednak wygląda, jak natura“. Więc sztuka, jako ciąg dalszy natury.

Witkiewicz zwyciężył. Krytycy-„idealiści“ jak profesor Struve, Gerson, ustąpili z pola, od nowych zaczęto żądać prawdy, potem prawdy artystycznej. Zapoznane dotychczas talenty malarskie Chełmońskiego, Aleksandra Gierymskiego zaczęły znajdować uznanie, a gdy zdobyły zagranicę — stały się nawet znakomitościami narodowymi; ich indywidualności, bardzo zresztą odrębne, polegające na niesłuchanie głębokiem odczuciu nastroju natury polskiej u Chełmońskiego a na pokonywaniu największych trudności światła u Gierymskiego, u obu zaś zgodne w zbożnym, wiernem odtwarzaniu pola swej obserwacji, bez zabarwień subiektywnych, bez wizyj fantastycznych i idei apriorycznych, są kulminacyjnymi punktami polskiego naturalizmu w malarstwie.

W literaturze naturalizm arcydzieł nie wydał, wzbogacił

ją jednak kilkoma indywidualnościami i utworami, które mają znaczenie historyczne i nietylko historyczne. Wszystkie odznaczają się cechami, właściwymi temu kierunkowi u wszystkich narodów. Z chwilą, kiedy człowieka przestajemy uważać — jak dawniej — za ognisko sił duchowych, tylko za jeden z licznych okazów zoologicznych, pogląd na świat nie może być wesołym.

Smutnym jest też naturalizm — i ucieczkę od nędzy rzeczywistości znajduje tylko albo w dobroci, albo w pogardzie. Widząc w człowieku drobne ogniwo, igraszkę natury, lituje się nad nim, przychyła mu serca, zrywa się nieraz do bezsilnego buntu, inni wobec tak zorganizowanego bytu stają dumni, milczący, urągliwi...

Tak predysponowany naturalizm miał już dla siebie grunt w tym stanie społeczeństwa, w którym widzieliśmy je podczas najwyższego rozkwitu pozytywizmu. Pisarze naturalistyczni pojawiają się też zaraz po r. 1880, znacznie wcześniej, zanim padły formuły krytyczne i hasła programowe.

W r. 1880 zaczął pisać swe nowele Adolf Dygasiński, naturalista z głębi wszystkich swych skłonności artystycznych i zamiłowań naukowych. Dygasiński obcuje z przyrodą bezustannie i miłośnie. Na cześć słońca wyśpiewuje hymny, godne kapłanów staroperskich, dla siły przyrody ma kult iście pogański. A nad wszystkie strony kuli ziemskiej najdroższą i najpiękniejszą jest dlań rodzina. „Nigdzie tak pięknie nie śpiewają słowiki ani skowronki, nigdzie bzy nie mają woni tak miłej, nigdzie róża nie przyozdabia świata cudowniej, jak na Ponidziu“. Uwielbia przyrodę artysta — rozumie ją jasno i bez iluzji filozof-pozytywista. Widzi on w niej splot sił elementarnych, staczających z sobą bezustanną walkę o byt, nie-miłosierną i nieskończoną. „Dobrych i niewinnych stworzeń nie ma na świecie — nie łudźmy się: są tylko silni i mniej silni!“ Głód i miłość — to jedyne osie, główne motory wszelkiego życia. Ale to oblicze groźne jest zarazem tak pełnym

potęgi, cudownych tajemnic i czarów, że wpatrywać się w nie należy z podziwem i miłością.

Patrzy też Dygasiński w przyrodę, jak przyrodnik-uczony, który przedewszystkiem zna zjawiska mechaniczne i te opisuje. Nie przemienia ich nigdy w czysto psychiczne, nie pozwala igrać swej fantazyi, nie tworzy cudów nieistniejących. Jest poetą — bo i „jak nie być poetą, twórcą mitów, mając pod bokiem puszcze“ i cały bezmiar pól, łąk i borów polskich — poezya jego stoi jednak zawsze na solidnym fundamencie zoologii i botaniki. Jest poetą, który ożywia rzeczy nieżyjące a żyjące podśluchuje i odtwarza tętno ich duszy, ale nie zapomina ani na chwilę o rządzących niemi nieubłaganych prawach. Jego puszcza, jego las, jego łąka ukwiecona — wszystko to dyszy życiem, cieszy się, walczy i cierpi, śpiewa, jęczy, szumi modlitwą — w zgodzie ze swoim mechanizmem, który przed nami się odślania w całej nagości. A jeżeli ten świat jest dla nas ostatecznie czemś więcej, niż zbiorem kółek prawidłowo funkcjonujących, to dlatego, że chłodny obserwator i myśliciel stoi ponad nim sercem. Wielkim malarzem świata zwierzęcego jest Kipling w swoich *Księgach dżungli*, jednakowoż — prawdziwy Anglik — stoi ponad tym światem rozumem i wolą. Jego Mowgli jest od urodzenia królem, żaden wilk nie wytrzyma siły jego spojrzenia, dzierży on zresztą w ręku symboliczny ogień. Dygasiński nie wznosi człowieka ponad przyrodę — zbyt jest pozytywistą — ale każe wszystkim stworzeniom, co cierpią i walczą, być bratem. Odczuwa naturę wilka Buty, którego zabijają, że zamordował wieprzka, gdy mordować go i zjadać mogą tylko ludzie; wzrusza historją Kwiatka, Targaja, albo tego Asa, psa-entuzjasty o organizacyi delikatnej, wrażliwej, spragnionej artystycznej niezależności, miłości, pieśczoć; przejmie współczuciem nawet dla owego zająca, którego całe życie jest historją strachu i pokonywania go przy pomocy duszy, zakłętej w skokach... Zimną i nieubłaganą jest natura, ale ciepłem jest serce człowieka, który

wszystko poznał; tylko on potrafi wżyć się w duszę wszechświata a także w duszę wszystkiego, co cierpiące i skrzywdzone...

Szczyt naturalizmu polskiego widziano długi czas w autorce, która także w pierwszych latach ośmdziesiątych rozpoczęła działalność pisarską — w *Gabryeli Zapolskiej*.

Nie „z pól i z lasów“ świeżych i naiwnych wyrosła jej twórczość, lecz z bruku wielkomięjskiego, rozpalonego ogniem namiętności, zbrodni i pokus, z salonów i buduarów, których perfumy łączą się z powiewem wyrafinowanych żądz, nadużyć, z całej tej atmosfery wielkich ognisk nowoczesnej kultury, której miazmaty podsycają newrozę chorych, zatruwają organizmy zdrowych, zło rozdzymają do rozmiarów potwornych, u niewinnych wywołują ferment rozkładowy, wytwarzają powszechną gorączkę zmysłów, podsycają bezustanną walką interesów, płci, idei, maniactw, znaczącą się trupami krwawymi ofiar, tryumfem najbezpieczniejszych, gloriolą rzadkich, nadludzkich poświęceń... Atmosfera to stolic, Lwowa, Warszawy, Paryża, wysyłających gorące swe opary także na wieś, do starych rodów o krwi zdegenerowanej, do dusz nawet dziewczek wiejskich, których bujną zmysłowość deprawuje się przy kołtysce niańczonych przez nie dzieci pańskich, do wschodniej fantazyi żydówek, do kuchni służby, do suterren stróżów i do serc delikatnych dziewczątek, dyszących histerycznie w modnym pensjonacie stołecznym. Cały ten świat, a właściwie wszystkie te światy dawno straciły idylliczny charakter, jaki noszą w powieściach Kraszewskiego i Korzeniowskiego, demon używania, niepokoju, newrozy opanował je i pożera; w utworach Zapolskiej wyjątkowo tylko zdarza się taka cicha i kojąca oaza, jak np. *Siostrzyczki*, zresztą jesteśmy na puszczy spalonej od żaru, wstrząsanej dreszczem wschodniego samum a najczęściej rykiem „menażeryi ludzkiej“, rozgrywającej tu odwieczną swą tragedję: *on i ona...*

Odwieczny temat „komedyi ludzkiej“, urosły w uogól-

nieniach filozofów i artystów do dylematu walki płci. Do niedawna, pokąd *mulier in ecclesia* milczała, głos w tej walce zabierał najczęściej mężczyzna. I on to stworzył szereg wizyj i teoryj ciągnących się olbrzymim łańcuchem od mistyków chrześcijańskich średniowiecza do najnowszej doby, do współczesnych Ropsa, Strindberga, Przybyszewskiego, w których duszach pokutuje widmo kobiety-grzechu, kobiety-wampira, wysysającego z mężczyzny serdeczną krew i soki najszlachetniejsze, rozkosz jego i zguba, raj jego krótkotrwały i piekło bezdenne — bezkresne. I narzucają nam artyści tę swoją wizję, przemieniającą się w potępińczy taniec córki Herodyady, w taniec miłości i śmierci — aż tu w ostatnich czasach do głosu przychodzi kobieta i winę rozkłada na obie strony. Ileż to razy widzimy mężczyznę, jako narzędzie grzechu pierworodnego, jako wcielenie potwora, który nad ludzkością ciąży nieczystą — nieczystą swą żądzą lubieżną i w rozszalałej pogoni za żerem depce wszystkie kwiaty, wszystkie uczucia, przykazania wszystkie... Przykładem bodaj oto leżące na stole sekcyjnym wspańnięte ciało tej biednej *Kaski-Karyatydy*. Coprawda — kobieta temu potworowi bynajmniej nie ustępuje. Począwszy od *Matazki* a kończąc na tej *grande amoureuse*, perswazyą swoją gubiącej *Wodzireja*, lub na tej *Żabusi* o ptasim mózgu, mieszczącym w sobie dynamit do rozsadzania kilku żywotów — kilku rodzin, mamy też niemałą galeryę kobiet, opętanych żarem nienasyconym, spalającym wszystkich, którzy się w jego krąg piekielny dostaną.... Między obiema płciami wre bowiem walka na śmierć i życie, a świat to tylko menażerya.

Naturalizm zdarł z miłości ostatni nimb romantyzmu, ostatni listek figowy, ostatni frazes filozoficzny. Na tak niskim poziomie, jak Zapolska, nikt miłości nie stawiał. U Ropsa, Przybyszewskiego, jest kobieta istotą prawie metafizyczną, demonem żywiołem, u Zapolskiej *on* jest niskim, marnym, nikczemnym przedstawicielem gatunku, a siłą jego „lśniący, potężny i tęgi

kark niezwalzonego zwycięzcy i tryumfatora w zapasach miłosnych“...

Niezdolność do wielkiej koncepcji człowieka, towarzyszą Zapolskiej przez cały ciąg twórczości. Pogłębiła się ta twórczość z czasem i znacznie wyszlachetniała; męczyzna przestał być tylko płcią — stał się reprezentantem wielkich idei, zwiastunem i apostołem; kobieta — to już nie tylko histerya (*Przed i ekle, Fin-de-siécistka*), ani młoda *demi-vierge*, w rok po ślubie zdradzająca męża (*Muszka*), lecz ofiara ciężącego na niej fatum społecznego, wznosząca się nieraz do szczytów cichych poświęceń. Dała potem Zapolska, wbrew wszystkim zapowiedziom początków swej kariery pisarskiej, kilka utworów, w których erotyzm podrzędną gra rolę, w których sili się na ton bohaterski. Jednakowoż i tutaj widzimy całą połowiczność talentu autorki — i naturalizmu. Niezrównany, nienasycony w kopiowaniu świata zewnętrznego, jakkolwiek i tutaj temperament autorkę unosi i wszystko przejaskrawia, nie jest zdolny do tworzenia postaci bohaterskiej w wielkim słowa znaczeniu. Stwarza Zapolska sympatyczne ofiary i męczennice (*We krwi, Fanka, Małka*), na wzniosłość się nie zdobydzie. Gdzie zechce dać kult idei — da bezwiednie kult siły (*Tamten*), gdzie zechce wruszać — da melodramat (*Sybir, Małka*).

Idee bohaterskie nie leżą bowiem w charakterze naturalizmu. Widzimy to też z twórczości Antoniego Syg i e tyńsk i e g o. Jakżeż ich tworzyć bez kultu bohaterów w duszy! Tymczasem podług naturalizmu człowiek jest tylko jednym z licznych zwierząt w królestwie przyrody, które badacz powinien rozczłonkować i dobrze opisać; podziw dla lwa, sympatyje dla słowika, wstręt do pająka, jest rzeczą panien sentymentalnych, nie badacza. Ten stoi nieporuszony, obiektywny, z nożem sekcyjnym i mikroskopem w ręku tak wobec lwa, jak i żaby, wobec słonia, jak i pająka. Cała sztuka jego będzie polegać na jasnym widzeniu i jasnym opisywaniu;

wszelkie poetyzowanie jest zaciemnianiem, dokładność w szczegółach uwydatnianie cech pierwszorzędnych, tj. anatomo-fizjologicznych i nazywanie ich po imieniu — największą zaletą. Przyrodnik nie zapomina, że natura nie jest ani dobra, ani zła — jest obojętna; wartości nadaje jej dopiero subiektywizm człowieka. Należy więc dawać tylko wykrawki przyrody, a jakie czytelnik wyciągnie z tego widoku wnioski etyczne, lub estetyczne — to jego nie obchodzi.

Sygietyński stara się być wzorem obiektywnego pisarza naturalistycznego. Nieraz wprawdzie zdarzy mu się wypaść z roli i wyrazić uczucie sympatii lub antypatii; *Nasza kochana pani* nosi już w tytule kołczan ironii. W ogólności jednak jest autor poza swem dziełem starannie ukryty, zdradzając swą indywidualność tylko wyborem tematu i temperamentem w jego opracowaniu. Otóż temata jego — to tylko ilustracje do zoologii; czyto maluje Gabryela Orange i resztę czeready rybaków z nad kanału La Manche, czy też „wysadzonego z siodła“ szlachcica Załogowskiego, córkę jego, diwę operetkową, uwodziciela jej adwokata Cieżyńskiego i całą paczkę z półświatka dziennikarsko-artystycznego: wszystko to było w ludzkich postaciach, splot pierwotnych, nieokiełzanych instynktów, obracających się tylko w kole najprymitywniejszych żądz i chuci. Temperament autora wydobywa z nich tę głąb natury z bezwzględnością i wyrazistością anatoma; widzi on w życiu także objawy, klasyfikowane zwykle, jako dobre, np. starą ciotkę, poświęcającą się dla rodzeństwa, panią z miasta, opiekującą się ludnością wiejską — daleki jednak od rozczulania się pozorami, sięga źródeł niejako fizjologicznych ich zachowania się i odkrywa na dnie dobroci zwyczajny bezrozum, maniactwo, safandulstwo.

Obserwacya to zewnętrzna, czysto fotograficzna — i na tem polu Sygietyński jest solidnym, metodycznym robotnikiem. Gdzie aparat wystarcza — daje też zdjęcia wierne i dla miłośników fotografii amatorskiej zajmujące. Robocie tej brak je-

dnak prawdziwego artyzmu i duszy. Z wielką np. dokładnością opisze Sygietyński orgię w *chambre separée*, z tysiącem szczegółów i szczegółików — artysta-prawdziwy da nam wrażenie owej bachanalii w krótkiej, zato dramatycznej impresyi. Zresztą gdyby obserwacya zewnętrzna mogła sięgać tajni duszy — nie byłoby już na świecie żadnej tajemnicy. Są jednak w niej procesy, kruźganki, głębie, których ani okiem dojrzeć, ani analizą nawet wydobyć niepodobna. Dla Sygietyńskiego owe subtelności psychiczne nie istnieją. Na stu kilkudziesięciu kartkach jego powieści, wysadzony z siodła byłoby obywatel ziemski, powstaniec, sybirak, którego poznajemy, gdy z rozpaczy nad stanem uwiedzionej córki popełnia zamach samobójczy — przemienia się w członka najniższych szumowin społecznych, bez krzty godności ludzkiej i myśli człowieczej. Proces taki jest możliwy — wymaga on jednak delikatniejszego cieniowania, niż fotograf może pochwycić; nawet po jego dokonaniu się — dusza upadła także jest bardziej złożona, niż Sygietyński opowiada. Dna duszy więc nie sięga ani jednostek, ani tych odcieni subtelnych i tylko czuciem uchwycić się dających, które są właściwością narodu. Stąd powieści Sygietyńskiego, lubo wzorową polszczyzną pisane, robią wrażenie, jakby były tłumaczone z francuskiego.

Subtelną i bardziej liryczną naturą jest *Ostojka*. I ona stąpa po nizinach i rozłogach życia, gdzie nie ma szczytów, skąpanych w purpurze, obraca się wśród szarych mas, smutnych z oblicza, smutnych z przeznaczeń swoich. Ale bawi wśród nich sercem a stoi ponad nimi myślą. Wśród ludzi niższy typ zwierzęcy przeważa i ona go opisuje z prawdą nieubłaganą, ale za nią czuć łzę. *Organista* stara się o posadę i odbywa podróż wspólnie z konkurentem; przybywa sam jeden, konkurent ginie w rzece. Autorka przedstawia fakt obiektywnie, ale rozdziera on jej serce. *Na stacyi* odbywa inspekcję wysoki urzędnik, potentat, trzęsący losami podwładnych; przyjmuje go urzędniczek bez znaczenia, który sobie dotąd żył w spo-

koju, szczęśliwy, przy boku kochającej żony, gdy tamten, niedyś kolega, ożenił się dla karyery i jest głęboko nieszczęśliwy. Jeden spogląda na drugiego — i dusze ich zaczyna pożerać wzajemna zazdrość... *Druga żona*, wzięta przez karyerowicza dla karyery, stosunków, wejścia w świat jej krewnych, gdzie dotąd przebywała, jako uboga kuzynka, przechodzi przez całe piekło zawodów, upokorzeń, przejść aż za styga w rezygnację. Zrezygnowana jest i autorka, ale po walkach niemałych... To usposobienie każe jej opowiadać z chłodem, spokojem, tłumić silniejsze uczucie, ograniczać szersze pragnienie — składać broń. Rezygnacja nie walczy, ale się nie spodziewa; dalekiem od niej wesele, daleką głośna rozpacz. Istotą jej cichy, skoncentrowany smutek.

Gdy Sygietyński zachowuje się wobec bestyi ludzkiej, jako pogardliwy obserwator, Ostoja — ze zrezygnowaniem ubolewaniem, stoi wobec niej Z y g m u n t N i e d ź w i e c k i z głośnym urąganiem. Zakochany w Maupassancie z pierwszego jego okresu, kiedy pisał swą genialno-szyderczą *Galękę łojową*, prześcignął swego mistrza w wymierzaniu człowieczeństwu policzeków. Człowieczeństwu? właściwie maluje Niedźwiecki zawsze i wszędzie barana ludzkiego, w którym przebywa z reguły jeszcze pół menażeryi, więc lis, hyena, padalec; wszystkie instynkta chytrłości, fałszu, krwiożerczości żyją i działają w tem niewinnem stworzeniu, które z barana ma w sobie jedną tylko cnotę: bezdenną, nieśmiertelną, arcybaranią głupotę. Z prawdziwą zapamiętałością zdziera autor maski z twarzy kochanych bliźnich, aby treść tę ukazać, a iskrzy się dowcipem, sportręgowością, finezyją w miarę, jak instynkty te się wikłają i rozpętają w pogoni za żerem, samicą i inną bydlęcą rozkoszą; jest zaś na szczycie swych uzdolnień, gdy pokazuje, że w szalonej tej gonitwie sumę zużytej nikczemności równoważy chyba bezgraniczna śmieszność celów. Przestaje się śmiać, zatapia coraz głębiej skalpel w swych baranach, pastwi się nad swymi nie modelami, lecz ofiarami. Widać, że szperanie w tych

wnętrznosciach sprawia mu ulgę; może przynosi mu odwet za to, że szukał tu niegdyś serca, a znalazł tylko kał?

Cóż wśród tych stał zlekka tylko pokostem cywilizacji pokrytych pozostaje, co by dawało trochę uludy, zapomnienia? Zdawało się, że znajdzie je autor *U ogniska* ludzi ciężkiej pracy i ciężkich krzywd społecznych, w gronie nędzarzy i wydziedziczonych. Słyszymy tu kilka ciepłych tonów współczucia, jakby cichy krok zwiastunów dobrej nowiny. Na krótko. Autor wierny swej naturze, zaczyna szperać, śledzić, analizować, aż nareszcie z świata robotniczego zostaje także menażerya. Jedynie upojenie daje miłość. Rozgoryczony, zmiażdżony kołem życia, pozbawiony wszelkich iluzji i marzeń, znajduje w akcie miłosnym jedyną pozytywną rozkosz. Nie uczucie, byłoby optymizmem szlachetnych, idealistycznych pierwiastków szukać u bliźnich... specjalnie w kobietach nawet nie szuka — znajduje w nich natomiast jedyną dodatnią stronę, ładne zdrowe, jędrne zwierzę. Miłość sprowadzona tedy do fizjologii, erotyzm bez miłości, *Venus vulgivaga*, wśród szalu używania, tarzania się w nagości — a poza tem nuta coraz zgryźliwsza, coraz nielitościwsza, już nie pesymizmu, lecz mizantropii. Jak każda mizantropia — jest i ta dramatem, bo nienawiść Niedźwieckiego, czujemy tu z każdego słowa, jest tylko reakcją serca, które zbyt gorąco pragnęło kochać i czcić — i zostało zdeptane...

Szereg pisarzy czysto naturalistycznych prawie skończony; dopiero w latach dziewięćdziesiątych został pomnożony kilkoma talentami, między którymi będzie dominował Reymont. Spełnili życzenie Sygietyńskiego, postulat estetyczny kierunku: dali seryę dzieł, opartych na dokumentach, na obserwacji i analizie, z silnem zaakcentowaniem indywidualności pisarskiej. Wpływ ich na literaturę musi się nazwać bezwarunkowo korzystnym. Wywalczyli dla piszących prawa i obowiązki, jakich ci wprzód nie znali. Więc prawo bezwzględnej szczerości, prawo nazywania po imieniu i opisywania mnóstwa rzeczy,

które odgrywając w życiu olbrzymią rolę, bywały jednak w literaturze albo systematycznie pomijane, albo omawiane tylko *sub rosa*, półśłówkami, domyślnikami, co to drażniąc fantazyę, nie działają bynajmniej etycznie, i jak każda nie-szczerość, są absolutnie szkodliwe. Więc prawo schodzenia do głębin społecznych, do „szumowin“, do tych mas wydziedziczonych, nieestetycznych, graniczących nieraz ze zezwierzęceniem, które dotąd literatura cierpiała tylko w przebraniu, uperfumowane, uśmiechnięte; dotychczas istniały w literaturze rozczulające lub humorystyczne „stare sługi“ i młode subretki — Zapolska dała prawdziwą „Kaškę“, Niedźwiecki dał tłum roboczy, zupełnie niepodobny do owych pięknych rzemieślników z *Krewnych* Korzeniowskiego lub sentymentalnych nowel Łętowskiego, Dygasiński odkrył kilka nowych strun w duszy chłopskiej i cały świat zwierzęcy, stanowiący dotąd materiał dydaktyczny dla Lafontainów lub czułościowo-poetyczny sztafaż dla człowieka. Takie zdobycze rozszerzają naszą duszę, rozszerzają koło naszych sympatyj, splatają nas coraz ciaśniejszym węzłem z wszechświatem. A obowiązki? Te naturalizm pojmował poważnie i nakładając je na siebie, nakładał też na wszystkich. Minęły czasy, kiedy Tripplin mógł opisywać kraje, po których nigdy nie podróżował, Kraszewski, Kaczkowski, Jeż, nie widziawszy kraju przez kilkanaście lat — opisywali panujące w nim stosunki i typy społeczne, kiedy pisarz mógł psychologię zastąpić poetycznym irazesem, prawdę zewnętrzną lub wewnętrzną — myślą pocziwą. Nie mamy pisarzy, którzyby jak Flaubert dla napisania powieści historycznej odbywali długie studia na ruinach Kartaginy, ale nawet p. Choiński pisząc powieść o trubadurach, objeżdża Prowansalję; nikt po dwadzieścia lat nie szlifuje swego stylu, u wszystkich bez wyjątku jest on nieskończenie naturalniejszy i wierniejszy, niż u skrajnych „realistów“ przed dwudziestu laty. Nawet najmłodszy pisarze okresu reakcyi przeciw naturalizmowi korzystają z jego zdobyczy. „Wszystko —

mówi słusznie Witkiewicz — co jest w sztuce fantastycznym, zmyślonem, jest tylko przedstawieniem, spotwornieniem stosunku zjawisk i przedmiotów. Lecz ten świat fantastyczny nie byłby zrozumiały — owszem byłby całkiem dla umysłu widza, słuchacza lub czytelnika niedostępny, gdyby w ramach obrazu, posągu lub utworu poetycznego nie był przedstawiony z prawdą, przekonywującą o możliwości istnienia takiego fantastycznego świata.“ Bez poprzedniego okresu naturalistycznego nie byłby możliwy Przybyszewski, nie byłby możliwy Wyspiański. W sztuce, jak w naturze nic nie ginie i nie ma przeskoków. Naturalizm zobowiązał pisarzy do sumiennej obserwacji zewnętrznej, która przeszła też na wewnątrz, do logiki w rozumowaniu, do języka ścisłego, odzwierciedlającego dokładnie każde spostrzeżenie, każdy odcień, a w następstwie daje całe bogactwo barw, dźwięków, kształtów natury.

Ale więcej uczynić też nie zdołał. Z założenia i całej swej istoty jest zrezygnowany i zamknięty w sferze empiryzmu. Nie sięga w te krainy podobłoczne, których okiem nie zmierzmy, ani w te przepaści duszy, w które aparat fotograficzny jeszcze nie spogląda. Chwile prawdziwego natchnienia, odczucia, przeczucia, intuicji poetyckiej, jak błyskawice rozdzierające ciemności, więcej nam o duszy ludzkiej powiedzą, niż najmozolniej i najkunsztowniej sporządzony kinematograf.

I tylko wzniósłszy się nad smutek i rezygnację, wiejącą z filozofii naturalizmu, możemy czuć się wolnymi, wzbijać się ku wielkim ideałom, ku bohaterstwu. Naturalizm jest niezwykliczony w krytyce, prawdziwie twórczym i uskrzydlałym jest tylko idealizm.

Z końcem lat osmdziesiątych wieje już reakcja przeciw naturalizmowi w całej Europie.

St. Witkiewicz urodz. na Żmudzi w r. 1851. Studya malarskie odbywał w Warszawie i w Monachium; w dziedzinie malarstwa zapisał się

głównie jako pejzażysta. Objąwszy kierownictwo artystyczne *Wędrowca*, z prawdziwym fanatyzmem torował drogę szczerzej, indywidualnej sztuce, tak swoimi artykułami krytycznymi, jak i dobrem wykonaniem reprodukcji artystycznych dla swojego organu. Artykuły jego złożyły się na książkę *Sztuka i krytyka u nas* (II. wyd. 1899), która ma niemałe zasługi pedagogiczne. Jak każdy człowiek z temperamentem, przytem wierzący mocno w swą ideę, tak i Witkiewicz mocno nieraz w zapale polemicznym przesadził — z biegiem czasu wznosił się jednak do zrozumienia wszystkich indywidualizmów twórczych, a analizę jego: *Mickiewicz, jako kolorysta*, rozprawy o Boecklinie, Chelmońskim, Kossaku, można uważać za klasyczne. Dzisiaj poglądy jego ogólne są już na niejednym punkcie przestarzałe; malarstwo bowiem »ideowe« racy bytu nie straciło i nie straci, a wierność naturze nie jest główną treścią sztuki. Dalsze pisma Witkiewicza: *Na przełęczu* (1891), gdzie ołówkiem rysuje a piórem wprost maluje piękności i pełnię natury Zakopanego — arcydzieło stylu polskiego! *Juliusz Kossak* (1900), przesadna nieco apologia; *Alek s. Gier y m s k i* (Bibl. warsz. 1901).

Umiłowanie szczeroci i indywidualności w artyzmie zaprowadziło Witkiewicza na pole, z którego następnie wyrósł największy jego czyn dla kultury polskiej. »W r. 1886 — opowiada — byłem poraz pierwszy w Zakopanem. Było to w zimie i po zawałonych śniegiem wirchach nie można było robić wycieczek, z konieczności więc zwracało się większą uwagę na samą dolinę i brzeżki północnych wzgórz, po których czepiają się góralskie chaty... Zwiedzając chaty góralskie... uderzeni byliśmy nadzwyczajnym charakterem i ozdobnością tego budownictwa, oraz bogactwem ornamentyki, pokrywającej większość sprzętów codziennego użytku.« Stąd wziął Witkiewicz pochop do propagandy stylu »zakopiańskiego« i z całym swym temperamentem oddał się w usługi tej idei. Po kilkunastu latach niestrudzonych studyów, prac i polemik, w których niesłychana bujność artystycznej natury pozwoliła Witkiewiczowi przerzucić się na pole budownictwa, ornamentyki dekoratywnej, wielostronnego przemysłu artystycznego — »styl zakopiański« zwyciężył. Motywy jego i zasady przechodzą do budownictwa nie tylko drewnianego, lecz także do kamienia i kościołów, przechodzą do dekoracji, mebli, naczyń, biżuterji, są najcenniejszym elementem, z którego się rozwinię z czasem odrębny polski styl w sztuce stosowanej. Zapewne nie wszystkie prace twórcze Witkiewicza z tej dziedziny wytrzymają próbę czasu; zostaną one wzbogacone i zharmonizowane z motywami artystycznymi innych ziem polskich; są jednak fundamentalne i przyszłość niejedno na nich będzie budowała. Ten też ogólny charakter działalności Witkiewicza miała na myśli Akademia Umiejętności, wynagradzając jego obraz *Obłok*, stanowiący zresztą wraz z *Wiatrem halnym* koronę jego twórczości malarskiej.

Adolf Dygasiński urodz. 1839 r. w Niegosławicach, wycho-

wanek b. szkoły głównej warszawskiej. Od r. 1874—79 posiadał w Krakowie księgarnię i wydawał czasopisma i przekłady dzieł naukowych duchem postępu natchnione; od r. 1879—1888 udzielał w Warszawie lekcji w szkołach prywatnych i brał żywy udział w ruchu publicystycznym; dziś na prowincyi w Królestwie. Wydał szereg wielkiej wartości dzieł pedagogicznych dla wychowawców, rodziców i młodzieży, przyswoił literaturze szereg wybitnych dzieł z dziedziny lingwistyki, filozofii i dziejów cywilizacji, w pracach publicystycznych rozsypuje cenne myśli, owiane miłością postępu, swojskością i ludu (»Luźne myśli o postępie i konserwatyzmie, *Wędrowiec* 1886) pełne współczucia dla wszystkiego, co żyje i cierpi (»W niewoli u człowieka« »Nędzarze życia« 1898). W r. 1892, podczas najwyższego ruchu emigracyjnego chłopów z Królestwa do Brazylii, pojechał tam w ślad za wychodźcami i spostrzeżenia swe ujął w formie »Listów« do *Kurj. Warsz.* i powieści: *Na złamanie karku*.

Twory beletrystyczne D. zaczęły się ukazywać 1882 r. w *Przegl. Tyg.* i odrazu zwróciły na siebie uwagę oryginalnością tła i sposobem opracowania. Osobno wydał *Novelle* (1884), *Z ogniu życia* (1886, 2 t.), *Zpół i lasów* (1890), *As* (1896), *Beldonek* (1888), *Z zagonu i bruku, Garstka, Krańcowy, Bracia, Tatary, Wywczasny młynowski, Zając* (1889), *Margiel i Margielka* (1901), *Gorzalka, Pan Jędrzej Piszczalski* (1890), *Pióro* (1898), *Dramata lubędzkie* (1898), *Złamane życie* (1898).

W Dygasińskim walczą ze sobą dwie natury: uczony i pedagog z pełnym intuicji i uczucia artystą. Pierwsi przekształcają niejednokrotnie nowelę w niemile rozprawy, apostrofy, lub uciekają się do obcych zupełnie jego indywidualności, przeto nieszczerych środków artystycznych (np. alegoria *On i Psyche*); drugi oparty na ogromnym zasobie obserwacji i doświadczeń życiowych, przenika i maluje życie. W formie jest zaniedbany prawie zawsze; kunszt słowa i plastyki, »obrobienie« tak troskliwe np. u Sygietyńskiego, dla niego prawie nie istnieje, zwyczajnym jego środkiem artystycznym jest wpadające często w ton gawędy opowiadanie. Rozporządza natomiast innymi środkami, godnymi wielkiego artysty: rzewnością i humorem. Uczuciowość jego energiczna, bez sentymentalizmu, udziela się w wielu nowelach z świata zwierzęcego lub dziecięcego, humor rozlany jest prawie we wszystkich utworach; przybiera on częstokroć charakter satyry i smaga nielitościwie obtudę, świętoszkostwo, kłamstwa życiowe (*Filozof i praczek, Zasady i mięso*), najczęściej zaś rozlewa się szeroką strugą zdrowej wesołości. Osoby i sceny, odтворzone z tym humorem (*O groch przy drodze, figury w Beldonku, Pieczonka z Dramatów, Orda-Drakiwicz z Piszczalskiego i t. d.*), należą do najlepszych w naszej literaturze.

Odczuwając i kreśląc najlepiej obrazy z królestwa zwierzęcego, Dygasiński, jak większa część naturalistów, nie przekracza granic świata zewnątrz-

nego; gdzie poza temi granicami jest jeszcze świat inny, głębszy, czysto duchowy, tam traci pewność siebie i siłę. Najlepiej wypadły też u niego obrazy światów, niezbyt odbiegających od zwierzęcych, więc chłopów, włóczęgów, małomieszczan, o mało złożonym mechanizmie instynktów i odruchów, o tle barwnem i kolejach życia, zupełnie różnych od naszych szablonów cywilizacyjnych i anti-naturalnych. *Pan Jędrzej Piszczelski* ma być wcieleniem człowieka, który zachował w sobie jeszcze siłę niezdeprawowaną, tężyźnę i fantazję rycerską, naturę szeroką i szlachetną — autorowi nie udało się jednak ani pogłębić go, ani uczynić sympatycznym; dobre są tam tylko postacie drugorzędne, jak wogóle w większych powieściach Dygasińskiego, gdzie brak subtelniejszego wycieniowania psychologicznego i starannego obrobienia nazbyt są rażące. W dziedzinie noweli stworzył kilka prawdziwych arcydziełek.

Zapolska Gabryela z domu Piotrowska, urodz. 1860 r. w Kiwirce pod Luckiem. Kształciła się w zakładach wychowawczych lwowskich, pierwsze debiuty teatralne odbyła na scenie teatryku dobroczynności warszawskiego w r. 1880, następnie przeniosła się na scenę lwowską, skąd przez kilka lat przechodziła kolejno do teatrów wędrownych i stałych w Galicyi, Królestwie i Poznaniu. Od r 1890—1895 przebywała w Paryżu, gdzie występowała w *Théâtre libre* Antoine'a; po spędzeniu kilku lat na scenie warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej pracowała we Lwowie na polu dziennikarstwa. Dzieła. Powieści i nowele: *Małaszka* (1883), *Akwarele* (1885), *Kaśka Karyatyda* (1887), *Przedpiekle* (1889), *One* (1890), *Fantazje i drobnostki* (1891), *Szmat życia* (1893), *Menażerya ludzka* (1893), *We krwi* (1894), *Janka* (1895), *Wodzirej* (1897), *Antysemitnik* (1898), Utwory sceniczne. Udratyzowanie powieści *Małaszka i Kaśka Karyatyda*, *Żabusia* (1896). *Małka Szwarcenkopf* (1897), *Antek Nędza* (1896), *Jojne Firulkes* (1888), *Jan Kochanowski w Czarnolesiu* (1899), *Dziewiczy wieczór* (1899), *Życie na żart* (1901). Pod pseudon. J. Maskoffa dramata: *Tamten* (1898), *Sybir* (1899), *W Dąbrowie Górniczej* (1899) i powieść *Zaszumi las* (1899).

Nowele Zapolskiej wywoływały za swem ukazywaniem się od r. 1883 wrzawę i rozmaite komentarze; publiczność nie była przyzwyczajona do bijącego z nich nadmiaru temperamentu, jaki przejawiał się głównie w wyborze tematów i opisów drastycznych, pomijanych zwykle przez powieściopisarzy. Istotnie było tu więcej drastyczności, niż ścisłego naturalizmu, był jednak i talent niepowszedni, był styl żywy, bujny, krwią kipiący i kolorami, były miejscami finezye psychologiczne niepowszednie (*Princessa*), wszędzie zaś przejawy prawdziwie kobiecego, dobrego serca, współczującego z nędzą, krzywdą, poniewierką (*Kaśka*) — bez zdolności do szerszej koncepcyi człowieka i świata. Ta obraca się w granicach wyzywającego, polemicznego naturalizmu fejtletonowego (*Menażerya ludzka*), który jednak nie zmieniając swej metody, powoli rozszerza sferę obserwacyi, szlachetnieje w pojęciach ogólnych, aż

w dwóch najlepszych powieściach autorki daje postacię wzniósłemu cierpieniem, współczuciem wznoszące się z granic indywidualnych do ogólnoludzkich (*Janka, We krwi*).

Temperament namiętny, żywiołowy, nie pozwala też autorce panować nad językiem; siła jej nie leży w konturze, często niepewnym, zatartym, lecz w kolorycie, drgającym całą gamą kolorów, rzucanych gorączkowo, często niekonsekwentnie, oszałamiających jaskrawością. Wrażliwość ta autorki prowadzi w pierwszej linii do impresjonizmu, który szczególnie za pobytu Zapolskiej w Paryżu rozwija się do stałej manieri, każącej malować samemi plamami barwnymi. Co daje wypukłość, żywość, wibrację barw, ale bardziej zaciera ścisłość rysunku i myśli.

Większą zdolność do koncentracji i rzeźbienia postaci okazała autorka w pracach scenicznych. Pomaga jej w tem długoletnie doświadczenie aktorskie, nadające jej utworom wszędzie wielką teatralność, więc umiejętność poruszania jednostkami i tłumem, charakteryzowania figur czynami, cieniowania dykcji, wywoływania antytez, ruchu. Świadczy to o wielkiej pracy nad sobą, jak z drugiej strony o wnikaniu w życie świadczy szeroki krąg obserwacji, zużytkowanych w tych sztukach. Obserwacja ta wzbogaca scenę, wprowadzając na nią żywioły poprzednio odłogiem leżące, brak jej jednak głębi i uduchowienia. Jak wszelki naturalizm, tak i ten traktuje człowieka przede wszystkim ze stanowiska stopnia i natężenia siły; ta też występuje na plan pierwszy — z ujmą dla treści subtelniejszej, nie rzucającej się w oczy, dla tej utajonej, w rzadkich chwilach objawienia występującej, którą trzeba widzieć oczyma duszy. Dlatego doskonałą sztuką Zapolskiej jest tragifarsa o *Żabusi*, żyjącej tylko naskórkim, dlatego mijają się ze swem założeniem sztuki i powieści osnute na tematach patriotycznych. *Tamten* z dramatu mającego przedstawić prześladowanie młodzieży polskiej w Warszawie, przemienia się w dramat między przedstawicielami tamtejszego świata oficjalnego. Intuicyja głęboka, z jaką autorka dołała wcielić się w duszę rosyjską, budzi u znawców tej duszy najwyższe zdumienie. Pełnym siły jest jej obraz jednoaktowy: *W Dąbrowie Górniczej*.

Antoni Sygietyński urodz. 5 marca 1850 w Gostawicach, gub. warszawska. Bawił za młodu dłuższy czas w Niemczech i we Francji, gdzie się kształcił w muzyce, której obecnie jest w konserwatorium warszawskim profesorem; we Francji też poznał dobrze teorie i metody sztuki naturalistycznej, które w zupełności sobie przyswoił. Wcześniej zaczął pisać o sztukach pięknych; rozprawa jego *O powieści francuskiej* (*Ateneum* 1881—1883) mimo doktrynerstwa dziś jeszcze jest najlepszą, jaką mamy z tej dziedziny. Tosamo należy powiedzieć o jego tekście do *Albumu Gierzyńskich* (1886), wydane nawspół z Witkiewiczem. Powieści jego: *Na skalach Calvados* (1884), *Wysadzony z siodła* (1891), *Drobiazgi* (1900).

Sygietyńskiego można nazwać anatomem literackim. W krytyce nikt

u nas nie potrafi lepiej od niego dokonać sekcji jakiegoś dzieła, wypruć z niego każdy nerw i mięsień, wykazać każde jego zбочenie z idealnej linii logicznej, opisać go prawidłowo, jasno i ściśle. Taksamo jako krytyk-anatom zachowuje się wobec swych bohaterów w powieści i noweli. Gdzie jednak przekraczamy granice anatomii deskryptywnej i klasycznej logiki — autor nic nam nie ma do powiedzenia. Świat jego beletrystyczny jest bez duszy; tego pierwiastka brak też krytykowi przy ocenie najnowszych dzieł sztuki, które są także więcej duszą. Pozbawiony ciepła wewnętrznego Sygietyński niezdolny jest natchnąć sympatyą do narysowanych przez siebie postaci; gdzie próbuje być uczuciowym, poetycznym, staje się nienaturalnym retorem (*Aktorka, Po czasie*). Jako beletrysta zna też tylko drobną łupinę życia, jako krytyk — hyper-krytyczny, przystępujący do dzieła zawsze ze skalpelem racjonalistycznym, nigdy z sercem współczującym, działa dobroczynnie, gdzie chodzi o rozbiór części somatycznej utworu, jest bezsilny, gdzie przekraczamy tę sferę i znajdziemy się w państwie szczerzej fantazyi, uczucia, marzenia, wizyонерstwa ducha. Młode pokolenie i młoda sztuka jest też dla niego tajemnicą o siedmiu pieczęciach.

Józefa Sawicka urodziła się w r. 1859 w Łopczynie, po złożeniu egzaminów gimnaz. w r. 1889, oddaje się w Warszawie pracy nauczycielskiej. Wydała: *Nowele i obrazki* (1886), *Nowele* (1889 i 1892), *Królowna* (1894), *Wychowanka* (1896). Pomniejsze jej utwory pełne drobiazgowej obserwacji i skupionego uczucia; zalety te nie wystarczyły jednak do tworzenia dzieł na większą skalę i dalszą metę. Powieści jej przepętnione drobiazgami, nienaturalne skutkiem tłumienia żywszych uczuć, pozbawione rozleglejszych perspektyw stoją też znacznie niżej od jej nowel.

Zygmunta Niedźwiecki urodził się w Krakowie ok. roku 1865 i tu też walczy z losem, który mu nie szczędzi żadnej z gorzkich swych prawd życiowych. Zbiory jego nowel: *Słońce* (1890), *Jedynе dzieło* (1893), *U ogniska* (1894), *Grzech* (1895), *Sam na sam* (1895), *Topielec* (1897), *Pneumatyk nr. 301* (1897), *Liść figowy* (1900).

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

The first part of the report deals with the general situation of the country and the progress of the work done during the year. It is followed by a detailed account of the various projects and the results achieved. The report concludes with a summary of the work done and a list of the names of the staff members who have been engaged in the work.

The work done during the year has been of a very satisfactory nature and has resulted in the completion of a number of important projects. The progress made has been due to the co-operation and assistance of the various departments and the staff members who have been engaged in the work.

The following is a list of the names of the staff members who have been engaged in the work during the year:

Mr. A. B. C. D. E. F. G. H. I. J. K. L. M. N. O. P. Q. R. S. T. U. V. W. X. Y. Z.

Treść tomu I.

ROZDZIAŁ I.

Pozytywizm tryumfujący.

Str.

Pozytywizm tryumfujący. Postęp warszawski a konserwatyzm krakowski zgodne w swej rezygnacji polityczno-narodowej. „*Wskazania polityczne*“ Świętochowskiego. Pozytywizm w praktyce. Typy młodzieży. Racyonalizm i utylitaryzm w Warszawie. Szkoła krakowska w polityce — religii — historyografii. Świadcstwo prof. Zdziechowskiego. Pseudoromantyzm we Lwowie

Reakcja. Ewolucja stosunków bytu. Powstanie kwestyi społecznej. Emancypacja kobiet. Znaczenie prądów »z nad Newy i z Genewy«. Ruch przeciw »stańczykom« w Krakowie. Rozrost uczucia, jako wspólny mianownik nowych ruchów. Starzy i młodzi 1

ROZDZIAŁ II.

Obniżenie się ideałów.

Obraz literatury polskiej około r. 1880. Ideał narodowy i wszechludzki u romantyków a obecnie. Cofnięcie się wobec nowych prądów. J. I. Kraszewski i ostatnie jego powieści. Jan Zacharyasiewicz i apoteoza filisterstwa. T. T. Jeż i jego sztandar obrony narodowej. Ideał społeczny Jeża: *Syn Chorążego*.

W Galicyi — Michał Bałucki. Od mieszczaństwa do małomieszczaństwa. Liberalizm galicyjski i Jan Lam. Tragizm światopoglądu humorysty.

Wczorajsi młodzi w Warszawie. Eliza Orzeszkowa i jej powieści przeciw fali socjalistycznej. Przepaść między młodymi a starymi. Walerya Marenné. Pozytywistyczny męczennik miłości. Konkurs na ideał mieszczański. Zofii Urbanowskiej *Księżniczka*.

Pozytywizm konserwatywny. Józef Szujski. Jego *Prometeusz* Str. a *Długosz* i *Kallimach*.

Satyrycy epoki. Satyra w Lwowie. *Szczutek*. Chochlik. Rodość. Satyra w Krakowie. *Dyabeł*. Miecz. Pawlikowski. Kaz. Bartoszewicz. Poza Galicyą. Włodz. Wysocki. Klin. Fejletoniści.

Charakter literatury okresu. Nikt nie przerasta swego czasu. Rzut oka zagranicę. Nowe prądy artystyczne i społeczne. Rosya, Niemcy, Francya. Zola. Ibsen, jego walka z *upiorami* i jej znaczenie. Obniżenie się ideału.

Żywoty i dzieła 10

ROZDZIAŁ III.

Na wyżynach wieku. Adam Asnyk.

Asnyk, jako poeta okresu. — Przełom 1863 w poezyi. — Idee me-
syaniczo-romantyczne i reakcja przeciw nim. Poezya staje się indywidual-
styczną i intelektualną. — Zastosowanie teoryj i wyników wiedzy pozytywnej
w poezyi. — Wzniosłość charakteru Asnyka i odbitych w nauce jego idea-
łów. Rezygnacya i harmonia. — Ich niedostateczność. Rezygnacya wobec
słinska kwestyi socyalnej.

Wiktor Gomulicki. Poezya wielkowiejska. Gomulicki, jako par-
nasowiec. Wirtuozostwo formy — treść poezyi maleje.

Żywoty i dzieła 53

ROZDZIAŁ IV.

Epigonowie romantyzmu.

Skarłowacenie romantyzmu. — Ostatni i pogrobowcy. — Romantyzm
uczuciowy: Leonard Sowiński, Włodzimierz Stebelski. Autor
Strof. — Romantyzm salonowy: Czesław. — Romantyzm mistyczny bez
wiary mistycznej: Deotyma. — Romantyzm archeologiczny: Bełcikow-
ski. Grabowski. Romantyzm bohaterski: Aureli Urbański. Karol
Brzozowski. Mieszaniny romantyczne: Wojciech Dzieduszycki. —
Ostatni z wielkiej plejady: Matejko. Jego rozbrat z teraźniejszością.

Żywoty i dzieła 73

ROZDZIAŁ V.

Reakcja uczucia. Nowe idee społeczne. Marya Konopnicka.

Wprowadzenie świeżego czynnika do poezyi. Lud u romantyków a obe-
cnie. Z przeszłości. Zejście na ziemię. Charakterystyczne *Czemu*. Kontrasty
społeczne. Rozpacz i oskarżenie.

Pogłębienie się poezyi. Od tendencyi i zewnętrznych losów do wcielenia się w lud. Liryki i nowele. Zharmonizowanie idei społecznej z czystą sztuką. Rozkwit wszystkich sił duchowych Konopnickiej i skąpanie ich w źródło ludowym. Wysnucie stąd epopei ludowej — stanowiącej uzupełnienie szlacheckiej. Znaczenie kulturowe „ <i>Pana Balcera w Brazylii</i> “.	Str.
Żywot i dzieła	91

ROZDZIAŁ VI.

Literatura w życiu codziennem. Teatr.

Literatura życia codziennego jako surogat sztuki. Warstwy obce wielkiej sztuce. Surogat ten na scenie. Teatr w r. 1880 w Warszawie, Krakowie i Lwowie. W Warszawie wielcy artyści bez wielkiego repertuaru. Teatr w Krakowie za dyrekcyi Koźmiana. Niższość kultury teatralnej we Lwowie. — Upadek poezyi na scenie. Twórczość Fel. Faleńskiego. *Althea* Faleńskiego a *Meleager* Wyspiańskiego. — W. Rapacki, siła temperamentu w parze z teatralnością. — Jul. Łętowski.

Górowanie sztuk lekkich: operetki i farsy za wzorem francuskim. Fredro-syn, Abrahamowicz. Bałucki. Komedia salonowa. Mellerowa, Koziebrodzki.

Prawdziwy charakter sztuki wieku. Zdanie Wł. Bogusławskiego. Komedia społeczno-obyczajowa. Augier, Sardou, Dumas na naszym gruncie. Przeobrażenie się sceny. — Przedstawiciel sztuki szlacheckiej: Józ. Bliżynski. Charakterystyka. Bliżynski, jako stojący między dwiema epokami bytu szlacheckiego. Życie bez złudzeń, sztuka szarej rzeczywistości. Pogłębienie jej plastyką charakterów. Zdrowy śmiech. — Edw. Lubowski: ubóstwo pomysłów, niski poziom uczuć, mętność myśli. — Zygmunt Sarnecki. — D. Zgliński. Przeciw zdrożnościom tiers-etatu. — Typowy pisarz okresu: Kaz. Zalewski. Jego popularność i znaczenie. Brak poezyi i podniosłości. Teren jego: bilans okresu pozytywistycznego Postępowo-konserwatywne wyjście z walki tradycyji szlacheckich z demokracją pracy. *Friebe*. Trylogia: *Nasi zięciowie* Zmienność poglądów. Sprzeczność między zasadami a życiem. Niezdolność Zalewskiego do odtwarzania atmosfery czystej, ludzi czystych, światopoglądu czystego.

Życie i dzieła	104
--------------------------	-----

ROZDZIAŁ VII.

Na wyżynach ludzkości. Aleksander Świętochowski.

Charakter twórczości Świętochowskiego. — Indywidualizm arystokratyczny, szybujący ponad ziemią, wpatrzony w ludzkość, nie w człowieka. Typ ten indywidualistyczno-racjonalistyczny wpływem epoki. Świętochowski, jako

- bojownik praw rozumu i człowieka. Prawo niezależności w teorii i praktyce. Str.
 Stosunek do przeszłości. Rozum, jako moderator praw absolutnych. Poznanie
 względności, zawodów, stron ujemnych indywidualizmu. Ewolucja światopoglądu
 w kierunku głosu miłości. Świętochowskiego *Duchy, Galilae vicisti* — w zna-
 czeniu racjonalistycznym.
 Żywot i dzieła 124

ROZDZIAŁ VIII.

Dalsza reakcja uczucia. Trylogia Sienkiewicza.

Budzenie się w narodzie pierwiastku szlacheckiego. Znaczenie jego dodatnie: ożywienie poczucia narodowego. Utylitarny charakter literatury historycznej. Protest przeciw krytykowanemu przeszłości. Znaczenie jego ujemne: zwrot ku tradycjom szlacheckim. — Atmosfera dla indywidualności Sienkiewicza. Szlacheckie jego sympaty na ławie uniwersyteckiej. Podkład jego uczuciowy i zmysł rzeczywistości. Istota jego natury przytłoczona przez wpływy pozytywistyczne przebija się i walczy w pierwszych utworach, nareszcie zwycięża. — Znaczenie Trylogii. Homerycki jej charakter. — *Ogniem i mieczem, Pan Tadeusz*. Wysoki nastrój i mądrość Mickiewicza. Sienkiewicz i Prus. Sienkiewicz nie stoi ponad światem swoich powieści. Pokrzepienie z nich tylko dla umysłów niekrytycznych. Zasluga Sienkiewicza w rozbudzeniu uczuć narodowych. Stabość — w braku kierowniczej myśli. Świat jego w oświeceniu Zyg. Kaczkowskiego. Sienkiewicz wyobraźnikiem przeciętności szlacheckiej.
 Żywot i dzieła 137

ROZDZIAŁ IX.

Reakcja uczucia. Walka idei społecznych.

Poezye Bol. Czerwieńskiego. Spotęgowanie zwrotu przeciw ideom mieszczańskim i stańczykowskiemu. Nauki społeczne rugują zamykanie do przyrodniczych. — Ruch ludowy w Galicyi. *Przegląd społeczny*. Zgłoszenie się konserwatyzmu po spadek pozytywistyczno-liberalny. Wstecznictwo w Galicyi. Neo-konserwatyzm w Warszawie. Geneza i program neo-konserwatyzmu. — Wzmoczenie się uczuć patryotycznych. Rządy Hurki w Warszawie. Zasługi Bismarka i jego polityki eksterminacyjnej. Rewizja programów. — *Głos* i ideał ludowy. Walka o ideał i lud. *Hasło* Maryana Bohusza. — Poezye Jana Kasprówicza. Świeżość, rzeźkość, siła pierwiastku chłopskiego w jego twórczości. Lud, jako dźwignia przyszłości. Programowe *My i wy*. Poezya wsi. — Rewolucja na gruzach romantyki. Napier ski. — Sny młodości. Fr. Nowicki. — A. Niemojewski. Temperament polski. »Rozumni szaleńcy«. — Jeszcze apel do uczucia: *Szkice* Adama Szymańskiego.
 Żywoty i dzieła 150

ROZDZIAŁ X.

Idealizm społeczny. Eliza Orzeszkowa.

Punkt środkowy między utylaryzmem a szczerem uczuciem. Znaczenie kulturowe działalności Orzeszkowej. Jej niechęć do typów uczuciowych. Potępienie ruchów skrajnych. Odwrót. Apoteoza uczucia i synteza szlachecko-ludowa w »Nad Niemnem« — Harmonia dwóch pokoleń w dążeniu do ideału.	Str.
Żywot i dzieła	175

ROZDZIAŁ XI.

Altruizm bohaterski. Bolesław Prus.

Prus, jako pozytywista przerasta zawsze okres pozytywistyczny. Główny pierwiastek jego indywidualności: silne, męskie uczucie. Stąd rozwój jego talentu po przejściu okresu pozytywistycznego. — <i>Powracająca fala</i> i <i>Placówka</i> jako syntezy uczuciowe. Synteza ta przeprowadzona negatywnie — w <i>Lalce</i> , pozytywnie w <i>Faraonie</i> . Wokulski i Ramzes, jako bohaterzy uczucia. — Świat, jak harmonia, wypływająca z świadomej miłości i wymiany usług.	186
Żywot i dzieła	186

ROZDZIAŁ XII.

Sztuka w życiu codziennym. Powieść.

Charakter lektury powieściowej w latach osmdziesiątych. Powieści szlacheckie i wielkowiejskie. — Bykowski. Wilczyński. Charakterystyka Jordana, jako piewcy szlachty zamożnej, Klemensa Junoszy, jako piewcy *Szyzów* i *Pajaków*. Filozofia, temperament i humor szlachecki. — Powieści i opowiadania Wołowskiego, Rogosza, Aëra, Rawity-Gawrońskiego.

Siły kobiece. Kościatkowska, Chłędowska, Hajota. Powieść salonowa: Maryan Gawalewicz.	199
Żywoty i dzieła	199

ROZDZIAŁ XIII.

Naturalizm.

Skarga Sygietyńskiego na wybujałość tendencyjności w literaturze i żądanie artystycznych dokumentów ludzkich. Geneza i znaczenie naturalizmu francuskiego. Stendhal, Balzac, Zola, Daudet, Maupassant.

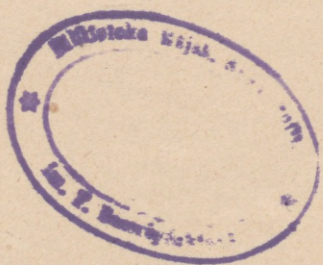
Grunt dla powieści naturalistycznej u nas. *Wędrowiec* i jego grupa. St. Witkiewicz. Atak jego na obóz idealistów. Zwycięstwo konsekwentnego realizmu w malarstwie. Chełmoński. Al. Gierymski.

Naturalizm w powieści. Adolf Dygasiński. Jego stosunek do przyrody polskiej. Mózg uczonego a serce poety. Dygasiński a Kipling. Gabriela Zapolska. Newroza wielkowiejska a temperament autorki. *On i ona*, jako tragedia *Menażeryi ludzkiej*. Niezdolność do wielkiej koncepcji człowieka i świata. Wyzłachetnienie talentu, opuszczenie pola erotyzmu — brak uczuć prawdziwie bohaterskich. *Tamien* — a bezwiedny kult siły. — Ant. Sygietyński. Jego obiektywizm i metoda anatomiczna. Powieść-kinematograf bez głębi i ciepła duszy. — Ostoja. Liryzm pod maską przedmiotowości. Smutek zrezygnowany. — Z. Niedźwiecki. Urąganie zwierzęciu ludzkiemu. Jasny promień *U ogniska* robotniczego — na krótko. Konsekwencją wstręt i mizantropia

Zasługi naturalizmu polskiego. Zdobycie prawa bezwzględnej szczerości. Rozszerzenie sfery powieści polskiej, nałożenie na autorów obowiązku sumienności. Pierwiastki naturalizmu, jako pomost między starą sztuką a nową. Niezdolność naturalizmu do objęcia całej głębi natury ludzkiej i do jej uskrzydlenia.

Żywoty i dzieła 211

150
1524/1924





40397/
2.